CO LIDER PIS POWIEDZIAŁ W ROZMOWIE Z WP.PL

Łukasz Warzecha próbuje przeniknąć plany Jarosława Kaczyńskiego



TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 26/686 22–28 CZERWCA 2026
CENA 13,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Tajne laboratoria USA – ile o nich wiadomo?



WIZJONER Z BARCELONY – TWÓRCZE ŻYCIE I TRAGICZNA ŚMIERĆ ANTONIEGO GAUDÍEGO

Kto zabił Skriepieckiego? – zamach w Polsce na krytyka Moskwy i Kijowa

EWA ZAJĄCZKOWSKA-HERNIK W ROZMOWIE Z „DO RZECZY":

Wciąż padamy przed Ukrainą na kolana

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER OD ŚRODY W SPRZEDAŻY!



KULT UPA NA KOŚCIACH POLSKICH KOBIET I DZIECI

Banderowskie kłamstwa i mity – „Pierwszy etap działalności UPA to realizacja ludobójczych planów. Dopiero później upowcy walczyli z Sowietami – mówi prof. Damian Karol Markowski

Polsko-ukraiński żmut – Oba nasze narody splecione są bolesną historią, która bardzo poważnie rzutuje na teraźniejszość i przyszłość. Czy da się jeszcze zrealizować wskazania Jana Pawła II, który jasno zabrał głos w sprawie leczenia ran Polaków i Ukraińców? – zastanawia się w swoim tekście Piotr Semka

II RP przy pustym stole – „Mamy relacje mówiące o kobietach przemykających rano na wioskach z płonącymi szczapami drewna. Ludzie »pożyczali« ogień od sąsiadów, żeby oszczędzać zapałki – mówi dr Kamil Piskała, autor książki „Zredukowani. O społecznych skutkach Wielkiego Kryzysu"

Russo-Bałtem i czerwonym Fordem – Zarówno Rosja biała, jak i czerwona odnosiła pewne sukcesy na polu motoryzacyjnym. W czasach sowieckich Kreml stawał na głowie, by auto w końcu przestało być dobrem luksusowym

Promienne pióro Mistrza Ildefonsa – Jerzy Putrament słusznie zauważył, że tego poetę nie trzeba do niczego zmuszać ani namawiać, bo on sam z siebie pisze dokładnie to, czego od niego oczekiwano

Na politycznym spalonym – Czterokrotnie o mundialowej absencji reprezentacji Polski nie zadecydowało boisko, lecz kwestie pozasportowe

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 3ac50e40a4



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Braun musi zniknąć?

Jeśli sondaże mówią prawdę, to potwierdza się to, co pisałem na tych łamach kilka tygodni temu, a mianowicie, że w 2027 r. pojawią się tylko dwie możliwości stworzenia rządu. Pierwsza, najbardziej upragniona przez prawicowych wyborców, to porozumienie trzech partii prawicowych: PiS, Konfederacji, Korony Grzegorza Brauna. Druga to forma tzw. wielkiej koalicji: KO plus PiS. Mówię „forma wielkiej koalicji", bo z pewnością nie byłoby to możliwe z udziałem dwóch obecnych liderów, Donalda Tuska i Jarosława Kaczyńskiego. Nienawiść, która ich dzieli, wydaje się jedynym autentycznym i nie na pokaz uczuciem napędzającym polską politykę. Można sobie zatem wyobrazić taką wielką koalicję albo bez obu liderów (mało prawdopodobne), albo w postaci kadłubowej, bez jednego z nich i z częścią danego ugrupowania (bardziej prawdopodobne).

Jak zauważył prof. Jarosław Flis z Uniwersytetu Jagiellońskiego, który przeliczył na mandaty to, co wynika z sondażu IBRiS dla Wirtualnej Polski, Sejm wyglądałby następująco: KO zdobyłaby 177 mandatów, Prawo i Sprawiedliwość – 140, Konfederacja – 60, Konfederacja Korony Polskiej Grzegorza Brauna – 43, Lewica – 27, a Polskie Stronnictwo Ludowe zaledwie 13 mandatów.

Utworzenie rządu wymaga 231 mandatów. Gdyby PiS oraz obydwie Konfederacje weszły w koalicję, zgromadziłyby 243 mandaty. Z kolei obecna koalicja rządząca (KO, Lewica, PSL) uzbierałaby 217 mandatów, czyli o 14 za mało, aby utrzymać władzę.

Czy te wyniki mogą się drastycznie zmienić? Nie sądzę. Nie wierzę i też nic na to nie wskazuje, żeby nastąpił przypływ poparcia dla rządzących. Jeśli nawet Koalicja Obywatelska mogłaby trochę zyskać, to kosztem osłabienia swoich koalicjantów. Czy po drugiej stronie możliwy jest inny scenariusz i znaczący wzrost poparcia dla PiS?

Wydaje się, że taki jest obecnie plan tej partii i głównym celem ma być odbicie wyborców Grzegorza Brauna. Politycy PiS uważają, że elektorat Brauna jest faktycznie ich elektoratem, przez nieuwagę straconym. Stąd wysunięcie jako kandydata na premiera Przemysława Czarnka i próba, inna sprawa na ile udana, osłabienia medialnej obecności Mateusza Morawieckiego.

Wydaje się, że dlatego też to właśnie pod adresem Grzegorza Brauna Jarosław Kaczyński w ostatnim wywiadzie dla WP.pl kieruje najostrzejsze oskarżenia. Według prezesa PiS Grzegorz Braun jest „bardzo niebezpieczny. W żadnym wypadku nie można się godzić na funkcjonowanie takiej osoby w polityce, na jej poglądy". Trudno o mocniejsze sformułowania. Gdyby przyjąć te słowa za dobrą monetę, można by uznać, że prezes Kaczyński chce obłożyć lidera Korony infamią, skazać na banicję i wygnanie.

Nie mniej uderza, za co konkretnie Brauna należy usunąć z polityki: za poglądy. Znacznie trudniej ustalić w oparciu o ten wywiad, o jakie konkretnie poglądy chodzi. Prezes Kaczyński: „Sam Grzegorz Braun to zjawisko spoza sfery normalnej polityki. Absolutnie nie mówię o wyborcach, którzy czasami nie zdają sobie nawet sprawy, jakie osoby otaczają Brauna: powiązania rosyjskie, wypowiedzi przeciwko papieżowi. Gdyby ludzie o tym wiedzieli, wielu Brauna by nie popierało". Czyli wyborców chętnie przejmiemy, ale dla Brauna w polityce miejsca nie ma. Bo „powiązania rosyjskie, wypowiedzi przeciwko papieżowi".

Nie jest jasne, o jakie konkretnie powiązania chodzi. Pewne jest natomiast, że nie o agenturalne, skoro do tej pory ani pod rządami PiS, ani Koalicji Obywatelskiej tak samemu Braunowi, jak nikomu z jego otoczenia takich powiązań nie udało się udowodnić. Prezes nie definiuje też tego, co to znaczy „wypowiedzi przeciwko papieżowi". O którego właściwie papieża chodzi? I jakich spraw dotyczą wypowiedzi przeciw papieżowi? Jeśli chodzi o kwestie polityczne, np. krytykę poparcia dla imigracji, to każdy polityk ma do tego prawo. A jeśli chodzi o wypowiedzi, powiedzmy, „teologiczne", to nie wydaje się, żeby w tej dziedzinie prezes dysponował odpowiednią wiedzą i kompetencją. Przynajmniej do tej pory nie dał się od tej strony poznać.

Według niektórych komentatorów prezes PiS mówi to, co mówi, bo po prostu tego od PiS żąda amerykańska ambasada, która jasno powiedziała, że w nowym rządzie w 2027 r. nie życzy sobie Brauna. Jak by nie było, można się spodziewać, że będą to wkrótce dwie główne linie ataków propagandowych PiS na Grzegorza Brauna, a więc tzw. powiązania rosyjskie i wypowiedzi przeciw papieżowi. Zakładam, że Polaków średnio interesuje krytyka Franciszka czy Leona, więc zapewne będzie chodziło o „wypowiedzi" odnoszące się do Jana Pawła II.

Nie wierzę w powodzenie tej kanonady i w znaczącą zmianę sympatii prawicowych wyborców Korony. Arytmetyka jest nieubłagana. Skoro dla Brauna w polityce miejsca nie ma, to pozostaje tylko poszukiwanie porozumienia z KO, czyli forma wielkiej koalicji. ©℗

eprasa.pl 3ac50e40a4



TEMAT TYGODNIA

16 ROZMOWA Z EWĄ ZAJĄCZKOWSKĄ-HERNIK
WCIĄŻ PADAMY PRZED UKRAINĄ NA KOLANA
Zełenski gra na podziały w Polsce

20 JAN FIEDORCZUK
POLSKI RZĄD, ALE INTERESY UKRAIŃSKIE

KRAJ

24 ŁUKASZ WARZECHA
ODKLEJENIE OD REALIÓW
Co Jarosław Kaczyński powiedział w rozmowie z WP.pl i jakie są jego plany

27 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
CZEGO NAUCZYŁ NAS KIJÓW?

30 ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA
LEKARZE NA SWOIM

KULTURA

32 PIOTR GOCIEK
ZBYT DŁUGIE POŻEGNANIE
Sentymentalna podróż Stevena Spielberga

35 GRZEGORZ KONDRASIUK
NIEWYCZERPANA POSTIRONIA

36 WIESŁAW CHEŁMINIAK
ANTONI GAUDÍ – WIZJONER Z BARCELONY

NIE PRZEGAP

40 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, GRA, WYSTAWA, KSIĄŻKI

OPINIE

44 PIOTR SEMKA
I KTO TU JEST NIEWIDOMY?
Jaka jest polityczna tożsamość współczesnej Ukrainy

47 ADAM WIELOMSKI
KRES HEGEMONII ZACHODU

50 FILIP MEMCHES
UCIEC PRZED SĄDEM HISTORII. AUTOBIOGRAFIA ZYGMUNTA BAUMANA

52 ROZMOWA Z DR. ANDRZEJEM MARGASIŃSKIM
„GENDEROWE CREDO" BEZ PODSTAW NAUKOWYCH

HISTORIA

54 PIOTR GONTARCZYK
DALEJ JEST MANIPULACJA
Nowa szkoła badań Holokaustu trzyma się mocno

ŚWIAT

60 MACIEJ PIECZYŃSKI
KTO ZABIŁ SKRIEPIECKIEGO?
Zamach w Polsce na krytyka Moskwy i Kijowa

64 WOJCIECH GOLONKA
TAJNE LABORATORIA USA

66 JAN BOGATKO
OSTATNI ROZDZIAŁ? CZARNE CHMURY NAD SPD

68 TERESA STYLIŃSKA
GÓRY PRZEGRAŁY Z DŹWIGAMI. REFERENDUM W SZWAJCARII

EKONOMIA

70 JACEK PRZYBYLSKI
TRUMPUSOWE ZWYCIĘSTWO
Miliardy dolarów dla Iranu?

74 GRZEGORZ GRZYMOWICZ
UWOLNIĆ ARGENTYNĘ OD „KASTY"

FELIETONY:

SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, POSPIESZALSKI (8), JASTRZĘBOWSKI (9), GMYZ, GOCIEK (12), ŻEBROWSKI, KOPER (58), KOMUDA (59), PRZYBYLSKI (63), GABRYEL, WARZECHA (73), KOWALCZUK, KARWELIS (79), WIEROMIEJCZYK (80), ROSZKOWSKI (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl 3ac50e40a4

TYGODNIK DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK **DO RZECZY**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas** (II sekretarz redakcji), **Filip Memches**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski *(korespondent z USA)*, **Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić** *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Andrzej Krzystyniak, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Andrzej Nowak, Jacek Pałkiewicz, Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Dariusz Wieromiejczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Zbigniew Zapert, Łukasz Zboralski**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska, Lidia Lemaniak, Alina Piekarz, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Aleksander Majewski, Dawid Sieńkowski**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Agnieszka Szpak, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Beata Zawrzel/Reporter**

WYDAWCA: **Do Rzeczy SA**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00

Wydawca tytułu, Do Rzeczy SA, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Do Rzeczy SA
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: +48 508 040 890
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Joanna Nowakowska, Joanna Gosek,
dystrybucja@pmpg.pl, tel. 539 953 631, 508 040 664

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl
Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumeratаprasy@poczyta.pl, www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl
Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione. © Ⓟ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Noce i dni z piłką", Tomasz Zbigniew Zapert, „DRz" nr 24/2026

Na wstępie chciałbym serdecznie podziękować za kawał świetnej, nostalgicznej lektury! Dzięki Wam człowiek uświadamia sobie, jak potężny kawał historii drzemie w tym naszym polskim futbolu – nawet jeśli ostatnio głównie w archiwach. Muszę jednak przyznać, że Wasz tekst uświadomił mi jeszcze jedną, absolutnie kluczową sprawę. Prawda jest taka, że w tym roku my, polscy kibice, wygraliśmy los na loterii. Polaków nie ma na tym turnieju i… całe szczęście!

Bądźmy szczerzy – kto przy zdrowych zmysłach chciałby o godz. 4 nad ranem oglądać, jak nasi męczą się z Panamą, i tracić nerwy tuż przed pójściem do pracy? Zamiast tego możemy wygodnie rozsiąść się w fotelu, podziwiać egzotyczne starcia w rodzaju Wybrzeże Kości Słoniowej – Curaçao i na chłodno oceniać decyzje Szymona Marciniaka. Pełen luz!

Raz jeszcze dziękuję za świetny tekst, który idealnie nastroił mnie na te absurdalnie długie, nocne piłkarskie maratony. Niech wygra lepszy, a my – delektujmy się świętym spokojem!

Marian Kolasa, Łódź

Ludzka niewdzięczność

Szanowni Państwo,
prezydent Zełenski nadał jednostce wojskowej imię bohaterów UPA i w Polsce natychmiast rozpoczęła się gra między premierem a prezydentem pt. „Golono, strzyżono" o to, czy odebrać Ukraińcowi Order Orła Białego, którym odznaczył go prezydent Duda w przystępie czułej przyjaźni. W związku z tym warto przypomnieć kilka faktów. Prezydent Duda nie dość, że wręczył panu Zełenskiemu najwyższe polskie odznaczenie, to jeszcze w 80. rocznicę rzezi wołyńskiej nakazał milczenie ofiarom ukraińskiego ludobójstwa, a do ks. Isakowicza-Zaleskiego skierował niezapomniane słowa, by nie biegał „z widłami nad grobem", bo on, prezydent Polski, prowadzi tu z Ukrainą spokojną politykę. Tego samego 2023 r. premier Morawiecki kursował w dresie po jakimś ściernisku na Ukrainie, szukając miejsca na wbicie krzyża z patyków, najprawdopodobniej w celu upamiętnienia ofiar krwawej pożogi. Rozzuchwalony nadzwyczajną uległością Polaków pan Zełenski doskonale wie, że może rozgrywać Polskę wedle swojego i niemieckiego uznania, lecz mimo to niezawodnie odczuje tak głęboko niezręczność swojego postępku, że skruszony dobrowolnie zwróci order. A my, jak zwykle, pogrążymy się w naiwnych rozważaniach nad niewdzięcznością ludzkiej natury, prowadzących do czczej konkluzji: wszystkiemu winien jest ten bandyta, Putin.

Z poważaniem
Ewa Kowynia

„Homorewolucja wchodzi bocznymi drzwiami", Krystian Kratiuk, „DRz" nr 23/2026

Szanowny Panie Redaktorze,
art. 18 konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej stanowi: „Małżeństwo jako związek kobiety i mężczyzny, rodzina, macierzyństwo i rodzicielstwo znajdują się pod ochroną i opieką Rzeczypospolitej Polskiej". Od wielu lat sugerowałem Miłościwie nam Panującym, aby wprowadzić w nim zmianę i aby brzmiał on tak: „Małżeństwo jest związkiem kobiety i mężczyzny. Rodzina, macierzyństwo i rodzicielstwo znajdują się pod ochroną i opieką Rzeczypospolitej Polskiej". Mała różnica, być może, ale obecna wersja jasno NIE wyklucza zawierania tzw. małżeństw homoseksualnych.

Oczywiście postęp postępuje i nie jestem pewien, czy dziś w konstytucji nie powinno być precyzyjnej definicji kobiety i mężczyzny.

Pozdrawiam
Wojciech Młodziejewski

„Hipokryci z PiS i KO", Łukasz Warzecha, „DRz" nr 23/2026

Zdanie, że Polacy stracili okazję, aby siedzieć cicho, wypowiedział nie – jak napisałem – Valéry Giscard d'Estaing, lecz Jacques Chirac.

Łukasz Warzecha

eprasa.pl 3ac50e40a4

NA PIERWSZY OGIEŃ

Niespokojne Królestwo



PIOTR SEMKA

Kiedy w końcu lat 70. brytyjskie grupy punk rocka opisywały rzeczywistość w Królestwie Elżbiety II jako krainę potencjalnej rewolucji ulicznej, istotą był kryzys coraz bardziej anachronicznego przemysłu opartego na węglu i stali. Dziś Wielką Brytanię dotyka zupełnie inny problem. Narasta frustracja białych Brytyjczyków, których dotyka konflikt ze wspólnotami imigranckimi. Uliczne zajścia po śmierci Henry'ego Nowaka, który zginął w sytuacji nierównego traktowania przez policję osoby białej i jej napastnika, potomka sikhijskiej rodziny. Z kolei Irlandia Północna stała się świadkiem zajść, w których katolicy i protestanci razem demonstrują swój gniew i zmęczenie agresją ze strony imigrantów.

Tym wszystkim, którzy wciąż nie potrafią zrozumieć, skąd bierze się ten gniew, wypada opowiedzieć o losie banknotów funtowych. Oto Bank Anglii ogłosił decyzję o zastąpieniu wizerunków postaci historycznych motywami zwierząt lub roślin. Największe emocje wzbudziła zapowiedź usunięcia z banknotu pięciofuntowego wizerunku Winstona Churchilla – premiera Wielkiej Brytanii z lat drugiej wojny światowej. Dla synów Albionu to symbol narodowej dumy. Część Brytyjczyków powiązała tę informację z incydentem sprzed paru lat, gdy organizacje ludności kolorowej żądały usunięcia pomnika Churchilla spod Izby Gmin. Powód? Promowanie kolonializmu i imperializmu.

Oczywiście nie tylko Churchill ma zniknąć z banknotów, bo np. to samo będzie dotyczyć wizerunku XIX-wiecznej pisarki Jane Austen, malarza Johna Turne'a czy matematyka i kryptologa Alana Turinga. Ale usunięcie akurat Churchilla to dla wielu Brytyjczyków krok w kierunku pozbawiania wyspiarzy swojej własnej tożsamości. Obawy te sformułował najlepiej Nigel Farage z partii Reform UK, który nazwał pomysł „absolutnym szaleństwem". Farage kpi: „I oni proponują zastąpić wizerunki takich ludzi jak on wizerunkiem bobra". Z kolei liderka partii konserwatywnej Kemi Badenoch stwierdziła: „Usuwanie Churchilla z banknotów to wymazywanie historii. Zamiana wizerunków po to, by umieścić na nich dzikie zwierzęta, to głupi pomysł".

Politycy swoje, a urzędnicy swoje. Bank Anglii podkreśla, że „przede wszystkim decyzja ma podłoże techniczne". Rzecznik instytucji wyjaśnia, że obrazy dzikiej przyrody jako temat oferują wiele unikalnych możliwości wykorzystywania najnowszych zabezpieczeń przed fałszerstwami, np. ruchomych elementów, takich jak ptak machający skrzydłami czy biegnący jeleń.

Gdy słyszy się takie argumenty, trudno się dziwić, że Brytyjczycy dochodzą do wniosku, że ktoś uważa ich za idiotów. I pojawia się podejrzenie, że usuwanie ikon brytyjskiej historii to krok w kierunku wprowadzenia społeczeństwa multi-kulti. I znów Bank Anglii w odpowiedzi powołuje się na przeprowadzone w lipcu 2025 r. konsultacje społeczne.

„Zapytaliśmy społeczeństwo, jakiego motywu by chcieli [...], natura otrzymała największy odsetek wskazań". Nic nie wskazuje, by Bank Anglii miał zamiar wycofać się ze swoich planów. Synom Albionu zostaje tylko wściekłość. ©℗



FOT. ADOBE STOCK

UKRAIŃCY BEZ POLSKICH MIG-ÓW

Ukraina nie otrzymała od Polski kolejnych samolotów MiG-29, bo – jak zauważył w Radiu Zet wiceszef MON Cezary Tomczyk – nie została „dopięta" sprawa transferu technologii dronowych, które w zamian Ukraińcy mieli nam przekazać. Wiceszef MON Paweł Zalewski zdradził w RMF FM, że Ukraińcy chcieliby, aby polskie MiG-i były dopasowane do bardziej nowoczesnych warunków bojowych. – Po naszej stronie w tym momencie nie ma zainteresowania i zgody na to, abyśmy ponosili tego koszty – dodał. ©℗

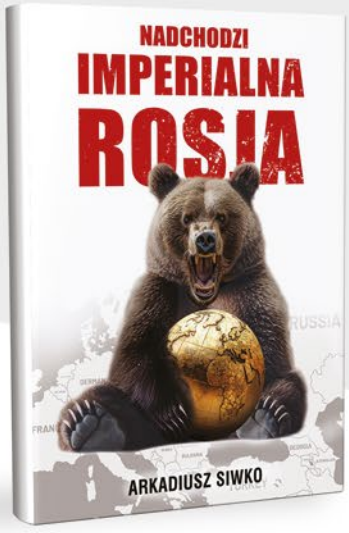
eprasa.pl 3ac50e40a4

Oferta promocyjna

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY" I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"



W PREZENCIE

KSIĄŻKA

ARKADIUSZ SIWKO:
„NADCHODZI IMPERIALNA ROSJA"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~1301 ZŁ~~

546,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 755 ZŁ

Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

- Wpłata na konto bankowe: Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, nr konta: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006. W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
- Na stronie: www.subskrypcja.dorzeczy.pl.

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 3ac50e40a4



RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Takie różne kwoty

Wiadomość o raporcie NIK dotyczącym realizacji budżetu państwa za rok 2025 nie przebiła się, niestety, na czołówki mediów. Wielka szkoda, bo możemy w tym raporcie znaleźć zdumiewającą informację: układając budżet na rok 2025, Ministerstwo Finansów „ustaliło na podstawie nierzetelnych obliczeń" kwotę tzw. Stabilizującej Reguły Wydatkowej. Konkretnie „błędnie oszacowało" wskaźniki relacji PKB do długu bieżącego oraz prognozowany wskaźnik inflacji. Dzięki temu „błędowi" limit dozwolonych prawem wydatków budżetu wyniósł aż o 84,5 mld zł więcej, niż powinien wynosić zgodnie z ustawą o finansach publicznych, ukonkretniającą konstytucyjny zakaz przekroczenia „progu ostrożnościowego" w zadłużaniu państwa.

Prostszymi słowy: minister Domański, na pewno nie bez wiedzy, a prawdopodobnie inspiracji premiera Tuska, zrobił „myk", by wydać o 84,5 mld zł więcej, niż mu było wolno. Gdyby taki „myk" wykonał zwykły przedsiębiorca, nazwano by to „podwójną księgowością" i surowo by go ukarano. Wszyscy pamiętamy, jak za wykrytą zbrodnię na właściciela pizzerii, który policzył na krewetki VAT 8 proc. zamiast 23 proc. i tym samym uszczuplił wpływy budżetu o 3 do 5 zł, urząd skarbowy nałożył mandat 2,5 tys. zł. Jak zatem powinno się wycenić lewiznę ministerstwa na 84,5 mld zł? Przypomnijmy, że wszystkie wydatki ubiegłorocznego budżetu wyniosły 870 mld zł, mówimy więc o „nierzetelności" na skalę 10 proc. wszystkich wydatków państwa! Doprawdy księgowy, który nieumyślnie popełnia takie błędy, powinien zostać usunięty z zawodu i odesłany do szkoły. A ten, który popełnia je umyślnie, iść do więzienia razem ze swymi mocodawcami.

Tymczasem, jako się rzekło, ewidentny przekręt rządu, wymierzony w stabilność finansów państwa, jakby nikogo nie zainteresował. Oburzyło Polaków 1,6 mln wyłudzone przez młodego polityka KO, ale budżetowe miliardy to tylko – jak powiedziała marszałek Kidawa-Błońska – „takie różne kwoty, wynikające z takich różnych działań". ©℗

#WARTO

Niemcy robią nas w bambuko



JAN POSPIESZALSKI

Nie chwalę ani nie potępiam Roberta Bąkiewicza za demonstracje z krzyżem w Berlinie, ale zważywszy na to, jak zachowują się Niemcy w kwestii pamięci i reparacji, chyba tylko wstrząs może wytrącić niemieckich przywódców z dobrego samopoczucia (o polskich nie mówię, bo wygląda na to, że raczej temat reparacji odpuścili).

W styczniu 2024 r. Sikorski apelował w Berlinie, by rząd niemiecki w kreatywny sposób znalazł formę rekompensaty. W wywiadzie dla „Der Spiegel" mówił: „Niemcy pamiętają o Holokauście i blokadzie Leningradu, ale zapomnieli, co zrobili z polską ludnością cywilną". Zapytany, czy Polska nie domaga się już 1,3 bln euro, odparł: „Jeśli Berlin chce przelać te pieniądze – to w porządku! Zgodzimy się nawet na redukcję", ale zaraz dodał, że rozumie, iż w czasie wojny pieniądze to trudna sprawa.

Potem była odrzucona przez polski rząd upokarzająca propozycja Scholza wypłaty 200 mln euro dla żyjących ofiar, a we wrześniu 2025 r. Sikorski z rozbrajającą szczerością oświadczył, że sprawa reparacji, choć moralnie słuszna, prawnie jest beznadziejna.

Teraz, podczas Forum z okazji 35. rocznicy polsko-niemieckiego traktatu, Niemcy powrócili do tematu rent lub zasiłków dla żyjących ofiar, co zważywszy na tempo, z jakim topnieje ich liczba, zakrawa na ponury żart. Natomiast uhonorowanie przy tej okazji specjalną nagrodą byłego polskiego ambasadora Janusza Reitera, który konsekwentnie głosi, że polskie roszczenia, choć moralnie zasadne, są politycznie szkodliwe, jest sygnałem, iż temat reparacji został pogrzebany. Pozostaje kwestia symbolicznej pamięci i tu pojawia się już problem. Wygląda na to, że pomnik, który ma powstać w miejscu słynnego kamienia, już nie będzie upamiętniał „polskich ofiar drugiej wojny światowej i niemieckiej okupacji", lecz „polskie ofiary narodowego socjalizmu". ©℗

eprasa.pl 3ac50e40a4

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA



ĆWIERKOT

Gdzie cieszyła się minister



SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

Tajemnica słów minister zdrowia Jolanty Sobierańskiej-Grendy rozwiązana, a łatwo nie było. Stop. W maju minister zadziwiła opinię publiczną, mówiąc: „Jeżdżę po kraju i widzę, jak się ludzie cieszą" oraz „pacjentom już jest lepiej". Stop. Ludzie czekający kilkanaście miesięcy na badania, czekający po kilkanaście godzin na SOR-ach, ludzie, którym odmawia się leczenia, skazując ich na śmierć, z nieznanych przyczyn nie potwierdzali urzędowego optymizmu. Stop. Okazuje się, że sekret tkwił w miejscu. Stop. Pani Jolanta musiała spotkać się i pytać ludzi na SOR-ze w Warszawskim Szpitalu Południowym koordynowanym, a nawet stworzonym tylko dla KO przez młodego partyjnego kacyka Koalicji Obywatelskiej Dawida Kacprzyka, który partyjnych swojaków obsługiwał poza kolejnością i błyskawicznie. Stop. Tam nikt nie narzekał. Stop. Niestety, kiedy sprawa ujrzała światło dzienne, Tusk pozbył się Dawida, tak jak wcześniej pozbył się Leszczyny z czarodziejską różdżką. Czyja teraz kolej? Stop.

To, że w polskiej służbie zdrowia brakuje pieniędzy, nie jest to żadnym odkryciem. Stop. Pewnie dlatego 28-letni Dawid Kacprzyk zarobił tylko 1,6 mln zł rocznie, ale przyznać trzeba, że nie jest rekordzistą. Stop. 32-letni ortopeda Michał Burczy zarobił 3 mln zł, ale kierował równocześnie szpitalami w Grójcu i Nowym Mieście. Stop. Szpitale co prawda mają zadłużenie, ale pensje panu doktorowi Burczy płaciły na czas. Stop. Gdyby podnieść składki, co wydaje się konieczne, pan doktor mógłby wreszcie zarobić uczciwe 5 mln. Stop.

Mocno sfrustrowany i leciutko tego tego literat Tomasz Jastrun, syn uznanego, polskiego poety Mojsze Agatsteina, napisał w „Przeglądzie": „Z autorami »Gazety Polskiej«, podobnie jak z jej czytelnikami, już nie można dyskutować, nie ma płaszczyzny do polemiki, zostaje tylko mordobicie lub mord po prostu". Stop. Nawoływanie do zabijania jest karane, więc sprawą zajęła się prokuratura. Stop. Po wyroku na emerytkę skazaną za niewinne wydawałoby się słowa napisane do Jurka Owsiaka „Giń człowieku" wynik wydawał się przesądzony. Bo jakie tu mogły być wątpliwości? Stop. Życie pełne jest jednak niespodzianek i o ile nie wolno straszyć Owsiaka, to nawoływać do zabijania czytelników i autorów prawicowej „GP" chyba można, bo prokurator sprawę umorzył, gdyż nie dopatrzył się przestępstwa. ©℗

eprasa.pl 3ac50e40a4



ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA

GWIAZDOBZDUR

ZA DROGA „AREA”

Celebrytka Sylwia Bomba wybrała się na malownicze wakacje we włoskim Positano. Podczas wizyty w jednej z ekskluzywnych restauracji Bombę spotkała nieprzyjemna sytuacja. Celebrytka uznała, że koniecznie musi nagłośnić ten „skandal” na swoim InstaStories. Problemem okazał się kelner. – Obsługuje nas taki pan, który w ogóle nie jest za bardzo dla mnie miły, ale mi to w ogóle nie przeszkadza. Miejsce jest rzeczywiście wyjątkowo ekskluzywne […]. No i przyszliśmy tu, ja dziś dostałam wspaniałą wiadomość, więc miałam ochotę celebrować, zamówić jakąś drogą butelkę szampana – rozpoczęła. Sylwia, zamiast szybkiej obsługi, została zignorowana. Kelner nie pojawiał się przez 20 minut. Dalej było tylko gorzej. – Poszłam pod barierki, żeby zawołać Grega i Tosię [partner i córka Bomby – przyp. red.], żeby przyszli już. Po czym pan do mnie podszedł, po raz kolejny był dla mnie wyjątkowo niemiły i mówi do mnie, żebym poszła stąd, bo to jest droższa „area”. Żeby tam leżeć, trzeba zapłacić 550 euro, a u nas wystarczyło kupić butelkę alkoholu. I on do mnie podszedł, mimo że nie przychodził przez 20 minut, gdy siedziałam i czekałam, żeby zamówić – opowiadała. Celebrytka postanowiła opublikować w sieci recenzję lokalu, aby ostrzec innych przed odwiedzaniem tego miejsca. – Zostawiam tę recenzję, aby ostrzec innych przed tym doświadczeniem. Prawdopodobnie najgorsze traktowanie, z jakim kiedykolwiek się spotkałam. Kelner ewidentnie uważał, że ludzi powinno się oceniać wyłącznie na podstawie tego, ile mają pieniędzy. Mieliśmy wynajętą łódź, więc chcieliśmy tylko posiedzieć przez chwilę i nie mogliśmy zostać dłużej. Sposób, w jaki zostaliśmy potraktowani, był po prostu okropny – podsumowała. Ta zniewaga krwi wymaga!



FOT. ANITA WALCZEWSKA/DDTVN/EAST NEWS

CÓRKA SWOICH RODZICÓW

Aktorka, wokalistka, a także, co nie bez znaczenia, córka Jana Englerta i Beaty Ścibakówny, Helena Englert, wystąpi na Festiwalu Open’er. Każdego roku fani imprezy niecierpliwie czekają na ogłoszenie gwiazd nowej edycji. Włączenie do line-upu wciąż jednak początkującej piosenkarki wywołało niemałe kontrowersje. Englert ma zaledwie trzy piosenki, a według danych platformy streamingowego Spotify miesięcznie słucha jej 56,2 tys. osób. Internauci nie zostawiają na Helenie suchej nitki. „Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę z tego, że początkujący artyści z trzema utworami nie występują na tym festiwalu, chyba że mają na nazwisko Englert. Mam nadzieję, że chociaż zrobisz coś fajnego z tą faworyzacją; Powiedz mi, że jesteś nepo baby, nie mówiąc mi, że jesteś nepo baby; Przecież ty masz trzy piosenki” – tak brzmią w większości komentarze. Przemysław Stefaniak, dziennikarz muzyczny i prowadzący podcast „Po Prostu Muzyka”, również postanowił skomentować sprawę Heleny Englert na Open’erze. „Znacie ten jeden prosty trik, jak zostać gwiazdą w Polsce? Wystarczy, że będziecie mieli znanego starego. Wtedy możecie zagrać nawet na Open’erze, mając wydane jedynie trzy utwory […]. I wiecie, dlaczego zespoły, które latami budują swoją pozycję w Polsce, nie mogą zagrać na Open’erze? Dlatego, że nie mają na nazwisko Englert, a ich stary nie jest eksdyrektorem Teatru Narodowego w Warszawie. I oczywiście Helena to jest przypadek, ale zauważcie, że w Polsce karierę muzyczną najczęściej robią banany” – stwierdził gorzko.

ZUPEŁNIE OBIEKTYWNA OPINIA

Niedawno Agnieszka Woźniak-Starak wróciła do TVP w roli prowadzącej „Pytanie na śniadanie”. Jej przejście z TVN do mediów publicznych skomentowała w podcaście Wiktora Słojkowskiego Monika Richardson. Nie obyło się bez szpileczek. Na początku Richardson przypomniała, dlaczego koleżanka z branży została zwolniona z TVP w 2012 r. Powodem była głośna wpadka na żywo, gdy Woźniak-Starak przyznała się do palenia pewnej substancji. – Drugi aspekt, o którym nie wszyscy pamiętają – były w kuchni jakieś produkty i woda się gotowała, a ona podeszła i mówi: „Czy to jest woda z Lourdes?”. Za takie rzeczy się leciało! Ale teraz już jest na pewno bardzo grzeczna i nie mówi brzydkich słów – komentowała ironicznie Monika Richardson. Była prowadząca „Pytania na śniadanie” zupełnie wprost przyznała, że nie ceni Agnieszki Woźniak-Starak jako dziennikarki. – Agnieszka jest bardzo fajna, to znaczy jest ładna, ma piękny głos […]. Ja akurat jej uszczypliwości nie lubię […]. Ja jej nie cenię jako dziennikarki. Właśnie dlatego, że jest uszczypliwa, nie mając do tego prawa – podkreśliła Richardson w podcaście. Dalej stwierdziła, że „rozumie, że Agnieszka jest wdową, i to ją gdzieś tam uprawomocnia, ale robi uwagi na temat rzeczy, o których nie ma pojęcia”. – Nie uważam, że to jest uprawnione. Natomiast lubię na nią patrzeć, lubię jej słuchać w sensie estetycznym. I ja myślę, że Telewizja Polska w tej chwili na takie osoby stawia, żeby były ładne – podsumowała. Zupełnie bez związku: Monika Richardson próbowała ostatnio dostać się do nowego programu TVP, ale ją odrzucono. Zupełnie bez związku. ©℗

eprasa.pl 3ac50e40a4



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, jak pewnie wiecie, rozpętała się w tym kraju okropna inba wokół zarobków lekarzy i mamy ciężki orzech do zgryzienia, iż z jednej strony – z uwagi na nasze liberalne gospodarczo poglądy uważamy, iż nie można się wtrącać, ile kto zarabia. Ale też z drugiej strony – no jednak czujemy, iż coś tu nie jest halo.

Dlatego też w tym temacie nie powiemy Wam, co należy myśleć, iż jeszcze sami tego nie jesteśmy pewni, ponieważ nikt nam tego dotąd porządnie nie wytłumaczył. Chcielibyśmy się za to odnieść do rzekomego faworyzowania polityków Koalicji Obywatelskiej na SOR-ze w Szpitalu Południowym, że niby mieli tam fory, jakąś salonkę do oczekiwania na zabiegi itd.

Wiecie, co nam to przypomina? Tak, tak – to zaszczuwanie polskich elit, które miały okazję zostać szybciej zaszczepione na kowida niż przeciętne janusze z podkarpacia. Jest tu bardzo wyraźna analogia – aktorzy, ludzie kultury i sztuki, w skrócie mówiąc: autorytety, zostali otoczeni opieką ze strony państwa.

Podobnie teraz – osoby piastujące ważne funkcje publiczne, zaangażowane w podnoszenie jakości życia w tym kraju, miały okazję zostać nieco szybciej obsłużone na SOR-ze niż inni i przyznajcie sami: czy jest w tym coś aż tak złego, żeby takie inby robić? Każdy kraj ma elity, iżby o nie dbać, a jak my nie będziemy dbać o swoje, to jeszcze przedstawiciele tych elit wezmą i wyjadą i ktoś inny nam tu przyśle i zainstaluje swoje elity, tak jak to niejednokrotnie było w przeszłości.

Tak, tak, kochani, na Kremlu właśnie strzelają szampany.



Podczas scrollowania Internetu natknęliśmy się na informację, iż Polacy dziennie scrollują Internet przez ok. 2 godziny. Szczerze? Nic szokującego. Ważniejsze jest to, kiedy to robią i jakiego rodzaju treści poszukują.

Bo wiecie, samo przewijanie rolek nie jest jeszcze problemem. Problemem jest dopiero to, iż ogromna część mieszkańców tego kraju robi to w sposób całkowicie nieproduktywny. Zamiast poszerzać horyzonty, poznawać inne kultury, oglądać fragmenty polskich stand-upów czy filmiki o przygotowywaniu wegańskich śniadań, oni oglądają jakieś śmieszne filmiki z kotami, memy o politykach z KO i tutoriale, jak w godzinę postawić stodołę.

Doświadczamy tego niestety na co dzień w korpo. Nowy z Tarnowa ostatnio pochwalił się, że ma smartfona zamiast starej motoroli z klapką, i zafiksował się na sprawdzaniu statystyk. Ostatnio na stołówce pochwalił nam się, iż spędza ponad trzy godziny dziennie w mediach społecznościowych. Pomyśleliśmy: super, wreszcie zainteresował się światem, może trochę się otworzył, zobaczy, że ludzie żyją inaczej itd., no ale nie.

Okazało się, iż dwie godziny zajęło mu oglądanie filmików o remontach, trzydzieści minut to był czas spędzony na komentowaniu postów dotyczących piłki nożnej, a resztę czasu spędzał na wyszukiwaniu informacji, dlaczego samochody elektryczne nie mają sensu, co to jest chemtrails i czy 5G powoduje, że polska reprezentacja gra coraz słabiej.

W sumie to może dobrze, że Polacy scrollują średnio tylko te dwie godziny dziennie xD. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Mundury

Zobacz, Jarku, taki mundur może być?
Mariusz, zwariowałeś?! Co to jest?!

No... Mundur gestapo. SS znaczy się, bo gestapo było w SS. Bo ja mam taki plan, żeby wzmocnić przekaz: przebierzemy w te mundury na ten przykład Müllera i Terleckiego i oni niby na ciebie tutaj napadną. Znaczy w gabinecie twoim.
Kompletnie zwariowałeś?!

Ale że za ostro? Myślałem, że idziemy ostro przeciwko Niemcom. Możemy nawet zażądać zwrotu Łużyc.
Nie o to chodzi! Co ty tu przyniosłeś, ty ignorancie?! Nie wiesz, że w czasie wojny mundury SS nie były czarne, tylko feldgrau?! ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Afery to by były do przeżycia jakoś, bo jedna afera przykrywa drugą".

WOJCIECH KONIECZNY, *senator Nowej Lewicy, w RMF FM o aferze w Szpitalu Południowym*

eprasa.pl 3ac50e40a4

dwaj panowie g

Jak wiadomo, w ubiegłym tygodniu grzała głównie sprawa Szpitala Południowego i młodego doktorka, który najpierw przytulił ponad półtorej bańki, a potem oddał pół. Tymczasem nasze wiewiórki utrzymują, że CBA zostało swego czasu powiadomione o przekrętach i nawet chciało się zająć tematem. Niestety, wola sąsiadującej z CBA instytucji okazała się inna i tematu nawet nie ruszono. Jeśli chcecie sprawdzić, jaka instytucja sąsiaduje z CBA, to przejrzyjcie, jakie budynki znajdują się przy Ujazdowskich między Placem na Rozdrożu a Bagatelą.

Ludzie litości nie mają. W dniu opuszczenia przez Dawida Kacprzyka stanowiska w Szpitalu Południowym ktoś w serwisie Otomoto zamieścił ofertę sprzedaży Porsche Panamera 4. Z adnotacją, że sprzedającemu zależy na płatności w gotówce umieszczonej w dużej torbie. Ewentualnie zamiast gotówki sprzedający był skłonny przyjąć bilet lotniczy do kraju, z którym Polska nie ma umowy ekstradycyjnej.

W służbach pojawił się natomiast Alarm Red. W szczególności po puszczeniu przez jednego z Panów G. na popularnym iksiku, że w szpitalnym saloniku VIP mogło działać studio nagrań. Wyjaśniamy: chodzi o zwykły monitoring. No, może nie taki zwykły. Bo podobno rejestrował nie tylko obraz, lecz także dźwięk.

To na koniec może wytłumaczymy. Przebiegu leczenia najważniejszych osób w państwie nie da się podejrzeć na Internetowym Koncie Pacjenta. Już jakiś czas temu określono krąg osób VIP, których zdarzeń medycznych nie rejestruje się w IKP. Opowieści więc, że po mieście latają karty medyczne Tuska czy Nawrockiego, są opowiastkami z mchu i paproci. Co jednak nie oznacza, że VIP-y nie chorują. Nawet wiemy które. Z pobieżnej analizy liczbowej wynika, że częściej niedomaga Tusk. Ma on jednak swoje lata.



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

eprasa.pl 3ac50e40a4

Przyłączamy się do ludzi twierdzących, że najważniejszą rzeczą dla rządu Tuska jest obecnie zidentyfikowanie osobników, którzy zorganizowali w Warszawskim Szpitalu Południowym przedsięwzięcie nazwane przez media „prywatnym SOR" Platformy, czy jakoś tak. Natomiast nasza motywacja jest odmienna od ogółu. Otóż my znamy się na przekrętach. Piszemy o nich od dekad. I wiemy, że są zwykli przekręciarze, ale są i prawdziwi artyści w swoim fachu. Nie mamy wątpliwości, że osobnicy od przekrętu szpitalnego należą do tych drugich. Chcemy więc, by ich zidentyfikowano, by minister Cienkowska mogła im przyznać emerytury dla artystów.

Chcieliśmy zdementować natomiast, jakoby nasi rodzice powtarzali nam, że najlepiej zostać lekarzem zamiast jakimś tam pismakiem. Otóż nie. Uważali oni, że najlepiej w życiu zostać prawnikiem. Nie posłuchaliśmy. I w sumie, patrząc na bardak w wymiarze sprawiedliwości, nie żałujemy.

Zamykając wątek lekarski – podobno w roku 2030 w Polsce roboty będą wykonywały już 10 proc. operacji chirurgicznych. Pytacie: Czy to możliwe? Odpowiadamy: To niewłaściwe pytanie. Właściwe brzmi tak: Ile tych robotów będzie z PO?

Tymczasem w Strasburgu. Doszło do wielce nietypowej sytuacji, gdy w Parlamencie Europejskim ramię w ramię siedzieli śmiertelni polityczni wrogowie, a mianowicie eurodepy KO i PiS. Michał Dworczyk obok Andrzeja Halickiego, Halicki obok krwawego Maria Kamińskiego? Tak, to jest możliwe. Porozumienie ponad podziałami uskuteczniono w związku z wizytą w Strasburgu Andrzeja Poczobuta, więźnia politycznego reżimu Łukaszenki. Odnotowujemy sprawę, bo warto. Sprawa tego wymaga. Nie, nie sprawa PO-PiS. Sprawa Poczobuta.

Poczobut przybył do Strasburga odebrać nagrodę imienia Sacharowa, którą przyznano mu już w ubiegłym roku, ale której nie mógł odebrać, gdyż siedział w białoruskim więzieniu. Niestety, władze Francji nie stanęły na wysokości zadania. Już wyjaśniamy: otóż Poczobut w Polsce ma stałą ochronę. Co nie powinno nikogo dziwić. Natomiast Francja odmówiła mu takowej ochrony – czego można było spodziewać się po kraju tak bohatersko walczącym z Putinem i Łukaszenką. O dziwo, na wysokości zadania stanął Parlament Europejski, który przyznał Poczobutowi własną ochronę.

Gorzki, bardzo gorzki żart na koniec tego wątku. Otóż tu i ówdzie w polskich mediach pojawiły się podane w tonie sensacji i sosie „sam sobie winien" doniesienia o tym, że zastrzelony w Polsce rosyjski opozycjonista „odmawiał z nieznanych powodów" (jak to pięknie ujął Tusk) ochrony proponowanej mu przez policję oraz ABW. Zanim przyłączycie się do chóru okrzyczków: „Ale jak to?", „Głupota!" itd., chcielibyśmy, byście na moment usiedli i pomyśleli. Czy naprawdę uważacie, że w Polsce Tuska ktokolwiek chciałby z własnej woli chcieć ochrony policji lub Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego?

Zły Donald z Sopotu pojechał pociągiem do Łomży. Było to wydarzenie zaskakujące, bo zwykle nie jeździ, tylko lata, i nie do Łomży, tylko do Sopotu. Złośliwi twierdzą, że byłoby dobrze, gdyby pozostał w Łomży, ale nie życzymy aż tak źle mieszkańcom tego sympatycznego grodu. Podróż odbyła się dla uświetnienia przywrócenia połączenia kolejowego z Ostrołęką. Pamiętamy, jak PiS chciał budować połączenie bezpośrednie Ostrołęki z Warszawą. Ale w sumie przyznajemy rację Tuskowi. Po co ludzie z Warszawy mieliby jeździć do Ostrołęki? Ludzie z Łomży – a to co innego.

To, co najważniejsze: mundial. Co rusz doznajemy dysonansów poznawczych. Na przykład w meczu otwarcia Meksyk – RPA doszło do dziwnej sytuacji: czarni bili Latynosów. Nie piłkarsko, tylko normalnie, fizycznie. No i dwóch z RPA wyleciało z czerwonymi kartkami. No i teraz tak: wiemy, co pisać, kiedy biali biją czarnych. Wiemy, co pisać, kiedy czarni biją białych. Ale co pisać, kiedy czarni biją Latynosów? Jak to interpretować? Droga redakcjo, pomóż!

Naszą największą sympatię budzi na mistrzostwach w gałę drużyna Maroka. To ci, którzy postraszyli Brazylię. W związku z tym rozpuściliśmy wici, żeby się dowiedzieć, jak wołać: „Naprzód, Maroko!" po marokańsku. No i wiemy: „Dima Maghrib!". Powyższa wiadomość zawiera pułapkę, którą od razu wyjaśnimy: otóż w Maroku nie mówi się po marokańsku, tylko po arabsku albo po berberyjsku. Uważamy to za skandal. W każdym kraju powinno mówić się w języku tego kraju, a nie jakiegoś innego. W Luksemburgu po luksembursku, w Brazylii po brazylijsku, a w Maroku po marokańsku. Z nieznanych powodów tak nie jest.

Złośliwi opowiadają, że gremia decyzyjne mediów reżimowych, znaczy TVP, trochę zapomniały o tym, że jest mundial. Znaczy owszem, zaplanowały liczne transmisje, ale umknęło ich uwadze, że festiwal piosenki żenującej w Opolu pokrywa się z mundialem w planowanym terminie. Ktoś jednak w ostatniej chwili się kapnął, więc festiwal przesunięto na wcześniej. Niestety, liczni zabukowani z dużym wyprzedzeniem artyści nie mogli zgodzić się na nowy termin, bo mieli już umówione koncerty gdzie indziej. Co tłumaczy dość skąpą reprezentację gwiazd na tegorocznym festiwalu. Na szczęście, mimo że gwiazd było niewiele, żenady było tyle, ile zazwyczaj. Tradycja zobowiązuje.

Uwaga, wątek węgierski. Chcemy wrócić do niezbyt nagłośnionej przez polskie media wypowiedzi nowego węgierskiego premiera Pétera Magyara. Otóż powiedział on publicznie, w rocznicę zawarcia Traktatu z Trianon, że „Węgry są być może jedynym krajem na świecie, który sąsiaduje sam ze sobą". Odniósł się do tego, że najwyraźniej tak jak inni znani Węgrzy uważa, iż w Trianon dokonano rozbioru jego ojczyzny, oddając rdzennie węgierskie ziemie innym krajom. Otóż chcielibyśmy wyraźnie wskazać, kim byli owi „inni znani Węgrzy" głoszący publicznie takie twierdzenia. Otóż byli to węgierscy faszyści Strzałokrzyżowcy. Wtedy Warszawa protestowała. Dziś? Cóż… jak to mówią u Barei: „Warszawa nincze, Warszawa ne ma". ©℗

eprasa.pl 3ac50e40a4



eprasa.pl 3ac50e40a4

MISTRZOSTWA ŚWIATA 2026: KANONADA KANADY OBRÓCIŁA KATAR W PYŁ

W Stanach Zjednoczonych, Meksyku i Kanadzie trwają mistrzostwa świata w piłce nożnej. Współgospodarze turnieju pokazali już niezwykłą klasę.

Wprawdzie podczas inauguracyjnego meczu Kanadyjczycy jedynie zremisowali z Bośnią i Hercegowiną (1:1), ale zmotywowani walką o awans rozbili w pył katarskich piłkarzy. Wyjątkowo zacięty mecz, Katarczycy kończyli go w dziewiątkę, bo za brutalne faule zobaczyli aż dwie czerwone kartki, zakończył się wynikiem 6:0. Mecz z radością wspominać będzie Jonathan David, który zdobył aż trzy gole. Świętowali je nie tylko Kanadyjczycy (David to pierwszy piłkarz od 1966 r., który zdobył hat-tricka dla gospodarza mistrzostw świata FIFA), lecz także Włosi. 26-latek to jednocześnie pierwszy piłkarz Juventusu, który zdobył hat-tricka na mistrzostwach świata od czasów Włocha Paola Rossiego w 1982 r. w meczu z Brazylią. Starcie z Katarem fatalnie wspominać będzie Ismaël Koné, który po brutalnym faulu został zniesiony na noszach ze złamaną nogą. Na zdjęciu widzimy starcie atakującego Akrama Afifa z kanadyjskim obrońcą Derekiem Corneliusem.

Z kolei po wygranej w Guadalajarze z Koreą Południową jako pierwsi do 1/16 finału awansowali reprezentanci Meksyku. Meksykański pomocnik Luis Romo znalazł się w odpowiednim miejscu oraz czasie, dzięki czemu oddał strzał do pustej bramki po tym, jak bramkarz Kim Seung-gyu w 50. minucie stracił piłkę po zderzeniu z kolegą z drużyny.

Historycznym sukcesem mogą się też pochwalić Amerykanie. Reprezentacja USA rozpoczęła mundial od znokautowania powracającego na mistrzostwa świata po 16 latach Paragwaju, wygrywając aż 4:1. ©℗



FOT. SIMON FERRY/REUTERS/FORUM

eprasa.pl 3ac50e40a4



Z Ewą Zajączkowską-Hernik, europosłanką, dziennikarką i historykiem
rozmawia Ryszard Gromadzki

Zełenski
gra na podziały w Polsce



RYSZARD GROMADZKI: Zgodzi się pani z opinią, że w relacjach z Ukrainą Polska daje się ogrywać na wszystkich polach? Całkowita niemoc polskiego rządu w sprawie otwarcia procesu akcesyjnego Ukrainy do Unii Europejskiej dobitnie to potwierdza.

EWA ZAJĄCZKOWSKA-HERNIK: Pozycja geopolityczna Polski uległa dynamicznym zmianom – od roli „adwokata i lidera" w 2022 r. do roli „taksówkarza i zaplecza", którego zdanie liczy się coraz mniej na arenie międzynarodowej. Analiza źródeł wskazuje na poważne pogorszenie pozycji Polski w relacjach dwustronnych z Ukrainą, która pod koniec 2023 r. przestała potrzebować Polski jako pośrednika. Polska została wypchnięta z najważniejszych formatów negocjacyjnych dotyczących zakończenia wojny. Niemcy i Francja skutecznie zablokowały polskie inicjatywy (np. udział w Trójkącie Weimarskim w Kijowie).

W 2025 r. polski premier był „wysadzany z pociągu" do Kijowa, podczas gdy przywódcy innych państw europejskich jechali w jednej salonce z Zełenskim. Spór o ukraińskie produkty rolne zniszczył mit o bezwarunkowej przyjaźni. Ukraina wykazała się bezwzględną asertywnością, donosząc na Polskę do Komisji Europejskiej i budując wokół niej obraz „państwa blokującego drogę do UE". Wejście Ukrainy do Unii Europejskiej to oczywiste zagrożenie dla naszego rolnictwa, branży transportowej oraz całego bezpieczeństwa. Zgoda polskiego rządu na rozpoczęcie klastra negocjacyjnego między UE a Ukrainą to zdrada polskiej racji stanu. Zamiast asertywnej polityki wciąż padamy przed Ukrainą na kolana i pozbawiamy się kolejnych narzędzi nacisku na Zełenskiego, a przecież jest mnóstwo interesów, o które powinniśmy walczyć.

Czy prezydentowi Zełenskiemu powinien zostać odebrany Order Orła Białego za nadanie jednej z formacji ukraińskiej armii imienia „Bohaterów UPA"? Wahanie prezydenta Karola Nawrockiego w tej sprawie trudno odebrać inaczej jak przejaw słabości nie tylko jego samego, lecz także Polski.

Zacznijmy od tego, że prezydent Zełenski nigdy nie powinien otrzymać Orderu Orła Białego. Gdyby polscy politycy nie szastali na lewo i prawo najwyższym polskim odznaczeniem, nie byłoby teraz tego problemu. Nagle wszyscy się ocknęli, gdy głównym zarzewiem konfliktu stało się nadanie przez

eprasa.pl 3a



FOT. BEATA ZAWRZEL/REPORTER

Zełenskiego jednej z jednostek wojskowych imienia „Bohaterów UPA" oraz państwowy patronat nad pochówkami kolaborantów III Rzeszy. To pokazuje, że szowinistyczny nacjonalizm ma się dobrze na Ukrainie, a kult UPA staje się fundamentem aktualnego mitu założycielskiego Ukrainy.

Polacy odebrali to jako „splunięcie w twarz", a część polityków uznała to za złamanie niepisanych ustaleń z Wisły z 2022 r., które mówiły o braku państwowej sakralizacji morderców Polaków.

Zamiast próby deeskalacji ze strony ukraińskiej popłynęły wypowiedzi pełne buty, m.in. ze strony mera Lwowa czy szefa MSZ, którzy drwili z propozycji Nawrockiego, pytając, „jak zamierza on fizycznie ten order odebrać". Takie zachowanie oceniane jest jako typowe dla „posowieckiej dyplomacji chamstwa". Wołodymyr Zełenski postrzega Polskę jako partnera, któremu „nic nie musi". Wykorzystał polską pomoc do przetrwania najgorszego okresu, a następnie cynicznie zmarginalizował Warszawę na rzecz silniejszych graczy, nie wahając się przy tym uderzać w polską wrażliwość historyczną poprzez wspieranie kultu formacji odpowiedzialnych za ludobójstwo. Dla Zełenskiego sprawa mordów na Polakach dokonywanych przez UPA ma być „zamilczana na śmierć". Dla Polski taka postawa jest absolutnie niedopuszczalna.

W ciągu ostatnich czterech lat Polska wykonała gigantyczny wysiłek na rzecz Ukrainy, udzielając jej jednostronnej, wartej dziesiątki miliardów złotych pomocy. W zamian władze Ukrainy w coraz bardziej bezczelny sposób propagują banderyzm i pozwalają sobie na ingerencję w nasze wewnętrzne sprawy. Z czego bierze się totalna pasywność Warszawy w relacjach z Kijowem? Czy to efekt działania „partii ukraińskiej" w Polsce jednoczącej ponad podziałami nasz establishment polityczny od KO, przez PiS, po Lewicę?

Od początku konfliktu między Rosją a Ukrainą polskie partie polityczne od PiS przez KO po Lewicę nie prowadzą podmiotowej polityki zagranicznej. Polscy politycy pomijali fakt, że Ukraińcy zawsze podkochiwali się politycznie w Niemcach, niemieckim nacjonalizmie i niemieckim biznesie. Pozycja Polski jako lidera regionu została podważona przez skuteczną dyplomację Niemiec oraz „niewdzięczną" politykę ekipy Zełenskiego, która zamiast strategicznego sojuszu z Warszawą wybrała model „kidat łocha" (porzucania frajera po wykorzystaniu jego zasobów).

Postać Wołodymyra Zełenskiego w relacjach z Polską ewoluowała od roli „wdzięcznego sojusznika" w 2022 r. do „asertywnego, a momentami aroganckiego gracza" w latach późniejszych. Jego postawa jest ściśle powiązana z aktorską przeszłością, co pozwala mu na biegłe zarządzanie emocjami i prestiżem na arenie międzynarodowej.

Od początku konfliktu między Rosją a Ukrainą polskie partie polityczne nie prowadzą podmiotowej polityki

Zełenski gra na wewnętrzne podziały w Polsce. W 2023 r. prezydent Ukrainy zaczął wyraźnie faworyzować ekipę Donalda Tuska i Rafała Trzaskowskiego kosztem środowiska konserwatywnego, co miało na celu osłabienie asertywności polskiego rządu. Prezydent Ukrainy gardzi środkowoeuropejską prawicą. Jako postsowiecki liberał z trudem znosił konserwatywne rządy w Polsce, co przejawiało się np. w „zapominaniu"

nazwiska Karola Nawrockiego podczas wywiadów.

Polska weszła w fazę „cynicznej i chłodnej normalizacji". Nie zapominajmy o tym, że dalej mamy mocne karty w rękach. Rzeszów-Jasionka pozostaje kluczowy, Ukraińcy i Amerykanie traktują go jako „wysiłek sojuszniczy NATO", a nie polski atut, którym Warszawa mogłaby lewarować swoje interesy. Próby szantażu blokadą granicy są postrzegane jako ryzykowne i szkodliwe wizerunkowo. Tylko Konfederacja przytomnie i pragmatycznie oceniała interesy polskie w relacjach z Ukrainą. Od samego początku mówiliśmy, że wdzięczność nie jest walutą. Wobec Ukrainy powinna być stosowana zasada transakcyjności.

Krytyka bezrefleksyjnego rozdawnictwa wobec Ukrainy i Ukraińców żyjących w Polsce tłumiona jest argumentem, że przecież „to Ukraińcy przelewają krew za naszą wolność i bezpieczeństwo". Czy ten argument panią przekonuje?

Absolutnie nie. Polska odegrała rolę kluczowego i pierwszoplanowego sojusznika Ukrainy w najtrudniejszym momencie inwazji rosyjskiej. Wsparcie to miało wymiar militarny, logistyczny oraz humanitarny, a jego fundamentem stało się zaufanie zbudowane jeszcze przed wybuchem walk, m.in. podczas nieformalnego spotkania prezydentów Andrzeja Dudy i Wołodymyra Zełenskiego w Wiśle w styczniu 2022 r.

Byliśmy pierwszym krajem, który dostarczył Ukrainie ciężki sprzęt pancerny w znaczącej skali: czołgi T-72, systemy przeciwlotnicze Piorun, samoloty MiG-29 i Su-22. Do tej pory strona polska opłaca abonament dla kilkudziesięciu tysięcy terminali Starlink, które zapewniają armii ukraińskiej łączność. W kwestii pomocy humanitarnej Polska przyjęła bezprecedensową liczbę uchodźców, otwierając granice natychmiast po wybuchu wojny. W szczytowym momencie w Polsce przebywały miliony Ukraińców. Decyzja o otwarciu granic „podjęła się sama" i była realizowana bez zbędnej biurokracji. Polacy masowo otwierali swoje domy dla uciekających przed wojną. Ukraińcy otrzymali numery PESEL, co umożliwiło im legalną pracę i dostęp do opieki zdrowotnej. Objęto ich również systemem świadczeń socjalnych, w tym „800+". I mimo całej tej pomocy, której udzieliliśmy, Zełenski z premedytacją sakralizuje morderców z UPA. To pokazuje, że ofiarowanie wszystkiego, co mamy bez oparcia dyplomacji na zasadach transakcyjnych, nie przynosi żadnych efektów w budowaniu relacji międzynarodowych i bezpieczeństwa.

Za rok odbędą się wybory parlamentarne, później wybory samorządowe. Nie obawia się pani, że bardzo liczna ukraińska diaspora w Polsce wystąpi w nich ze swoimi politycznymi aspiracjami, sprzecznymi z polską racją stanu?

To jest problem, z którym mierzy się cała Europa, rozdając obywatelstwo imigrantom. Ostatnio było głośno o tym w kontekście legalizowania pobytu migrantów w Hiszpanii. Jeżeli którykolwiek polityk myśli, że nadanie polskiego obywatelstwa Ukraińcom spowoduje zwiększenie bazy wyborczej jego ugrupowania, jest w ogromnym błędzie. Przestrzegam przed takim podejściem. Polskie obywatelstwo powinno być świętością. Jeżeli podstawą politycznego działania ukraińskiej diaspory w naszym kraju miałby być Związek Ukraińców w Polsce, to sprawa robi się bardzo niebezpieczna.

Organizacja jest oskarżana o relatywizowanie ludobójczych zbrodni dokonanych przez banderowców na Polakach. Prezes Związku Mirosław Skórka ostro zareagował na propozycję odebrania prezydentowi Zełenskiemu Orderu Orła Białego (po tym, jak Zełenski nadał jednostkom wojskowym imiona „Bohaterów UPA"), grożąc, że takie „spoliczkowanie" sprawi, iż ukraiński przywódca przestanie odwiedzać Polskę.

Ponadto ten sam człowiek publicznie krytykował prezydenta RP za zawetowanie ustawy przewidującej miliardy złotych na pomoc socjalną dla Ukraińców, twierdząc, że takie działanie „wpisuje się w politykę Kremla".

To skandal, że Związek Ukraińców w Polsce otrzymał od polskiego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Administracji łącznie ok. 9 mln zł w ciągu ostatnich sześciu lat. Wszelkie finansowanie tej organizacji powinno zostać natychmiast zatrzymane. Spytam retorycznie, czy Związek Polaków na Ukrainie mógłby liczyć na analogiczne wsparcie i możliwość tak radykalnej krytyki ukraińskich władz?

Czy to nie najwyższa pora, żeby roztropnie ograniczyć prawo pobytu Ukraińców w Polsce, np. anulując im rozdęte przywileje socjalne?

Oczywiście. W ostatnim czasie, na szczęście, ograniczono pewne przywileje Ukraińcom. Zrobiono to za późno i w za małym zakresie. To pytanie powinno być rozpatrywane szerzej, nie tylko w kontekście migracji z Ukrainy. Polska strategia migracyjna powinna zakładać ruch wizowy ze wszystkich kierunków świata oparty na ścisłej kontroli i identyfikacji imigrantów. Niestety, Polska nie posiada przemyślanej strategii migracyjnej. Wzorem, na którym moglibyśmy się oprzeć, jest polityka migracyjna Australii, gdzie państwo definiuje, kogo potrzebuje przyjąć na krajowy rynek pracy, kontroluje czas pobytu wpuszczonych osób i bezwzględnie deportuje tych, którzy nie stosują się do zasad funkcjonowania państwa. Świadczenia socjalne powinny być przyznawane wyłącznie Polakom i tu sprawa jest bezdyskusyjna.

Co musi się wydarzyć, żeby twarda prawica uzyskała wpływ na rządy w Polsce? Wspólny front wyborczy obydwu Konfederacji?

Rozdzielenie Konfederacji i Korony Grzegorza Brauna jednoznacznie pokazuje, że suma poparcia dla obydwu ugrupowań wzrosła. Konsekwentnie przekonujemy Polaków do siebie, pokazując, że w wielu aspektach polityki międzynarodowej, migracyjnej, gospodarczej czy społecznej mieliśmy rację. Duopol PO-PiS z przystawkami się zużył. Sytuacja międzynarodowa pokazuje, że czas najwyższy na świeżą krew w polityce. Prawica lepiej zdefiniowała interes swoich narodów – przez co skutecznie zyskuje coraz większe poparcie w wielu państwach. Polacy nam zaufają i jestem skłonna postawić tezę, że nasze poparcie jest niedoszacowane.

Powołała pani ostatnio stowarzyszenie Ruch Biało-Czerwoni. To platforma do budowy własnego środowiska politycznego wewnątrz Konfederacji? Trampolina do walki o przywództwo w ugrupowaniu?

Proszę o chwilę cierpliwości. W najbliższych dniach podam w tej sprawie więcej szczegółów, ale bardzo się cieszę z powodu wielkiego zainteresowania moją organizacją.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 3ac50e40a4

KSIĘGARNIA DO RZECZY



ZAPRASZAMY DO KSIĘGARNI DO RZECZY



KSIEGARNIADORZECZY.PL

eprasa.pl 3ac50e40a4



Jan Fiedorczuk

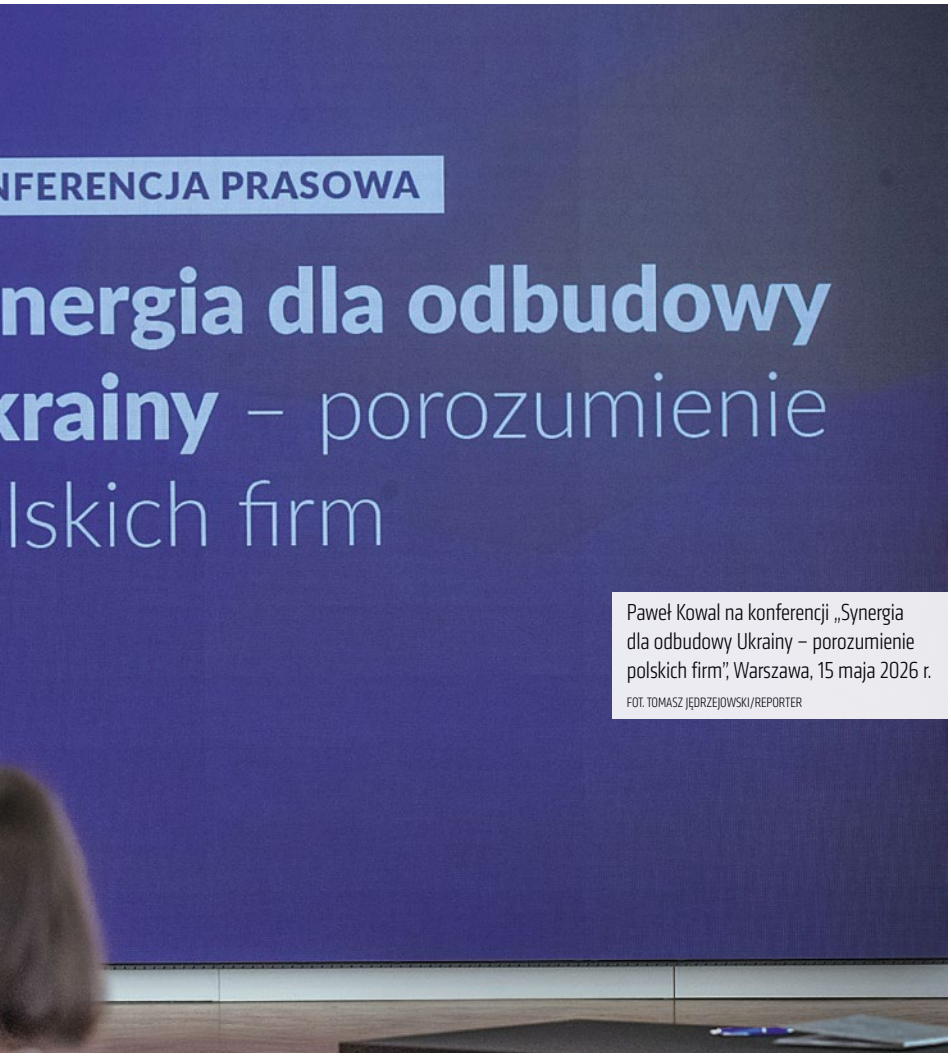
W najwyższych strukturach państwa polskiego uformowało się nieformalne ukraińskie lobby złożone z polskich polityków. Andrzej Szeptycki czy Paweł Kowal to najbardziej prominentne postacie tego nurtu, ale niejedyne



Polski rząd, ale interesy ukraińskie

Po tym, jak Wołodymyr Zełenski nadał Samodzielnemu Centrum Operacji Specjalnych „Północ" imię „Bohaterów UPA", w Polsce wybuchł skandal. Wkrótce jednak w ławach rządowych oraz zaprzyjaźnionych z rządem mediach pojawili się obrońcy tego posunięcia, tłumaczący, że Ukraina ma przecież swoją wrażliwość, że to nie jest gest przeciwko Polsce, że Rosja czyha za rogiem itd. Jednym z tychże obrońców okazał się wiceminister nauki i szkolnictwa wyższego Andrzej Szeptycki. „UPA to byli tacy trochę, ze wszystkimi pozytywnymi i negatywnymi konotacjami tego słowa, ukraińscy żołnierze niezłomni" – stwierdził wiceminister. Porównanie polskiego podziemia antykomunistycznego do zorganizowanych oddziałów motywowanych antypolską ideologią, które są odpowiedzialne za dokonanie ludobójstwa na Wołyniu, odbiło się szerokim echem. Opozycja wybuchła oburzeniem, ale pamiętajmy, że ten polityk od dawna lobbował za ukraińskimi interesami. Już w 2016 r. na portalu periodyku „Nowa Europa Wschodnia" Szeptycki forsował ukraiński punkt widzenia dotyczący ludobójstwa na Wołyniu i apelował, aby ten temat nie dominował w polskiej polityce. Cztery lata później podpisał się pod listem do ówczesnego wicepremiera i ministra kultury Piotra Glińskiego, w którym artyści oraz liberalni intelektualiści domagali się przywrócenia napisu na pomniku żołnierzy UPA na górze Monasterz na Podkarpaciu. W lutym bieżącego roku, już jako wiceminister, pod jednym z filmów, na którym nagrano cmentarz, gdzie obok ukraińskich flag wisiały dziesiątki flag UPA, Szeptycki napisał: „Chwała bohaterom".

eprasa.pl 3ac50e40a4



Paweł Kowal na konferencji „Synergia dla odbudowy Ukrainy – porozumienie polskich firm", Warszawa, 15 maja 2026 r.
FOT. TOMASZ JĘDRZEJOWSKI/REPORTER

Najbardziej szokujące słowa z jego ust padły chyba jednak w 2025 r. Jak opisuje portal Kresy.pl, już jako wiceminister w rządzie Szeptycki stwierdził, że mimo iż jest obywatelem Polski, to uważa się za członka ukraińskiej mniejszości narodowej. „Jestem przedstawicielem mniejszości narodowej i proszę mnie nie dyskryminować" – miał stwierdzić w odpowiedzi na słowa Janusza Kowalskiego, że Ukraińcy powinni opuścić Polskę.

Nawet jednak jeżeli Szeptycki nie poczuwa się do członkostwa w narodzie polskim – takie przynajmniej wrażenie można odnieść z jego słów – to kryterium pochodzenia, które w ostatnich dniach podnoszą niektórzy politycy opozycji, jest w tym przypadku ślepym zaułkiem. To nie tylko moralnie wątpliwa metoda weryfikacji, lecz także błędna pod względem politycznym. To, co określam mianem nieformalnego ukraińskiego lobby w polskich władzach, czyli grupy polityków działających na rzecz Ukrainy nawet kosztem polskiego interesu, jest znacznie szerszym zjawiskiem.

WOBEC KOGO BYĆ LOJALNYM?

Prominentnym członkiem tej proukraińskiej grupy wśród polskich władz pozostaje Paweł Kowal. Nie tylko przewodniczy on Radzie do spraw Współpracy z Ukrainą, lecz także inicjuje wiele inicjatyw na rzecz współpracy obu narodów. Przede wszystkim jednak polityk Koalicji Obywatelskiej od wielu lat jest wielkim orędownikiem bezwarunkowego, „nietransakcyjnego" wsparcia dla Kijowa. Wraz z premierem Donaldem Tuskiem oraz szefem MSZ Radosławem Sikorskim Kowal twierdzi, że jedno z głównych zadań polskiej dyplomacji stanowi lobbing na rzecz akcesu Ukrainy do Unii Europejskiej oraz NATO. Rządzący politycy a priori uznają takie rozwiązanie za zgodne z polską racją stanu, nie starając się tłumaczyć, co konkretnie Polska mogłaby na nim zyskać. Trzeba przyznać, że są w tym względzie godnymi kontynuatorami swych poprzedników z PiS. To właśnie rząd Mateusza Morawieckiego – z takimi personami jak Paweł Jabłoński czy Stanisław Żaryn – brzydził się prowadzeniem polityki transakcyjnej, przyzwyczajając ukraińskie elity, że polska pomoc (militarna, gospodarcza czy nawet ta skierowana do migrantów) jest bezwarunkowa. To w końcu prezydent Andrzej Duda przymykał oczy na podejście Kijowa do rzezi wołyńskiej, opowiadając o „zaręczeniu narodów" i przekonując, że w obliczu polskiej pomocy „cała historia jest nieważna" (co było przecież jawną kopią ukraińskiej narracji historycznej).

Tak i dzisiaj, ekipa Donalda Tuska forsuje plany Kijowa w sprawie UE, jakby sama Polska miała na nich skorzystać. Podczas jednego ze swych wystąpień Kowal wprost stwierdził, że otworzenie Ukrainie drogi do zachodnich struktur stanowi „polską doktrynę". A to i tak były dość umiarkowane propozycje, jeżeli zważymy, że swego czasu Radosław Sikorski sugerował przekazanie Ukrainie europejskiej broni atomowej.

Tymczasem w czerwcu Ukraina rozpoczęła negocjacje dotyczące wejścia do Unii. Tak zwany pierwszy klaster negocjacyjny do tej pory blokowały Węgry, jednak premier Péter Magyar wyraził zgodę po tym, jak rząd w Kijowie przyjął umowę dotyczącą praw węgierskiej mniejszości na Zakarpaciu. Polskie władze, zgodnie ze swoją „doktryną", nie stawiają tu żadnych warunków. „Polska doktryna" wobec Ukrainy jest bowiem w rzeczywistości polityką nietransakcyjną. Podobnie rzecz wyglądała z „pożyczką" 90 mld euro, którą UE oddała Ukrainie, a której zażarcie bronił rząd Tuska. „Pożyczka" pisana w cudzysłowie, gdyż Ukraina będzie zobowiązana do jej zwrotu wyłącznie po tym, jak Rosja wypłaci jej reparacje wojenne. Donald Tusk ogłaszając tę decyzję, miał jeszcze odwagę stwierdzić, że podjęto decyzję, „która nie rodzi konsekwencji finansowych", a w przypływie fantazji dodał, że „Polska nie będzie dopłacała do tego przedsięwzięcia".

Aby opisać, jak działają „rzecznicy" Ukrainy w polskich władzach, nie trze-

eprasa.pl 3ac50e40a4

ba od razu sięgać po takie „atomowe" przykłady. W 2024 r., gdy KO dopiero co przejęła władzę, miały miejsce gwałtowne protesty przewoźników. Kowal wystąpił wówczas z ponagleniem, aby polscy przedsiębiorcy natychmiast zakończyli manifestacje. „Jest to mniejszościowa grupa, która zablokowała granicę w warunkach wojny, stworzyła ogromny korek, polskie państwo stoi obok. Osoby, które powinny mieć rozwinięty swój biznes, polski, kontrolują inne samochody… No nie wiem, czy można jeszcze bardziej stworzyć sytuację, gdzie wóz stoi przed koniem" – stwierdził w rozmowie z TVN24. Trudno o lepszą egzemplifikację problemów z rozróżnieniem podmiotu, któremu winien jest lojalność polski polityk – gdy tylko doszło do konfliktu na linii Polska – Ukraina, Kowal automatycznie stanął po stronie obcego państwa.

Kolejna budząca kontrowersje postać w rządzie to minister aktywów państwowych Wojciech Balczun. Jest on od lat związany z Ukrainą. W przeszłości Balczun był prezesem ukraińskiego przewoźnika kolejowego Ukrzaliznycia, a także wspólnikiem spółki wydobywającej bursztyn na Ukrainie, w której udziały mieli były milicjant Mykola Niemcow oraz biznesmen Jerzy K., podejrzany o działanie w grupie przestępczej. TVN24 informował nieoficjalnie, że przed wejściem do rządu służby nie prześwietliły Balczuna, a sam minister również nie powiadomił przełożonych o współpracy z Jerzym K. Obecnie polityk mocno zabiega o interesy Kijowa. W rozmowie z Bogdanem Rymanowskim stwierdził, że Polska „ma obowiązek" pomagać Ukrainie, argumentując to bogactwem polskiego społeczeństwa i twierdząc, że „żyjemy w złotym wieku, mamy najlepszy moment w naszej historii". Dopytywany, ile konkretnie Polska wydaje za dostawy prądu na Ukrainę, Balczun odmówił odpowiedzi, stwierdzając, że „nie jest to temat, który budziłby emocje", a poza tym informacje, które poda, będą analizowane przez rosyjski wywiad, więc musi uważać na to, co mówi. Można zadać retoryczne pytanie: Z czyjego punktu widzenia – polskiego czy ukraińskiego – rachunek za okazaną pomoc powinien być jawny i przejrzysty? Gdy trzeba było wybierać, Balczun wybrał punkt widzenia Ukrainy.

Rozczarowanie postawą Ukrainy jest tak duże, że Donald Tusk nie może tego ignorować. Obrał jednak strategię najgorszą z możliwych: twarde działania wobec Ukraińców tylko pozoruje

Sam Paweł Kowal z kolei posuwał się nawet do stwierdzeń, że tak w zasadzie to „nie ma czegoś takiego jak pomoc dla Ukrainy", ponieważ wszystko, co Polska robi dla Kijowa, to „pomaganie sobie". Przy takiej postawie nasze państwo powinno zasadniczo zrezygnować ze wszystkich warunków stawianych Ukrainie – czy to w sprawach gospodarczych, czy polityki historycznej. Kowal tak bardzo zatracił się w zabieganiu o interes Ukrainy, że oba państwa zaczął traktować jak wspólny organizm. Jeszcze w 2022 r. przekonywał, że wojna rosyjsko-ukraińska jest „wojną o wszystko", a na łamach Onetu opublikował apel o polityczną integrację obu państw i budowę jakiegoś quasifederacyjnego projektu. Jego postulaty uzupełniał Adam Bodnar, który na łamach „Gazety Wyborczej" apelował, aby Ukraińcy w Polsce dysponowali prawem do głosowania w wyborach samorządowych. „Obywatele Ukrainy uczestniczą w życiu społeczności lokalnej, pracują, płacą podatki, wychowują dzieci. Nie ma powodu, by nie mieli mieć wpływu na wybór władz lokalnych" – przekonywał Bodnar. Pozostaje jednak proste pytanie, którego nie postawili sobie ani Bodnar, ani Kowal, ani Szeptycki, gdy lobbowali za interesami Ukrainy: Co polskie społeczeństwo zyska na ich propozycjach?

WOŁYŃ I „UKRAIŃSKA WRAŻLIWOŚĆ"

Właśnie przez takie wypowiedzi, jak te o przewoźnikach, Kowal ściąga na siebie krytykę. W ostatnim czasie najmocniej uderzył w niego bodaj były premier Leszek Miller. „W Polsce istnieje wręcz banderowska piąta kolumna, która torpeduje każde działanie, które zbliża się do prawdy, co się dzieje na Ukrainie […]. Na czele tego stoi niewątpliwie pan Paweł Kowal" – stwierdził Miller. Słowa byłego premiera mogą w pierwszej kolejności wydać się publicystyczną przesadą, jednak pamiętajmy, że w ostatnich latach Kowal wyczyniał nieprawdopodobne fikołki logiczne, byle tylko bronić ukraińskiej wersji historii. Jaskrawym przykładem jest jego wypowiedź z 2024 r., gdy przekonywał, że ludobójstwo na Wołyniu „nie obciąża państwa ukraińskiego, bo ono nie istniało". Jest to stwierdzenie skandaliczne na kilku poziomach. Po pierwsze, Polska nie domaga się odszkodowań od Ukrainy za ludobójstwo (a to wtedy taki argument miałby sens), tylko oczekuje możliwości zbadania i godnego pochowania szczątków swych obywateli. Po drugie, stosując logikę Kowala, można by powiedzieć, że w Auschwitz zginęli wyłącznie polscy obywatele, a nie Żydzi, ponieważ Państwa Izrael wówczas nie było na mapach świata. Takie fikołki pokazują, jak bardzo Kowal musiał stawać na głowie, by dowieść, że to Ukraina ma rację w sprawie rzezi wołyńskiej. Pytany o ekshumacje ofiar polityk stwierdził, że jeżeli Ukraińcy uznają, że nie jest to dla nich ważna rzecz, to „trzeba poczekać, aż zmienią zdanie, przecież nie będziemy działać na siłę".

Widząc, jak mocno ukraińskie lobby działa na rzecz forsowania historycznej narracji Kijowa w sprawie ludobójstwa na Wołyniu, nie powinno nikogo dziwić niedawne wystąpienie historyka Kazimierza Wóycickiego, który w programie TVP Info pokrzykiwał, że „Armia Krajowa to jest UPA", że obie formacje dokonywały takich samych zbrodni i że to podejście Ukraińców w sprawie historycznego sporu jest słuszne. Bez długiego procesu forsowania ukraińskiej wizji w polskim mainstreamie występ kogoś takiego jak Wóycicki nie byłby możliwy. Kto sieje wiatr, ten zbiera burzę.

W OBRONIE ZEŁENSKIEGO

Zbigniew Parafianowicz, dziennikarz specjalizujący się w tematyce międzynarodowej, opisuje w swej najnowszej książce „Kłopot z Zełenskim", że to właśnie Kowal miał wprowadzić de facto cenzurę w przypadku ekshumacji w Puźnikach (jedno z niewielu miejsc, w których ukraińskie władze zezwoliły na prace ekshumacyjne). Zdaniem Parafianowicza poseł KO nie

eprasa.pl 3ac50e40a4

chciał dopuścić reporterów do dołów, aby w sieci nie krążyły fotografie prezentujące ciała pomordowanych dzieci. „Nie chciał internetowych dyskusji na temat tego, ile gwoździ odnaleziono w głowie zamordowanego dziecka" – przyznał jeden z dyplomatów w rozmowie z Parafianowiczem.

Tezy, które od lat głosili Kowal i podobni jemu „rzecznicy" Ukrainy, padały na podatny grunt, czego przykładem była propozycja Ministerstwa Edukacji Narodowej z 2024 r., aby zamiast o rzezi wołyńskiej polscy uczniowie uczyli się o „konflikcie polsko-ukraińskim". Współautor tego pomysłu, Aleksander Pawlicki, przekonywał, że zmiana jest konieczna, aby ukraińscy uczniowie w Polsce nie czuli dyskomfortu, słuchając o ludobójstwie dokonanym przez swych przodków. Gdy kilka tygodni temu Wołodymyr Zełenski po raz kolejny wymierzył policzek polskiej stronie, honorując jedną z wojskowych jednostek „imieniem UPA", spora część rządzących kolejny raz wystąpiła przeciwko woli samego polskiego społeczeństwa i jednoznacznie sprzeciwiła się planom odebrania prezydentowi Ukrainy Orderu Orła Białego, którym go nieopatrznie nagrodził prezydent Andrzej Duda. Premier Donald Tusk twierdził, że z odebrania orderu cieszyć się będzie wyłącznie Kreml. Szef klubu PSL, Krzysztof Paszyk, ocenił, że prezydent Polski „zagalopował się" ze swoją propozycją, a minister spraw zagranicznych Radosław Sikorski drwił, że Karol Nawrocki powinien najpierw pozbawić orderu Benita Mussoliniego i carycę Katarzynę.

Stronę Zełenskiego wziął też marszałek Sejmu Włodzimierz Czarzasty, co zresztą docenili sami Ukraińcy. Przewodniczący Najwyższej Rady, Rusłan Stefanczuk, publicznie przekazał mu swe wyrazy wdzięczności za „wyważone i odpowiedzialne stanowisko". Wdzięczność Ukraińców nie dziwi – w końcu sejmowa zamrażarka, nad którą pieczę sprawuje marszałek, od dawna blokuje projekty penalizujące banderyzm oraz kłamstwo wołyńskie. Gdyby te ustawy weszły w życie, to dotyczyłyby sporej części ukraińskich władz (a może i samego polskiego marszałka, który w Radzie Najwyższej wznosił kojarzony z UPA okrzyk „Sława Ukrainie"). Najdalej w czołobitnym podejściu do Kijowa poszła chyba jednak senator Magdalena Biejat, która wystąpiła w ukraińskojęzycznej stacji Slava TV (działa w strukturach TVP), gdzie określiła ludobójstwo na Wołyniu mianem „ataków na ludność cywilną" oraz skrytykowała Karola Nawrockiego za pomysł odebrania Zełenskiemu orderu, a także rozprawiała o przypadkach przemocy wobec ukraińskich imigrantów w Polsce. Polskie państwo dysponuje zatem kanałem informacyjnym skierowanym do Ukraińców i zamiast wykorzystywać to narzędzie do propagowania polskiej narracji historycznej, wicemarszałek Senatu przyjmuje w niej punkt widzenia Ukraińców i opowiada o przypadkach pobicia imigrantów. Jeżeli jej zachowanie w Slava TV nie jest przykładem – być może nieświadomego i wyrastającego z czystej ignorancji – ukraińskiego lobbingu, to nie wiem, co miałoby takim przykładem być.

HISTERIA?

Fakt, że znaczna część polskiego społeczeństwa zaczęła się budzić z ukrainofilskiej drzemki, został też zauważony przez liberalne media. Naczelny „Rzeczpospolitej" Michał Szułdrzyński ogłosił, że polską politykę opanowała antyukraińska histeria, a niedługo „ktoś zaproponuje, by Ukraińcy nosili na ramieniu opaski z tryzubem". Faktem jest, że niektórzy politycy prawicy dają w ostatnich tygodniach popis hipokryzji (odbijając się od radykalnie proukraińskiego podejścia w 2022 r. do dzisiejszego badania pochodzenia konkurentów politycznych), jednak jeżeli zapanowała jakaś „histeria", to właśnie wśród liberalnych komentatorów, którzy zachowują się, jakby państwo polskie miało bezwolnie czekać na kolejne poniżające ciosy ze strony Kijowa. Przypomnijmy, że granie kartą UPA w celu antagonizowania się z Polską nie jest jakimś nowym wymysłem Zełenskiego. Jednym z pierwszych przejawów takiej strategii było awansowanie Andrija Melnyka – polityka negującego rzeź wołyńską – na stanowisko wiceszefa ukraińskiego MSZ. Od tamtej pory polskie władze stale ignorowały kolejne coraz bardziej bezczelne działania ekipy Zełenskiego (tragedia w Przewodowie, „odesłanie" polskiego premiera do oddzielnego wagonu w pociągu, którym jechali przywódcy państw europejskich do Kijowa, odbudowa muzeum Szuchewycza itd.). Jeżeli wśród polskiej klasy politycznej w końcu narodził się pomysł, by powiedzieć „dość" Kijowowi, to jest to objaw zdrowy. Podobne rozterki można było mieć w 2022 r., ale od czterech lat żadne koncyliacyjne propozycje w tym wymiarze nie przynosiły rezultatu. Nawet jeżeli część polityków PiS przejawia przaśny, przesadny radykalizmem, to pamiętajmy, że to nie oni są tutaj w centrum zagadnienia. Polskie działania stanowią reakcję, a nie źródło problemu. Problem z Szeptyckim – jak i ze wszystkimi innymi ukraińskimi lobbystami – nie polega bowiem na tym, że jego przodkowie pochodzili z Ukrainy czy jakiegokolwiek innego zakątka świata, tylko że on sam – już jako polityk w rządzie polskim – definiuje się jako „przedstawiciel mniejszości narodowej", a nie jako przedstawiciel polskiej większości. Ten sam zarzut można postawić Kowalowi, Czarzastemu czy Sikorskiemu.

Obecnie polskie władze jedynie pozorują działania. Rozczarowanie postawą Ukrainy jest tak duże, że Donald Tusk nie może ignorować tych nastrojów, dlatego co jakiś czas do mediów wyciekają informacje, że premier „wściekł się" na Kijów, albo sam szef rządu przed kamerami deklaruje, że „trafia go szlag", gdy Zełenski ignoruje jego dobre rady dotyczące „polskiej wrażliwości" (termin „polska wrażliwość" to eufemizm stosowany na określenie np. oczekiwań, że kiedyś strona ukraińska pozwoli pochować ciała ofiar brutalnego ludobójstwa). Tusk obrał zatem strategię najgorszą z możliwych: pozoruje działania – nie sprzeciwia się Zełenskiemu i oferuje mu pomoc bezwarunkową, ale gdy jakiś ukraiński influencer wjechał autem nad Morskie Oko, to premier osobiście interweniował, a szef MSWiA dopominał się deportacji. Gdy inny Ukrainiec nielegalnie złowił rybę w strzeżonym warszawskim akwenie, również musiał opuścić nasz kraj. Są to absurdalne sytuacje, gdy cały aparat państwa jest uruchamiany, by przed kamerami ukarać jakiegoś mało roztropnego człowieka – w sytuacji, w której przecież wystarczyłby normalny mandat. Takie działania absorbują uwagę opinii publicznej i pozwalają odwrócić wzrok od prawdziwego problemu. Gdy bowiem amator wędkarstwa i niegrzeszący inteligencją influencer musieli opuścić nasz kraj, to ukraińskie lobby w rządzie dalej swobodnie działało.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 3ac50e40a4



Łukasz Warzecha

Z wywiadu, którego Jarosław Kaczyński udzielił Wirtualnej Polsce, płynie wniosek, że cechą PiS pozostaje całkowity brak świeżości i pomysłu. O ile „głosujcie na mnie, bo nie jestem Trzaskowskim" mogło jeszcze pomóc Karolowi Nawrockiemu w wyborach prezydenckich, o tyle „głosujcie na nas, bo nie jesteśmy Tuskiem" zdecydowanie nie wystarczy w wyborach parlamentarnych



FOT. LESZEK SZYMAŃSKI/PAP

Odklejenie od realiów

Jarosław Kaczyński bardzo rzadko udziela dłuższych wywiadów mediom, których nie uznaje za swoje. To odbicie stosunku prezesa Prawa i Sprawiedliwości do dziennikarzy. Kaczyński ich nie szanuje, nie wierzy w media niezależne. Dziennikarzy traktuje instrumentalnie. Szczególną niechęcią darzy tych, których nie daje się kontrolować, a których trudno uznać za pracujących dla któregoś z plemion, ci bowiem łamią prosty schemat. To jeden z głównych powodów, dla których PiS za swoich ośmioletnich rządów nie tylko nie zrobił nic, aby w jakikolwiek sposób poprawić sytuację w mediach publicznych, lecz przeciwnie – ugruntował skrajną postać patologii, w ramach której te media funkcjonowały na zasadzie przybudówki partii rządzącej. Jarosław Kaczyński nie widział po prostu powodu, aby miało to wyglądać inaczej.

Dlatego tak ciekawym wyjątkiem jest długi wywiad, którego prezes PiS udzielił niedawno Mateuszowi Ratajczakowi, redaktorowi naczelnemu Wiadomości WP (medium Grupy Wirtualna Polska). W każdym wywiadzie, zwłaszcza pisanym – gdzie istnieje możliwość daleko idących zmian przy autoryzacji (która sama w sobie jest polskim kuriozum) – polityk dokonuje w większym lub mniejszym stopniu autokreacji. Mimo to można na podstawie takiej rozmowy wiele powiedzieć o jego aktualnej ocenie sytuacji i sposobie myślenia. Szczególnie jeśli wygłaszane w wywiadzie tezy zderzy się z szerszym kontekstem.

Czytając go, ma się dwa odczucia.

Pierwsze: Jarosław Kaczyński z poglądów, które pojedynczo opierają się nawet na racjonalnych i trafnych ocenach, składa całkowicie momentami fikcyjny i iluzoryczny obraz rzeczywistości, szczególnie w czasie rządów PiS. Ale i obecnie. Momentami zaś nawet te punktowe oceny nie mają wiele wspólnego z realiami.

Drugie: prezes PiS nie jest już w stanie nadążyć za wydarzeniami. Wydaje mu się, że jesteśmy w roku 2014 i że wciąż działają ówczesne reguły polityczne.

PRYMITYWNY PRZEKAZ

Prezentowany przez Jarosława Kaczyńskiego obraz rzeczywistości

eprasa.pl 3ac50e40a4

malowany jest niczym apokaliptyczna walka dobra – czyli PiS – ze złem – czyli Donaldem Tuskiem i jego partią. Już samo to może być zniechęcające. Refleksja nad radykalnym osłabieniem sondażowego poparcia dla PiS wskazuje jako jedną z przyczyn znużenie elektoratu konserwatywnego czy suwerennościowego tym właśnie, dość prymitywnym przekazem. Albo wyborcy odchodzący od PiS kwestionują w ogóle opowieść o tym, że polityka jest walką dobra ze złem, i podpisują się pod nowoczesnym, pragmatycznym przekazem Konfederacji Krzysztofa Bosaka i Sławomira Mentzena; albo – w przypadku tych, którzy odeszli do Grzegorza Brauna – widzą oś sporu w kompletnie innym miejscu niż Jarosław Kaczyński. Ba – w miejscu, gdzie prezes PiS jej nie umieści, bo w tym samym wywiadzie odrzuca całkowicie przekaz Brauna, a więc i jego optykę, w której po stronie zła stoją Żydzi czy Amerykanie.

Portretując Donalda Tuska, Kaczyński sięga po dawne schematy, które może sprawdzały się półtorej dekady temu, ale dzisiaj jesteśmy już w całkiem innym miejscu. Prezes PiS powtarza bowiem frazesy o uległości premiera wobec Niemiec – to klasyczny dla PiS schemat. Rzecz w tym, że dzisiaj niemieckie uzależnienie Tuska nie jest ani tak widoczne, ani tak oczywiste jak za czasów kanclerstwa Angeli Merkel. Relacje szefa rządu z kanclerzem Friedrichem Merzem są znacznie chłodniejsze i mniej intensywne. Jarosław Kaczyński mówi: „Tusk całkowicie zniszczył funkcjonowanie państwa. Całkowicie zniszczył finanse publiczne. Całkowicie podporządkował politykę interesom niemieckim. I wpisał się w bieg wydarzeń, który spowoduje, że Polska jako państwo suwerenne przestanie funkcjonować". I dalej: „A dzisiejsze rządy są skrajnie szkodliwe i niszczące, a do tego obrzydliwe, bo to pokaz sługusostwa wobec Niemiec. Tusk realizuje agendę niemiecką: sprawa portów, elektrowni atomowej, Odry, CPK. To wszystko nie podobało się Niemcom. Budowa autostrad północ–południe pogarszała sytuację Niemiec, a polepszała Polski, więc ich nie ma".

Są tu stwierdzenia częściowo celne, ale są też niedorzeczne, zwłaszcza jeśli uświadomić sobie, że PiS rządził dwie kadencje i oddał władzę raptem dwa i pół roku temu. Na rozpoczęcie budowy elektrowni jądrowej PiS miał osiem lat – nie posadowiono przez ten czas nawet fundamentów. W procedurę nadmiernego deficytu Polska wpadła jeszcze z powodu budżetu rządu Mateusza Morawieckiego, a faktycznie olbrzymi deficyt i lawinowo rosnący dług publiczny są w dużej mierze skutkiem trwania rozbudowanego przez PiS systemu świadczeń socjalnych, z „800+" na czele, oraz zbrojeń. Oczywiście odpowiedzialność za obecny stan finansów państwa spada na rząd Tuska, ale trudno nie wspomnieć o pierwotnych przyczynach stanu rzeczy.

Co charakterystyczne, w wypowiedziach Kaczyńskiego nie pojawia się zarzut prowadzenia polityki proimigracyjnej – i nic dziwnego, bo tutaj rząd Tuska radzi sobie całkiem nieźle, a jeśli spojrzeć na liczby, to okaże się, że do Polski napływa mniej imigrantów zarobkowych niż w czasach rządów PiS. Zalew nielegalnych migrantów na granicy z Białorusią również został wstrzymany. W dodatku Polska w maju 2024 r. głosowała w Radzie UE przeciwko pakietowi regulacji, składającemu się na pakt migracyjny, a miesiąc wcześniej przeciwko kluczowej regulacji zagłosowali wszyscy ówcześni eurodeputowani Koalicji Obywatelskiej.

W przypadku CPK, przechrzczonego przez obecną władzę na Port Polska, zarzut także nie jest trafiony, bo – przynajmniej według deklaracji władzy – wczesną jesienią tego roku ma się zacząć jego budowa, jakkolwiek w innej skali niż planowana (zmiany dotyczą np. rozmiarów dworca pod lotniskiem). To pokazuje, że Donald Tusk potrafi wyciągać wnioski i wykorzystywać plany poprzedników dla własnej korzyści. A można być pewnym, że rozpoczęcie budowy dostanie odpowiednią oprawę PR-owską.

PODANA PIŁKA?

Tu warto zrobić dygresję na temat afery, która wybuchła już po publikacji wywiadu z prezesem PiS, czyli sprawy Warszawskiego Szpitala Południowego, saloniku VIP tam obecnego i systemu wynagradzania lekarzy, pozwalającego niektórym z nich zarabiać miliony rocznie. Jakby na potwierdzenie tezy o nienadążaniu PiS za trendami, w dużej mierze aferę tę przykrył swoją berlińską awanturą powiązany z PiS Robert Bąkiewicz. W czasie gdy media społecznościowe kipiały od komentarzy wyborców, wściekłych na zapewnienie VIP-om powiązanym z władzą specjalnych warunków oczekiwania na SOR w warszawskiej placówce, kandydat PiS na premiera Przemysław Czarnek zajmował się obroną Bąkiewicza, grzmiąc o „polskich patriotach pobitych przez niemieckie bojówki w czarnych mundurach". Czyli serwując przekaz, trafiający niemal wyłącznie do najtwardszego elektoratu PiS. Tymczasem sprawa Szpitala Południowego ma bez porównania większy potencjał i może trafić do znacznie szerszej grupy wyborców. Priorytety Czarnka są tutaj znamienne.

Może się jednak okazać, że sprawa ma się dla PiS jeszcze gorzej, jeśli Tusk potraktuje aferę jako podaną mu piłkę. Na to mogłaby wskazywać jego konferencja dzień po wybuchu sprawy, w której trakcie premier zapowiedział daleko idące kontrole, ograniczenia w wynagradzaniu lekarzy i personalne konsekwencje. Jeśli Tusk spełni swoje zapowiedzi – co oczywiście nie jest pewne – i ich realizację odpowiednio opakuje wizerunkowo, to zamiast stracić, może na tym jeszcze zyskać. PiS zaś zostanie ze swoim Bąkiewiczem i germanofobicznym przekazem jak Himilsbach z angielskim.

Nie zaskakuje ocena ośmiu lat rządów PiS, którą przedstawia Jarosław Kaczyński: „Nie twierdzę, że wszystko było idealne. Zdarzały się wpadki, pojedyncze błędne decyzje, bo przy tej skali rządzenia uniknąć ich nie sposób, ale to zupełnie inna skala [niż obecnie]". To kontynuacja linii, która spowodowała masowy odpływ wyborców od PiS, a z której dzisiaj bardzo trudno już się wycofać: za naszych rządów niemal wszystko było idealnie, najwyżej wyborcy nie dojrzeli do tego, żeby dostrzec, jak genialnie rządziliśmy i po prostu tego nie docenili.

W rozmowie marginalnie pojawiają się trzy kwestie, które o tym odpływie wyborców zdecydowały – redaktor Ratajczak ich jednak nie drąży.

Pierwsza sprawa to stosunek do przedsiębiorców, traktowanych jak zło konieczne, oraz bardziej generalnie do gospodarki, oparty na głębokim i agresywnym etatyzmie. Pytanie

eprasa.pl 3ac50e40a4

bezpośrednio o to nie pada, ale można uznać, że pośrednio do tej sprawy odnosi się Kaczyński, mówiąc o Sławomirze Mentzenie. Tu dłuższy, znamienny fragment, zahaczający też o sprawę drugą.

Jarosław Kaczyński: Uważam, że socjologowie i politolodzy, którzy zaliczają politykę Sławomira Mentzena do tej strony, po której my nie jesteśmy, ze względu na darwinizm społeczny, mają rację. Pan Mentzen reprezentuje poglądy w istocie tamtej strony.

Mateusz Ratajczak: Nie spotka się pan w ten sposób z tymi wyborcami.

J.K.: Z wyborcami mam nadzieję, że tak i wierzę w to, że ostatecznie uda się ich przekonać.

M.R.: Czym przekonać?

J.K.: Jeżeli ktoś potrafi spojrzeć na obecną sytuację i na przeszłość racjonalnie, to musi mu przyjść do głowy nazwa „Prawo i Sprawiedliwość".

M.R.: Niby dlaczego?

J.K.: [...] Mimo piekielnie kosztownych kryzysów – bo przecież obrona gospodarki i miejsc pracy w czasie COVID kosztowała ponad 200 miliardów złotych, a zbrojenia w wyniku ataku Rosji to kolejne sto kilkadziesiąt miliardów, przy wielkim zwiększeniu wydatków społecznych, których 500+ i 800+ są tylko symbolem, mogliśmy zakończyć rządy z zadłużeniem w stosunku do PKB niższym niż na początku rządów. Niedużo, ale niższym. I to pokaz dobrego rządzenia, a elementów właśnie dobrego rządzenia było wiele.

Pojawia się tu irracjonalne przekonanie Kaczyńskiego, że prorynkowo i wolnościowo nastawieni wyborcy Mentzena, którzy z dużym prawdopodobieństwem postawili na PiS krzyżyk z powodu m.in. Polskiego Ładu, mieliby nagle zapałać do tej partii miłością po tym, jak ich zapatrywania Kaczyński z pogardą określa jako „darwinizm społeczny". Dlaczego ktokolwiek o liberalnych gospodarczo poglądach miałby popierać socjalistyczny PiS – nie wiadomo.

Jest tu także nawiązanie do drugiej przyczyny odchodzenia od PiS – postępowania władzy podczas COVID. Chwalenie się wrzuceniem do gospodarki 200 mld zł, co było skutkiem jej wcześniejszego absurdalnego zamrożenia, raczej nie zrobi dobrego wrażenia ani na przedsiębiorcach, którzy stracili wtedy rynek, ani na ludziach wrogo nastawionych do sanitarystycznej ideologii. Ci ostatni znaleźli się zapewne w większości w obozie Grzegorza Brauna.

Wreszcie trzecia, trwająca wciąż przyczyna, to stosunek do Ukrainy. Jarosław Kaczyński oznajmia, że Wołodymyr Zełenski powinien stracić Order Orła Białego. Ratajczak miłosiernie przypomina tylko, że sam Kaczyński ma od Ukraińców odznaczenie, ale nie pyta już o wypowiedzi prezesa PiS z 2022 r. czy 2023 r., gdy ten gromił ukrainosceptyków, a za słowa o banderyzmie, które sam dzisiaj wygłasza, wyzywałby wtedy od „sojuszników Putina". Fragment wywiadu, w którym Kaczyński opowiada o rozwijającym się na Ukrainie banderyzmie, jest w sensie diagnozy trafny, ale sam Kaczyński jest tutaj skrajnie niewiarygodny. Podobnie jak inne osoby powiązane z PiS, które jeszcze niedawno działały na pierwszej linii tropienia „ruskich onuc", a dzisiaj albo milczą, albo, co gorsza, potępiają Zełenskiego, takie jak Stanisław Żaryn czy Paweł Jabłoński.

Dlaczego prorynkowo nastawieni wyborcy Sławomira Mentzena mieliby zapałać do PiS miłością po tym, jak ich zapatrywania Jarosław Kaczyński z pogardą określa jako „darwinizm społeczny"

NISZCZĄCA GRA FRAKCYJNA

Kaczyński podejmuje w rozmowie dwukrotnie spore ryzyko.

Pierwsze – jednoznacznie i radykalnie delegitymizując Grzegorza Brauna oraz zapowiadając, że nie ma mowy o przyszłej koalicji z jego ugrupowaniem, nawet gdyby miało to oznaczać niemożność rządzenia. Nie tylko dlatego, że gdyby Kaczyński miał zmienić zdanie – co przecież robił wielokrotnie – to ktoś mu te i inne podobne słowa z pewnością przypomni. Także dlatego, że w ten sposób prezes PiS uwiarygadnia Brauna w oczach jego zwolenników i bynajmniej nie zachęca ich do powrotu do PiS.

Kaczyński powiada: „Sam Grzegorz Braun to zjawisko spoza sfery normalnej polityki. Absolutnie nie mówię o wyborcach, którzy czasami nie zdają sobie nawet sprawy, jakie osoby otaczają Brauna: powiązania rosyjskie, wypowiedzi przeciwko papieżowi. Gdyby ludzie o tym wiedzieli, wielu Brauna by nie popierało [...]. W żadnym wypadku nie można się godzić na funkcjonowanie takiej osoby w polityce, na jej poglądy". Tym samym zwraca się do jego wyborców, mówiąc im, że są głupi, bo nie rozumieją, kogo naprawdę popierają, a jeżeli rozumieją – to ich poglądy są nieakceptowalne. Słaby sposób na odzyskanie dezerterów do obozu Korony.

Drugi raz ryzyko podejmuje prezes PiS, gdy jednoznacznie i bezalternatywnie wskazuje Przemysława Czarnka jako przyszłego premiera, bardzo delikatnie dystansując się przy tym od Mateusza Morawieckiego. Efektu Czarnka ewidentnie brak, jego objazdy po Polsce nie przynoszą owoców, a w PiS głośno jest o możliwej zmianie kandydata na szefa rządu nawet jeszcze w tym roku. Czy Jarosław Kaczyński będzie musiał zatem połykać własny język?

Najbardziej jednak w rozmowie z Wirtualną Polską rzuca się w oczy to, co od czasu kampanii wyborczej w 2023 r. niezmiennie pozostaje cechą PiS: całkowity brak świeżości i pomysłu. O ile „głosujcie na mnie, bo nie jestem Trzaskowskim" mogło jeszcze pomóc Karolowi Nawrockiemu w wyborach prezydenckich, gdzie ostateczny wybór jest tylko pomiędzy dwoma kandydatami, o tyle „głosujcie na nas, bo nie jesteśmy Tuskiem" zdecydowanie nie wystarczy w wyborach parlamentarnych.

W niedawnej ciekawej analizie sytuacji w PiS Arkadiusz Gruszczyński w „Gazecie Wyborczej" zacytował jednego z polityków tej partii: „Już według obecnych szacunków 40 naszych posłów musi szukać sobie nowego zajęcia od jesieni 2027. Te emocje, wewnętrzne niezadowolenie, gra frakcyjna nas zniszczą. Czarnek tego nie poskłada, ponieważ jest zbyt radykalny". Czytając elukubracje prezesa Kaczyńskiego, można uznać, że 40 osób to rachuba bardzo optymistyczna.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 3ac50e40a4



Rafał A. Ziemkiewicz

Czego nauczył nas Kijów?

Wbrew większości politycznego komentariatu nie uważam, że gloryfikując zbrodniczą UPA, prezydent Ukrainy zagalopował się czy że kierował się wyłącznie wewnętrzną polityką, nie zdając sobie sprawy, jak bardzo ta kwestia jest dla Polaków istotna i jak bardzo nas zrani. Nic podobnego, nie opowiadajmy sobie bajek. Wołodymyr Zełenski nie jest jakimś politycznym prawdziwkiem, który by nie zdawał sobie sprawy z tak oczywistych rzeczy i nie miał żadnych znających się doradców. Uderzył nas precyzyjnie w czuły punkt, wiedząc, jaką wywoła reakcję, i chcąc ją wywołać

Politycy ukraińscy – jak cały ich kraj zresztą – przez fakt, że opowiedzieli się po stronie Zachodu, nie przestali być postsowieccy. Prowadzą politykę tak, jak nauczyli się tego od okupantów: bij słabszego, ustępuj przed mocnym. Gdy ktoś na ciebie wjedzie z buta, jak zrobił to Donald Trump, lepiej zrób się dla niego grzeczny. Gdy ktoś ci ustępuje i pozwala na wiele, najwyraźniej czuje się słabszy, więc przyduś go jeszcze mocniej i wymuś jeszcze więcej.

Inna sprawa, że zagrywka z nazwaniem Centrum Operacji Specjalnych imieniem „Bohaterów UPA" nie bardzo się Zełenskiemu udała, choć niepowodzenie to nie miało nic wspólnego z naszą reakcją. Zacznijmy od wyjaśnienia, o co naprawdę chodziło. Otóż uważam, że prezydent Ukrainy chciał powtórzyć wobec Polski manewr, który wielokrotnie skutecznie stosował Władimir Putin. Przypomnijmy sobie czasy „resetu", kiedy Polska znajdowała się pod silną presją, by, w imię geopolitycznego projektu przeciągnięcia Kremla na stronę Zachodu w konfrontacji z Chinami, „pojednała się" z Rosją „taką, jaką ona jest", jak przed wiekiem pojednały się po wiekach walk Anglia z Francją czy po ostatniej wojnie obie one z Niemcami.

Mimo że cały projekt „resetu" był dla Polski śmiertelnie niebezpieczny – było wszak oczywiste, że ceną Rosji za zmianę strony musiałyby być koncesje dla niej w środkowej Europie – rządzący wówczas Donald Tusk nie był bynajmniej wobec tej presji oporny. To Rosja celowo obsadzała nas w roli hamulcowego, co i raz szturchając – a to oświadczeniem, że pakt Ribbentrop-Mołotow był słuszny i konieczny, a to podtrzymywaniem tez stalinowskiej propagandy o „wkroczeniu" w 1939 r. na teren upadłego państwa polskiego dla ochrony przed faszyzmem miejscowej ludności czy też relatywizowaniem zbrodni katyńskiej. Po każdym takim propagandowym uderzeniu i oczywistej polskiej reakcji zachodnie media wypełniały się ochoczo suflowaną przez Rosjan narracją: znowu ta polska rusofobia, no sami widzicie, że z tymi Polakami nie idzie wytrzymać, już mielibyśmy ten upragniony reset, gdyby nie oni.

KRÓTKOWZROCZNOŚĆ ZEŁENSKIEGO

Zupełnie tak samo chciał Zełenski obsadzić Polskę w roli hamulcowego „procesu akcesyjnego" (czyli uzyskania na rynku unijnym specjalnych praw dla interesów robionych przez ukraińskich oligarchów w porozumieniu z Niemcami) i oskarżeniem o obsesyjną wrogość wobec Ukrainy osłabić nasz sprzeciw, którego się spodziewa, bo owe interesy robione mogą być tylko ze szkodą dla Polski. Nie wyszło to tak, jak sobie wyobrażał, bo w przeciwieństwie do Putina, który dysponował dla swych narracji potężnym lewarem – mówiąc krótko, Zachód po prostu się Rosji bał, a jednocześnie liczył na wielkie zyski z dostępu do „chłonnego rosyjskiego rynku" – Zełenski opiera się wyłącznie na argumencie moralnym: wszyscy powinni wspierać Ukrainę, bo krwawi w walce za was. Zachód, szczególnie zachodnia Europa, nie jest na ten argument przesadnie wrażliwy. Oczywiście dużo się tam mówi o bezwarunkowym poparciu dla Kijowa, ale całą politykę określa przekonanie, że prędzej czy później (w domyśle: po Putinie) trzeba będzie do polityki przyjaźni z Rosją i układania kolejnych nord streamów wrócić.

Zamiast więc o „polskiej ukrainofobii" dowiedział się raczej zachodni odbiorca mediów, z niejakim zdziwieniem, o rzezi wołyńskiej, ideach głoszonych przez Banderę i Doncowa, o SS-Galizien i innych formach kolaboracji Ukraińców z III Rzeszą. Mówiąc nawiasem, powinniśmy byli tę okazję wykorzystać i wzmocnić ten efekt. Gdybym był prezydentem Nawrockim, podczas pierwszego ważnego wystąpienia na forum międzynarodowym zapytałbym publicznie prezydenta Ukrainy, kiedy dla podkreślenia niemiecko-ukraińskiego braterstwa broni kolejnej jednostce nada imię „Bohaterów Babiego Jaru" (wskazałbym na udział w tej właśnie zbrodni, nie na SS-Galizien, bo Babi Jar istnieje w zachodniej popkulturze i narracji oraz jest symbolem jednoznacznym, podczas gdy narodowe jednostki SS z racji, że tworzyli takie

eprasa.pl 3ac50e40a4

i Francuzi, i Holendrzy, i Skandynawowie, i inne europejskie nacje, postrzegane są tylko jako doborowe, acz walczące oczywiście po złej stronie wojsko). Rozsądny polityk na miejscu Zełenskiego zorientowałby się, że banderyzmem daje Zachodowi narrację, która w przyszłości może okazać się bardzo przydatna do usprawiedliwienia porzucenia jego kraju i powrotu do „business as usual" z Rosją, ale – jak się zdaje – w ogóle nie bierze takiej możliwości pod uwagę.

KONSEKWENCJE BRAKU REAKCJI

Polska reakcja tymczasem jest symboliczna i słaba. Przede wszystkim – spóźniona. Asertywność należało okazać już wtedy, gdy Ukraina zalewała Polskę „zbożem technicznym" i gdy Zełenski dla poparcia interesów swoich oligarchów (ani jedna z 10 największych firm eksportujących wtedy ukraińskie zboże nie była zarejestrowana na Ukrainie, a tylko jedna nie w „raju podatkowym") zaatakował nas brutalnie na forum ONZ. Przypomnijmy, że Zełenski demonstracyjnie wyszedł wtedy podczas przemówienia Andrzeja Dudy, nawiasem mówiąc, pełnego peanów na cześć walczącej Ukrainy, a potem we własnym przemówieniu „pojechał" po nas, że wspieramy zbrodniczego agresora i że Putin się cieszy.

Pamiętają państwo, jak na to Polska zareagowała?

Ja też nie. O to właśnie chodzi.

Z tego braku znaczących reakcji wyciągnięto w Kijowie, jak się zdaje, dwa wnioski. Po pierwsze, że Polacy są bardziej czuli na historyczne symbole niż na sprawy współczesne i realne – straty finansowe, wypychanie z lepszych rynków etc. Łatwo więc można zyskać w tej drugiej sferze, rozgrywając pierwszą, dla Zachodu mało zauważalną i mniej istotną. Po drugie, że w podzielonej polityczną wojną domową Polsce zawsze można znaleźć sojuszników dla antypolskiej gry, zwłaszcza jeśli użyje się argumentu „Putin się cieszy".

Oba te wnioski znalazły teraz kolejne potwierdzenie. Polska nie zdobyła się na żadne działanie w sferze realnej. Ursula von der Leyen ogłosiła triumfalnie rozpoczęcie rozmów akcesyjnych z Kijowem, polski rząd w najmniejszym stopniu nie wykorzystał najlepszego momentu do wyartykułowania polskich oczekiwań i warunków granicznych. Jedynie prezydent zdobył się na symboliczny sprzeciw, zapowiadając odebranie prezydentowi Ukrainy nadanego mu zbyt pochopnie, „na zachętę", Orderu Orła Białego. Perspektywa zrealizowania tej zapowiedzi, najdelikatniej mówiąc, nie mogła nikogo w Kijowie przestraszyć, więc nadzieje, że dla uniknięcia skandalu strona ukraińska opamięta się i wycofa z kultu zbrodniarzy, od samego początku oparte były na niczym.

Prezydent nie dysponuje jednak narzędziami do skutecznej gry z Ukrainą – nawet te, które ma (zawetowanie pożyczki SAFE, w znaczącym stopniu przeznaczone na wsparcie Ukrainy), zostały unieważnione, bezprawnie, ale skutecznie. Wszystkie możliwości należą do kompetencji rządu, a ten zajmuje się raczej szukaniem usprawiedliwienia dla swej inercji niż sposobów lepszego działania w interesie Polski.

Niezwykle wymowne jest, że dla polityków rządzącej koalicji oraz jej głębokiego zaplecza ważniejsze było skrytykować prezydenta Polski, niż przeciwstawić się prowokacji Zełenskiego. Mimo tego, że na samym początku dość emocjonalnie zareagował na „Bohaterów UPA" m.in. Lech Wałęsa, przy innych okazjach wciąż podawany w tych środowiskach jako autorytet, i mimo że sam Tusk, po pierwszych wypowiedziach, relatywizujących ukraiński atak i budujących fałszywą symetrię pomiędzy nimi a „zagalopowaniem się" prezydenta, szybko zdał sobie sprawę z nastrojów społecznych i dał sygnał do odwrotu. Po raz kolejny mieliśmy do czynienia z odruchem typowym dla naszego „salonu", „klasy panującej" czy jakkolwiek nazwać postpeerelowską elitę ukształtowaną w początkach transformacji.

Odruch ten każe wykorzystać każdą możliwą okazję i okazywać wyższość nad „pisowską hołotą", tymi mitycznymi „starszymi, gorzej wykształconymi" z Podkarpacia i ściany wschodniej. Ludzie poczuwający się do „lepszości" nad ogółem Polaków w takich momentach zatracają wszelką racjonalność, nie obchodzi ich, że przez swe wyższościowe mądrzenie się budzą w społeczeństwie niechęć zamiast szacunku i wszystkie ich rekomendacje brane są na odwrót. Są jak skorpion ze starej bajki, który musiał ukąsić, choć sam przez to zginął. Aby poczuć się lepszymi, oświeconymi i po raz kolejny pouczyć ciemny lud, że jest ciemny, dziedzic wyobrażeń „polskiego inteligenta" (Rafał Grupiński bardzo, bardzo dawno temu ukuł na tych luminarzy ówczesnej Unii Demokratycznej poręczne określenie „pin") po prostu musi zawsze zająć stanowisko przeciwne niż lud, choćby urągało to elementarnemu zdrowemu rozsądkowi.



FOT. PRESIDENT.GOV.UA

Polacy boją się masowej migracji? Elity napuszają się, że otwarcie na „uchodźców" jest miarą człowieczeństwa, do której Polacy po raz kolejny nie dorośli. Kłują więc Polaków w oczy butnymi pouczeniami, uderzaniem w ich symbole – pamiętamy jeszcze ten zalew wariacji na temat Świętej Rodziny i drutów kolczastych? – demonstracyjnym brataniem się z Simonem Molem i nielegalnymi migrantami. Nawet jeśli polityczny przywódca „pinów" zmienia front, to oni sami tłumaczą sobie, że to niezbędna

eprasa.pl 3ac50e40a4



taktyka, żeby ciemnotę „wyonaczyć" w wyborach, ale wiedzą swoje. Polacy uważają, że w swej najnowszej historii padliśmy ofiarą wielkich zbrodniarzy i zachowywaliśmy się bohatersko? Trzeba im udowadniać, choćby oczywistymi kłamstwami Grossa czy Grabowskiego, że nic podobnego, byli tyle samo warci, co naziści i komuniści, nawet jeszcze gorsi, kolaborowali i mordowali Żydów nie mniej niż inni!

NIEWYKORZYSTANA SZANSA

Ten odruch ujawnił się po raz kolejny – z największą mocą w propagandowej TVP Info, gdzie relatywizujące zbrodnie UPA enuncjacje wygłaszali kolejni „eksperci", od wiceministra Szeptyckiego po wydobytego z naftaliny byłego dziennikarza i działacza kolejnych mutacji Unii Demokratycznej, Kazimierza Wóycickiego. Ten ostatni zwrócił na siebie uwagę niezwykle emocjonalnym sposobem miotania kłamliwych oskarżeń, tego rodzaju, że „Polacy pod niemiecką okupacją zamordowali 300 tys. Żydów". Nikt nigdy jeszcze nie wygłosił publicznie tak horrendalnej bredni, jak historyk i były szef jednego z wojewódzkich oddziałów IPN (!) Wóycicki. Warto przypomnieć: teza o masowym mordowaniu Żydów przez Polaków w czasie wojny i po niej pochodzi od Jana Grabowskiego, który twierdził, że zaczerpnął ją z prac Szymona Datnera. Szybko ustalono, że niczego podobnego Datner nie napisał – liczba 200 tys., którą przypisał mu Grabowski, dotyczyła ogólnej liczby polskich Żydów, których dokładnych losów nie udało się po wojnie ustalić. Grabowski ogłosił wtedy, że nigdy o 200 tys. Żydów zamordowanych przez Polaków nie mówił ani nie powoływał się w tej kwestii na Datnera, że źle go zrozumiano, przypisali mu te słowa wrogowie etc. – by potem od czasu do czasu powtarzać swe kłamstwo, ale już wyłącznie w wywiadach dla mediów zagranicznych.

W żaden sposób nie wykorzystaliśmy faktu, że gloryfikowanie „Bohaterów UPA" spotkało się z silną krytyką na samej Ukrainie

W analogiczny sposób stworzyli sobie „oświeceni", a raczej przejęli od ukraińskich neobanderowców, mit o rzekomych polskich winach wobec Ukraińców, jakoby wzajemnie równoważnych i pozwalających unieważnić tę męczeńską kartę polskiej historii w ramach ogólnej „pedagogiki wstydu". Nie ma żadnego faktu, który można by przeciwstawić planowemu ludobójstwu UPA – ale „tym gorzej dla faktów", salon wie swoje. Trudno nie zauważyć, że w istocie ludzie uważający się za intelektualną elitę działają podobnie jak zagorzali antysemici, wbrew wszystkiemu krzepiący się opowieścią, że „cztery tysiące ostrzeżonych Żydów nie przyszło do WTC". Ktokolwiek atakuje Polskę z jakiegokolwiek powodu, może być zawsze pewien, że znajdzie ich poklask.

Co najbardziej kompromitujące, to to, że w żaden sposób nie wykorzystaliśmy faktu, iż gloryfikowanie „Bohaterów UPA" spotkało się z silną krytyką na samej Ukrainie. Przeciwnie, polskie media zauważyły tylko wysokie poparcie dla antypolskich działań Zełenskiego w ukraińskim Internecie. Gdyby tak samo oceniać nastroje w Polsce, trzeba by uznać, że najpopularniejszym politykiem w Polsce jest Grzegorz Braun, którego zwolennicy przebijają innych swą aktywnością. Tymczasem zarówno kult Bandery i UPA, usilnie lansowany przez obecne władze Ukrainy, jak i ich bezwzględne zawierzenie Niemcom i wyparcie faktu, że Niemcy wciąż wyznają bismarckowski dogmat konieczności przyjaźni z Rosją, nie wydają się akceptowane przez większość Ukraińców. Polska powinna umieć wpisać się w ten spór i wesprzeć ukraińską opozycję polskimi argumentami. Ale na razie najważniejsze wydają się dla nas emocje, i to głównie te generowane przez wewnętrzny podział między samymi Polakami.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 3ac50e40a4



FOT. ADOBE STOCK

Lekarze na swoim



Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska

Gigantyczne jak na polskie realia zarobki części lekarzy i system zachęcający do nadużyć budzą zrozumiałe oburzenie opinii publicznej. Gdy dodamy do tego przyjmowanie poza kolejnością partyjnych znajomych, rysuje się wizja potężnego skandalu

Polską opinią publiczną wstrząsają w ostatnich dniach kolejne rewelacje na temat bajońskich zarobków lekarzy. Najszerszym echem odbiła się sprawa Dawida Kacprzyka. Z oświadczenia majątkowego 28-latka wynika, że w 2025 r. zarobił ponad 1,5 mln zł. W zarządzanym przez miasto Warszawskim Szpitalu Południowym przepracował łącznie 3976 godzin, co daje średnio ponad 330 godzin miesięcznie. Uczyniono go koordynatorem Szpitalnego Oddziału Ratunkowego – mimo że nie ma specjalizacji, co jest niecodzienną praktyką. Radny Koalicji Obywatelskiej, były szef młodzieżówki tej partii, miał pracować w kilku miejscach jednocześnie, był aktywny politycznie (np. wspierał kampanię prezydencką Rafała Trzaskowskiego), a w czasie gdy formalnie miał dyżur, pojawił się w mediach. Jednocześnie, za rządów Zjednoczonej Prawicy, narzekał na sytuację młodych lekarzy. Kacprzyk ma być właścicielem auta marki Porsche.

Gdy portal Zero.pl ujawnił sprawę, na lekarza posypały się gromy. Stracił legitymację KO. TVN24 wprost mówi o „fikcyjnych dyżurach". Grafiki lekarza miała zatwierdzać członek zarządu i dyrektor do spraw medycznych, dr Agata Kusz-Rynkun. Władze Warszawy przekazały, że Dawid Kacprzyk skorygował 33 faktury, obejmujące okres od 31 stycznia 2025 r. do 16 czerwca 2026 r., a na konto szpitala zwrócił 0,5 mln zł. W ubiegły czwartek Kacprzyk złożył mandat radnego. Tego dnia prezydent Warszawy ogłosił też dymisję całego zarządu ursynowskiej placówki.

„PRZYCHODNIA KACPRZYKA"

Okazało się jednak, że to tylko wierzchołek góry lodowej. W Warszawskim Szpitalu Południowym stworzono system, który – jak opisuje Patryk Słowik – nazywano „przychodnią Kacprzyka". „Błyskawiczne przyjęcia, wykonywanie pakietów kilkunastu, a nawet kilkudziesięciu badań w bardzo krótkim czasie, możliwość przebywania w innym pomieszczeniu niż ogół pacjentów. W Warszawskim Szpitalu Południowym stworzono nieoficjalnie szybszą i bardziej komfortową ścieżkę przyjęć dla polityków Koalicji Obywatelskiej oraz ich rodzin" – kolejny tekst na Zero.pl obnażył patologię: lekarz milioner, bez specjalizacji, za to z koneksjami, najprawdopodobniej nie dostał posady szefa SOR-u z powodu nadzwyczajnych umiejętności. Dawid Kacprzyk nadzorował pozakolejkowe przyjęcia polityków. Gdy zwykły pacjent musiał czekać ok. czterech godzin, w przypadku VIP-a wszystko załatwiano w ciągu 15 minut. „Zajmowaliśmy się w trybie pilnym znajomą Dawida Kacprzyka, zamiast pacjentami naprawdę potrzebującymi pomocy. Jej przypadek w ogóle nie wymagał interwencji szpitalnej. W ostateczności powinna być przyjęta w ostatniej kolejności, a nie pierwszej" – opowiedział portalowi jeden z medyków.

Takich sytuacji było więcej. Poseł KO trafiła na SOR jesienią 2025 r. z gorączką i złym samopoczuciem. „Od pojawienia się w szpitalu do zlecenia badań mija 16 minut – czytamy. – Czas oczekiwania wtedy wynosił ok. czterech–pięciu godzin. Pani została potraktowana jak osoba z zagrożeniem życia, podczas gdy miała typową jesienną infekcję – mówi pracownik Szpitala Południowego, który był wtedy na SOR-ze".

Działacze i ich bliscy mieli do dyspozycji specjalny, komfortowy salonik z fotelami i telewizorem. Dodatkowo wy-

eprasa.pl 3ac50e40a4

konywano niektórym badania niebędące standardem. Nic dziwnego, że – jak opisał serwis – niektórzy politycy zamiast udać się po pomoc lekarską do szpitala najbliższego ich miejscu zamieszkania, woleli pojechać dalej, do Południowego.

W ubiegłą środę kierownictwo placówki zwolniło Kacprzyka, a warszawska prokuratura okręgowa wszczęła postępowanie sprawdzające „w sprawie podejrzenia stworzenia systemu przyjmowania pacjentów w SOR Szpitala Południowego w Warszawie, opartego na przesłankach pozamedycznych, sprzecznych z zasadami triażu, co mogło narazić innych pacjentów SOR na bezpośrednie niebezpieczeństwo utraty życia albo ciężkiego uszczerbku na zdrowiu". Możliwe są też konsekwencje polityczne wobec warszawskich struktur KO.

Szpital Południowy zbywa pytania od mediów. „Uprzejmie informujemy, że Warszawski Szpital Południowy jako podmiot leczniczy jest zobowiązany do przestrzegania przepisów dotyczących ochrony danych osobowych oraz tajemnicy medycznej. Informacje dotyczące korzystania ze świadczeń zdrowotnych, w tym również sam fakt objęcia danej osoby opieką medyczną, stanowią dane prawnie chronione, niezależnie od barwy politycznej pacjenta lub jej braku. W związku z powyższym szpital nie udostępnia informacji dotyczących poszczególnych pacjentów. Jednocześnie podkreślamy, że nieuprawnione pozyskiwanie, ujawnianie lub rozpowszechnianie informacji dotyczących zdrowia lub korzystania ze świadczeń zdrowotnych stanowi naruszenie powszechnie obowiązujących przepisów prawa" – przekazano w oficjalnym komunikacie.

JEDEN ZAMIAST DWUDZIESTU

O Szpitalu Południowym jest najgłośniej, bo łączy się z „dużą" polityką, ale nie jest to wyjątek. Ponad 2,8 mln zł miał zarobić w 2025 r. ortopeda Michał Burczy – tak wynika z jego oświadczenia majątkowego, przytaczanego przez Wirtualną Polskę. Trzydziestodwuletni lekarz prowadzi indywidualną praktykę lekarską, co przynosi mu zdecydowaną większość wpływów. Kieruje też dwoma szpitalami należącymi do powiatu grójeckiego (oba są zadłużone na ok. 20 mln zł). – Rok 2025 to był rekordowy rok i chyba już w życiu tego nie powtórzę. Byłem już po rezydenturze, więc nie musiałem być na etacie w szpitalu. Miałem pełno wolnego czasu, więc ciągle siedziałem w robocie. Nie mam stawki godzinowej, więc pracuję tylko za to, co rzeczywiście zrobię. To było zapewne ok. kilkunastu tysięcy wizyt pacjentów w poradniach ortopedycznych oraz setki zabiegów i operacji. Życia prywatnego to już w tym momencie praktycznie nie posiadam – mówi w rozmowie z WP.

Przyznaje, że nie ma rodziny, więc ma czas na pracę. – Te zarobki wynikają tylko z tego, że lekarz ma kontrakt, w którym otrzymuje jakiś procent od wykonanej procedury. Jeśli ktoś pracuje w poradni jako chirurg czy laryngolog, to nawet jak zarobi dla siebie te 30 czy 50 tys., dla szpitala zarobi 80 albo 90 tys. W interesie szpitali jest więc poszukiwanie takich lekarzy, którzy przyjmą jak najwięcej pacjentów – argumentuje.

Starosta powiatu grójeckiego, Krzysztof Ambroziak z PSL, podkreśla, że takie rozwiązanie jest zgodne z prawem, a objęcie obu funkcji kierowniczych wynikało z potrzeb organizacyjnych. – On jest cały czas na pełnych obrotach. Od godz. 7 nieraz jesteśmy na łączach do godz. 22. Nawet jak wraca do domu późnym wieczorem, często do mnie dzwoni i rozmawiamy – zachwala samorządowiec ortopedę.

Wyjaśnienia Burczy nie przekonały Naczelnej Izby Lekarskiej. „Naczelna Izba Lekarska stanowczo odcina się od stanowiska pana dyrektora, iż skoro 10 ortopedów może zarobić po 20 tysięcy złotych w miesiącu, to pracę tę może wykonać 1 ortopeda za 200 tysięcy złotych, ponieważ tak znaczne przekroczenie fizjologicznych norm czasu pracy może powodować zwiększone ryzyko błędu medycznego" – przekazał WP rzecznik NIL, Jakub Kosikowski.

JEST ICH ZA MAŁO

Po wybuchu afery szpitalnej z radnym KO w roli głównej w mediach społecznościowych zaczęto publikować fragmenty rozmów z internetowych grup zrzeszających lekarzy. Medycy zupełnie otwarcie rozmawiają o swoim wynagrodzeniu. „Od 180 do nawet 300 zł – tyle wynoszą stawki, których lekarze mogą oczekiwać za godzinę pracy w publicznej placówce ochrony zdrowia" – opisuje „Rzeczpospolita". Specjalista medycyny rodzinnej z ok. 20-letnim doświadczeniem z okolic Lublina zarabia 280–300 zł za godzinę. „W środowisku nie budzi to większego zdziwienia, ponieważ podobne stawki coraz częściej pojawiają się w regionach, w których szczególnie brakuje lekarzy" – zauważa „Rz". Lekarz pediatra z 12-letnim doświadczeniem przyznał, że na umowie o pracę zarabia blisko 90 zł netto za godzinę, co wywołało zdziwienie kolegów po fachu – część pisała, że specjalista pediatrii nie powinien pracować za mniej niż 250 zł za godzinę.

Lekarze mogą stawiać wymagania finansowe, bo wciąż ich brakuje. Dotyczy to szczególnie mniejszych miast i miejscowości. Według informacji Agencji Oceny Technologii Medycznych i Taryfikacji miesięczna mediana zarobków lekarzy specjalistów pracujących na kontraktach wynosi ponad 25 tys. zł brutto; w przypadku etatów to niespełna 24 tys. zł. Część ekspertów zwraca uwagę, że statystyki nie oddają pełnego obrazu, ponieważ wielu lekarzy pracuje w więcej niż jednym miejscu, co oznacza wyższe dochody. Lekarze się bronią – odpowiadają, że wysokie zarobki odzwierciedlają wysiłek włożony w kształcenie i pracę w mocno stresujących warunkach, a także w święta i weekendy.

Działacze partii Tuska i ich bliscy mieli do dyspozycji specjalny, komfortowy salonik z fotelami i telewizorem

Narasta presja na rządzących, aby uregulować kwestię płac medyków. W ubiegłym tygodniu Rada Ministrów przyjęła projekt ustawy, który ma pozwolić na zbieranie informacji o wynagrodzeniach lekarzy na podstawie numeru PESEL lub numeru prawa wykonywania zawodu. Według Naczelnej Izby Lekarskiej to nie poprawi sytuacji. „Istnieje ryzyko, że zamiast merytorycznej dyskusji o systemie zdrowia nasze pomysły będą zbywane argumentami o wysokich zarobkach lekarzy i pojedynczych, skrajnych przypadkach finansowych" – powiedział PAP rzecznik Izby.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 3ac50e40a4



Zbyt długie pożegnanie



Piotr Gociek

W „Dniu objawienia" Steven Spielberg kopiuje samego siebie sprzed lat. I niestety pokazuje, że nie potrafi nawet tego zrobić dobrze

Pół wieku minie w przyszłym roku od premiery filmu „Bliskie spotkania trzeciego stopnia" – jednego z najlepszych filmów Stevena Spielberga. Był to nie tylko wielki przebój kinowy, lecz także jeden z filmów założycielskich, które otwierały nową erę Hollywood: pokazywały, jak na ekranie wyglądać może fantastyka. Łatwo wymienić te tytuły: „Alien", czyli kosmiczny horror; „Gwiezdne wojny", czyli przygodowa baśń; „Blade Runner", czyli dystopia i odnowiony mit Frankensteina. No i właśnie „Bliskie spotkania trzeciego stopnia", które zebrały obiegowe wyobrażenia z drugorzędnych seriali telewizyjnych i powiastek ufologicznych, by przemienić je na ekranie w opowieść o kontakcie.

SEKRET W RĘKACH ZŁYCH LUDZI

W „Dniu objawienia", najnowszej propozycji Spielberga, sędziwy reżyser wraca do tematu, który uczynił go sławnym (nie tylko „Bliskie spotkania…", wszak był jeszcze fenomenalny sukces „E.T."). Czy ma nam coś nowego do powiedzenia? Nie bardzo. Czy czyni to w sposób ciekawy? Zupełnie nie. To zbyt długie pożegnanie, podróż sentymentalna twórcy, który od pewnego czasu kręci już filmy chyba tylko dla własnej przyjemności albo żeby z wątpliwym skutkiem moralizować. Od czasu „Monachium" (2005) nakręcił właściwie tylko jeden interesujący film: „Lincolna" (2012), no i raz odsłonił się przed nami całkowicie w „Fabelmanach", kluczu do jego dzieciństwa, do jego miłości do kina i do zrozumienia filmów Spielberga.

Dzieciak z rozbitej rodziny, dla którego sala kinowa stała się krainą zapomnienia, ale i nieustannych zachwytów, eksploruje te same emocje, używa tych samych figur. Jego filmy o kontakcie z obcą cywilizacją są w istocie filmami o kontakcie z drugim człowiekiem – w „Bliskich spotkaniach…" równie ważne jak dochodzenie do prawdy o obcych było naprawienie relacji wewnątrz rodziny głównego bohatera, „E.T." ukazywało wychodzenie dziecka z izolacji i przełamanie lęków, nawet przygodowa seria „Indiana Jones" w części drugiej okazywała się opowieścią o patchworkowej wędrownej rodzinie, a w trzeciej – traktatem o relacjach ojciec – syn. Długo by wymieniać. Nawet wspomniany Lincoln jest przecież u Spielberga figurą ojca – surowego i mądrego ojca narodu, który lepiej od swoich „dzieci" wie, co należy zrobić dla ich dobra (i wbrew woli dużej ich części).

W „Dniu objawienia" (czy tytułu „Disclosure Day" nie oddałyby lepiej słowa „Dzień ujawnienia"?) już nie jeden

eprasa.pl 3ac50e40a4



Największą niespodzianką filmu „Dzień objawienia" jest brak niespodzianek FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Roy (jak w „Bliskich spotkaniach…"), ale dwoje bohaterów stanowi klucz do nawiązania kontaktu – oboje zostali w dzieciństwie… No właśnie, jakiego użyć słowa: dotknięci? Porwani? Zaprogramowani? Margaret Fairchild to telewizyjna pogodynka, która pewnego dnia nagle zaczyna mówić językami (koreańskim oraz pozaziemskim) oraz czytać ludziom w myślach. Gra ją Emily Blunt, której kreacja jest jedną z niewielu zalet filmu. Doktor Daniel Kellner to z kolei matematyczny geniusz, specjalista od cyberbezpieczeństwa i uciekinier w tajnej korporacji zajmującej się obcymi i ich technologią. Do tej roli wybrano Josha O'Connora.

Największą niespodzianką filmu „Dzień objawienia" jest brak niespodzianek. Właściwie od początku wiemy wszystko (niektórzy wiedzieli już po obejrzeniu zwiastuna): tak, obcy istnieją, tak, jest to sekret w rękach złych ludzi. I tyle. Reszta to dość rutynowy film akcji, w którym dobrzy uciekają, a źli ich gonią. Dobrzy nie za bardzo wiedzą, dokąd czmychać, bo prowadzą ich wewnętrzne przebłyski i przeczucia. Natomiast źli są, jak na tajną korporację dysponującą pozaziemską technologią, zadziwiająco niezdarni i głupi w swoich próbach pościgu. Zamiast jednego macguffina (zwie się tak dowolny przedmiot pożądania w kinie suspensu – to, czego akurat pragną bohaterowie: walizka pieniędzy, zapalnik bomby atomowej, dysk z tajnymi danymi etc.) mamy cztery. Jeden jest tradycyjny – to zestaw pendrive'ów z pełnym archiwum dowodzącym obecności kosmitów na Ziemi – drugi, trzeci i czwarty to artefakty obcych umożliwiające rozmaite rzeczy, w zależności od potrzeby. Taka trochę magiczna różdżka, udająca urządzenie podwędzone z latającego talerza.

TRZY GRZECHY GŁÓWNE

Wszystko to jest na ekranie dokładnie tak mało zajmujące, jakie wydaje się w powyższym opisie. Grzech pierwszy: myśmy to wszystko już wiele razy widzieli. Nawet w roku 1977 spielbergowska opowieść o kontakcie była hitem nie dzięki oryginalności, tylko stylowi i rozmachowi. Opowiastki o UFO wypełniały sale kinowe oraz ekrany telewizyjne od lat 40. XX w. Dziś odwoływanie się do tej mitologii i ikonografii ma mniej więcej taki sens, jak wznawianie książek Ericha von Dänikena – niby można, bo jacyś zapamiętali fani jeszcze dychają, ale nikt tego poważnie traktować nie będzie. Podobnie jak trudno traktować poważnie Colina Firtha z bródką w roli arcyłotra, czyli szefa korporacji Wardex.

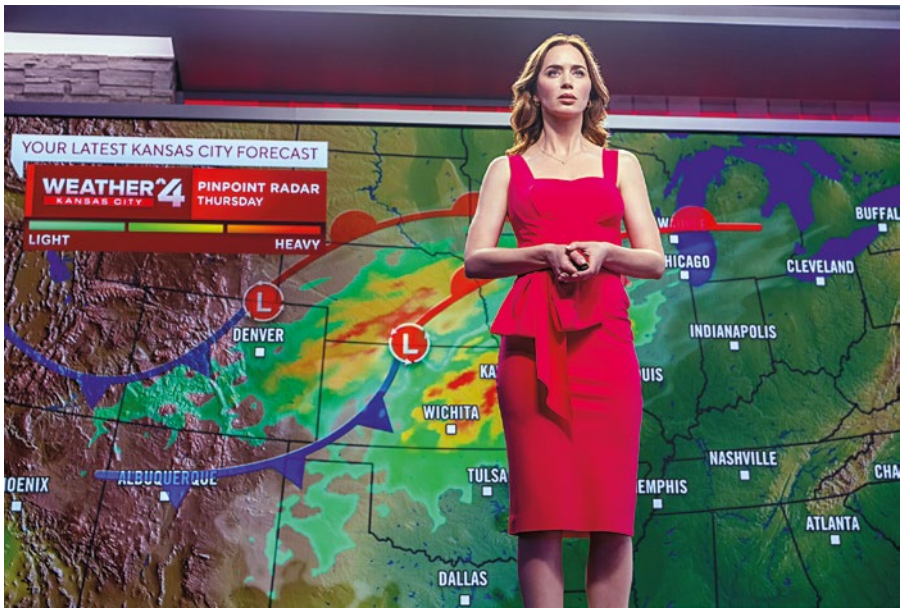
Grzech drugi: ponieważ jest to film Stevena Spielberga, doskonale wiemy, jak się skończy; nietrudno też dostrzec, jaki natłok emocjonalnych relacji zaserwował nam twórca, którego sentymentalizm na stare lata okazuje się jeszcze większy niż zwykle (czy to w ogóle możliwe?). Pogodynka ma chłopaka, który nie zawsze ją wspiera, uciekający cyberspec ma dziewczynę, która była kiedyś zakonnicą. Dla jednej i drugiej pary podróż w poszukiwaniu prawdy o obcych będzie też podróżą do nawiązania na nowo emocjonalnej więzi. Jedną z magicznych mocy, którymi obdarzona została Magaret, jest umiejętność umysłowej projekcji w cudzych głowach – używa jej, by ukazywać oblicza najbliższych im osób, co zamienia największych łotrów w łagodne baranki. I tak dalej.

Grzech trzeci: to nudne jest po prostu. Nie przypominam sobie innego filmu Spielberga, podczas którego co pół godziny zerkałem na zegarek, zastanawiając się, ile jeszcze do końca. Mówimy w końcu o gościu, który naprawdę potrafi robić trzymające w napięciu filmy. Po powrocie z „Dnia objawienia" włączyłem w domu „Bliskie spotkania trzeciego stopnia" i porównanie młodego Spielberga ze starym Spielbergiem okazało się miażdżące dla tego drugiego. „Bliskie spotkania…" od pierwszych ujęć wciągają nas w akcję i tajemnicę; jakże to jest świetnie opowiedziane, jakże piękne są obrazy (inspirowane m.in. ukochanym filmem Spielberga, czyli „Poszukiwaczami" Johna Forda). Muzyka Johna Williamsa



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 3ac50e40a4



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

była wspaniała – w „Dniu objawienia" irytuje. Zdjęcia Vilmosa Zsigmonda – słusznie nagrodzonego Oscarem – były wybitne; zdjęcia Janusza Kamińskiego są poprawne, ale on po prostu nie za bardzo ma co filmować, bo niewiele ciekawego i oryginalnego się dzieje w scenariuszu. Bez wątpienia zaletą jest natomiast fakt, że zamiast na cyfrowych kamerach pracowano staromodnie, kamerami na taśmę 35 mm, i tę „kinowość", tę cudowną chropawość często widać na ekranie.

RĘKA MISTRZA

W całym trwającym ponad dwie godziny filmie są dwa momenty i jedna rozbudowana sekwencja, w których widzimy znów rękę mistrza. Owa dłuższa sekwencja to pościg, w którego trakcie pociąg ciągnie wrak samochodu uciekinierów, ci zaś próbują z opresji się wydostać. Tu strzelanina, tam pociąg jadący z naprzeciwka – jest napięcie. I jest zaskakujący epilog, gdy w ujęciu przypominającym słynną scenę z trzeciego „Indiany Jonesa" wskakują przez właz w dachu do wagonu, gdzie wypadałoby zacytować Tuwima („A w piątym stoi sześć fortepianów"). Natomiast pozostałe dwa momenty to krótka chwila samochodowego pościgu z autem wyskakującym znienacka z salonu oraz bajkowa scena w zimowej scenerii symbolizująca podróż bohaterki do wspomnień, czyli do prawdy o obcych. Reszta to rutyna.

Czemu ma służyć cała ta historia? Moralizatorstwo Spielberga jest natrętne i trudne do wytrzymania. Akcja rozgrywa się w nieodległej przyszłości, kiedy to świat stoi na krawędzi wielkiej wojny, bo rośnie napięcie na granicy między Koreą Północną i Koreą Południową. Tu Rosjanie podciągają czołgi, tam Amerykanie wysyłają samoloty, za moment wszystko huknie – Spielberg prawdopodobnie przespał wszystkie lata dzielące nas od zimnej wojny, nie wie, że Rosja to dziś państwo niemal upadłe, a głównym militarnym przeciwnikiem USA są Chiny. Ujawnienie sekretu istnienia obcych ma być wstrząsem, dzięki któremu skłócona ludzkość opamięta się i zacznie żyć w pokoju.

Ujawnione filmy mają też służyć jako ostrzeżenie: ziemscy wojskowi i lekarze (czy raczej kaci) traktują bowiem na niektórych ujawnianych filmach obce istoty jako obiekt eksperymentów medycznych. Niektóre ujęcia Spielberg celowo wystylizował tak, by wyglądały jak fotografie z wyzwalanych przez aliantów niemieckich obozów koncentracyjnych. To przesłanie też znamy: nie ma nic gorszego od ludzi, zwłaszcza w obliczu cudu.

Skoro padło słowo „cud", to trzeba też powiedzieć o religijnych wątkach w „Dniu objawienia". Jeden budzi głęboką sympatię. Gdy uciekający przed siepaczami Wardexu bohaterowie chronią się w klasztorze klarysek, znajdują tam pomoc, zrozumienie i przyjazną przeoryszę, która zapytana później, czy istnienie kosmitów nie jest sprzeczne z wiarą chrześcijańską albo czy jej nie unieważnia, odpowiada, że wręcz wzmacnia – Pan Bóg stworzył człowieka na Ziemi, to równie dobrze mógł stworzyć myślące istoty na innej planecie.

Drugi wątek rozważań religijnych jest już głupiutki – sugestia, wysunięta wcześniej, że ewentualny kontakt z obcymi to tragedia dla wierzących i że będą oni zwalczać tę niebezpieczną herezję. Spielberg widzi najwyraźniej chrześcijan tak, jak liberalny Hollywood zwykł ich widzieć: tępy ciemnogród przerażony na samą myśl, że światełka migają na niebie, lub na wieść, że Ziemia kręci się wokół Słońca.

Anachroniczny – to słowo świetnie pasuje do tej opowieści. „Ufologiczna" fantastyka kręcona na serio dziś, wiele lat po tym, jak obrazkową fantastykę przeorał sukces serialu „Z archiwum X", trąci myszką. Trudno brać serio szarych wielkogłowych przybyszów o wielkich głowach wyglądających jak kosmici z czarno-białych seriali SF po tym, jak zobaczyliśmy na wielkim ekranie tak wspaniałe i oryginalne dzieło o kontakcie, jak „Nowy początek" („Arrival", 2016) Denisa Villeneuve'a. Trudno uwierzyć, że prawda o obcych obiegnie cały świat, gdy tylko poda ją lokalna stacja telewizyjna – gdyby Spielberg był o pokolenie lub dwa młodszy, to pewnie jego bohaterowie zamiast gnać przed kamery KCXE, ruszyliby w te pędy do jakiegoś popularnego youtubera w stylu Joe Rogana. A już zupełnie nie da się uwierzyć, że tajna organizacja, która dysponuje setkami uzbrojonych agentów oraz wiedzą i bronią dosłownie nie z tego świata, zawaha się przed rozwaleniem łbów ludzi, którzy grożą ujawnieniem ich sekretów.

Można więc chwalić nowy film Spielberga za optymizm, ale trzeba od razu odnotować, że jest to optymizm bardzo naciągany. „Dzień objawienia" to bajka sędziwego bajarza, któremu pod koniec kariery ubzdurało się, że jest mędrcem, który będzie pouczać ludzkość na temat tego, byśmy się mocniej kochali. Bardziej wiarygodnie te słowa zabrzmiałyby w klasztorze klarysek.



REŻ. STEVEN SPIELBERG „DZIEŃ OBJAWIENIA" USA 2026

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 3ac50e40a4



FOT. KAROLINA JÓŹWIAK

Niewyczerpana postironia



Grzegorz Kondrasiuk

Wraz z początkiem lata domyka się regularny sezon teatralny i rozpoczyna czas głównych festiwali. Trzeba zatem odnotować jedną, mniej zauważoną, premierę, dobrze pokazującą nieuchronne przewartościowanie estetyczne. To „Niewyczerpany żart" w Teatrze Narodowym, w reżyserii Kamila Białaszka, kreowanego właśnie przez branżę na „gorące" nazwisko. Tytuł wzbogacił pierwszy sezon nowego dyrektora, Jana Klaty, i wskazuje jeden z obranych przez niego kierunków. Jest to próba wprowadzenia do tego Teatru (i do teatru w ogóle) języka charakterystycznego dla najmłodszych pokoleń – a więc zarazem gest zapraszający, wykonany w ich kierunku.

Już chyba wszyscy zdążyli się zorientować, że najnowsze generacje, mniej więcej do trzydziestki, zarówno jeśli chodzi o sposób bycia, jak i myślenia czy mówienia, znacząco odróżniają się nie tylko od swoich rodziców, lecz także od generacji bliższych im wiekowo. Jak robić teatr dla odbiorcy ukształtowanego od dziecka przez świat cyfrowy, funkcjonującego w rzeczywistości zarządzanej przez algorytmy, zasady ekonomii uwagi i monetyzacji spojrzenia? Skalę odwagi dyrektora Klaty w zmierzeniu się z tematem – a może po prostu desperacji? – pokazuje fakt, że propozycję realizacji od głównej krajowej instytucji teatralnej otrzymał ubiegłoroczny debiutant, rocznik 2000, znany dotąd raczej jako raper. Trafił na mniejszą co prawda i o eksperymentalnej genezie scenę przy ul. Wierzbowej, ale za to z własnym tytułem – taki komfort młodym reżyserom rzadko się zdarza. W wyborze tym widać, typową dla młodości, chęć totalnego zmierzenia się ze światem, wypowiedzenia wszystkiego naraz. Białaszek, który zdążył pokazać się w rapowej wersji „Pana Tadeusza", jako reżyser z ogromnym poczuciem humoru, bezkompromisowo nabijający się ze wszystkich i ze wszystkiego i z talentem do budowania dynamicznych scen osadzonych w internetosferze ma najwidoczniej także ambicję mówienia serio.

„Niewyczerpany żart" nie ma głównego bohatera ani spójności, rozpada się na serię monologów i scen. W co najmniej trzech planach narracyjnych błąkają się tu postaci o trudnej do precyzyjnego odczytania funkcji. Wszystko wynika, jak się wydaje, z osadzenia pierwotnego miejsca akcji w ośrodku dla uzależnionych, bo to alkohol i inne narkotyki mają być lekarstwem, oczywiście nieskutecznym, na trudny do zniesienia świat, który się rozpada na naszych oczach. Nieukojona, wylewająca się zewsząd frustracja, poczucie dziwności świata – to podstawowe nastroje tu eksplorowane. Chyba tylko one pozostają, gdy zrozumiemy, że szyderstwo wobec świata to za mało.

„Niewyczerpany żart" jest adaptacją eksperymentalnej powieści science fiction Amerykanina, Davida Fostera Wallace'a, prozy monumentalnej, wielowątkowej i raczej ateatralnej. W tej panoramicznej fantazji na temat bliskiej przyszłości Foster – zanim popełnił samobójstwo – opisał autodestrukcyjne impulsy typowe dla człowieka późnej nowoczesności. W anglosaskim świecie autor zdobywa status postaci kultowej, a jego twórczość (oraz legenda biograficzna) powoli zdobywa polski rynek wydawniczy. Ale może najistotniejszą sprawą wynikającą z tego dorobku, z dzisiejszej perspektywy, jest podjęta przez niego próba wytłumaczenia światu, jak myślą młodzi ludzie. Posłużyć ma do tego nowa kategoria – postironii (którą przywołują także twórcy spektaklu). Postironia odróżnia się od tak dobrze nam znanej ironii radykalnym zakwestionowaniem wszelkich hierarchii i porządków, a także rezygnacją z dążenia do puent, rozpoznań i rozstrzygnięć. W tej przestrzeni można mówić zarówno i serio, i buffo: np. czy jesteśmy pewni, że młodzi, odwołując się bez przerwy do „papieskiej godziny", tylko nabijają się z Jana Pawła II? A może, przewrotnie, odnotowują jego znaczenie symboliczne? Albo czy podbijająca obecnie Internet, napisana z użyciem sztucznej inteligencji, piosnka o „gejowskim nurku kosmicie" ośmiesza czy uwzniośla mniejszości seksualne?

To są właśnie te problemy poznawcze. Aby je rozstrzygnąć, trzeba zrozumieć, że podstawowym doświadczeniem percepcyjnym najmłodszych generacji jest świat już z założenia podrobiony, zmediatyzowany i zremiksowany. To jeden wielki stand-up – i właśnie tak należy traktować wszelkie deklaracje: polityczne, egzystencjalne, światopoglądowe, religijne. Zrozumienie tego stylu, uchwycenie „beki" w tej nowej perspektywie, przekraczającej staromodną ironię jest według Białaszka kluczem do umysłów zetek i igreków. ©℗

TEATR NARODOWY
DAVID FOSTER WALLACE, „NIEWYCZERPANY ŻART"
REŻYSERIA I ADAPTACJA: KAMIL BIAŁASZEK
PREMIERA: 13 GRUDNIA 2025 R.

eprasa.pl 3ac50e40a4

Smok na uwięzi



Sagrada Família, ostatnie dzieło Gaudíego, to świątynia pokutna. Barcelona miała za co przepraszać Boga

FOT. LLUIS GENE/AFP/EAST NEWS

Zbliżał się wieczór, gdy w Alei Corts tramwaj numer 30 potrącił starszego mężczyznę o wyglądzie kloszarda. Trochę potrwało, zanim pechowego przechodnia przetransportowano do szpitala. W kieszeniach nie miał żadnych dokumentów, tylko modlitewnik oraz garść orzechów zmieszanych z rodzynkami. Dopiero przed świtem architekta odszukali zaniepokojeni jego zniknięciem współpracownicy. Rano odzyskał przytomność, lecz obrażenia (złamane żebra i rozbita czaszka) okazały się na tyle poważne, że mimo wysiłków lekarzy trzy dni po wypadku, 10 czerwca 1926 r., pożegnał się z życiem.



Wiesław Chełminiak

Wizjoner, perfekcjonista, mistyk, megaloman, nacjonalista, mizogin. Antoni Gaudí – wkrótce błogosławiony Kościoła katolickiego – miał dużo cech ludzkich. Niestety, 100 lat po śmierci budowniczy Bazyliki pw. Świętej Rodziny stał się produktem turystycznym. Najcenniejszym, jaki posiada Katalonia

Barcelona, w odruchu nieczystego sumienia, urządziła Antoniemu Gaudíemu pompatyczny pogrzeb. Pochowany w mnisim habicie i z różańcem w ręku na placu budowy, czyli w krypcie powstającej bazyliki dedykowanej Świętej Rodzinie, zaznał spokoju – ale tylko przez dekadę. Gdy w Hiszpanii wybuchła

eprasa.pl 3ac50e40a4

wojna domowa, republikanie sprofanowali grób, podpalając mimochodem pracownię i archiwum nieboszczyka.

SZTUKA TOTALNA

Wbrew legendzie Gaudí nie był romantycznym odludkiem. Należał do wielu stowarzyszeń, widywano go w kawiarni artystów Els Quatre Gats. Jak przystało na katalońskiego patriotę, odmawiał rozmowy w języku kastylijskim (nawet kiedy zagadnął go król Hiszpanii). Z powodu dziwactw stał się ulubieńcem karykaturzystów. Szorstki w obyciu, głosił dewizę: „Za dużo kurtuazji to dowód wychowania w obłudzie".

Porównywano go do Leonarda da Vinci i Dantego, jednak dzieła architekta z Barcelony najwięcej wspólnego mają z rozbuchanymi operami Richarda Wagnera.

Demon pychy często nawiedzał Gaudíego, wkładając mu w usta nader stanowcze sądy o dawnych mistrzach. Rembrandta nazwał „trzeciorzędnym dekoratorem", Michałowi Aniołowi zarzucił brak wrażliwości. Współczesnych zbijał z tropu przeszywającym spojrzeniem.

Salvador Dalí go wielbił. Pablo Picasso ignorował, ponieważ zaliczył Gaudíego do frakcji bigotów. Pablo lgnął do lewicy, Antoni codziennie spowiadał się i brał udział w Mszy. Za młodu dandys i epikurejczyk, palił cygara oraz popijał wino. W wieku dojrzałym został ascetą. Nie oglądał się za kobietami, nie jadł mięsa, wierzył w leczniczą siłę wody. W 1894 r. uczcił Wielki Post głodówką, która prawie pozbawiła go życia. Osiem lat później został sportretowany jako św. Filip Neri w ołtarzu kościoła pod tym samym wezwaniem.

Muzeum Diecezjalne w Barcelonie przechowuje wymyślone przezeń meble. Projektował też latarnie, fontanny, bramy, pomniki, ołtarze, kino, wiadukt, stację kolejową, chorągwie, wizytówki, a nawet pisuary. Obecny status demiurga zawdzięcza jednak obiektom monumentalnym, realizującym niemiecką ideę Gesamtkunstwerk (dzieła sztuki totalnej). Ich wizerunki zdobią okładki przewodników, inspirują autorów czytadeł typu „Tajemnica Gaudíego". Są również wdzięcznym tłem dla narracji filmowych.

Szesnaście lat temu bazylika Sagrada Família została konsekrowana przez papieża Benedykta XVI. Trwają starania o beatyfikację jej twórcy

Park Güell w Barcelonie wystąpił w psychodramie „Zawód: reporter" Antonioniego tudzież w popularnych komediach romantycznych „Vicky Cristina Barcelona" Woody'ego Allena i „Smak życia" Cédrica Klapischa. W filmie „Gaudí Afternoon" w reżyserii Susan Seidelman bohaterka łączy przyjemne z pożytecznym – rozwiązuje kryminalną zagadkę i zwiedza zabytki modernizmu. Cóż, kataloński ekscentryk odmawiając komentowania swojej twórczości i życiorysu, musiał zdawać sobie sprawę, że zrobią to inni. Uważał się za człowieka czynu, żal mu było czasu na oświecanie maluczkich. Poprzestał na ogólnikowym wyznaniu, że natchnienie czerpie z „wielkiej księgi natury". Zapomniał wspomnieć o matematyce, lokalnej tradycji, pismach Eugène'a Viollet-le-Duca, Johna Ruskina i Biblii (ze szczególnym uwzględnieniem księgi Apokalipsy).

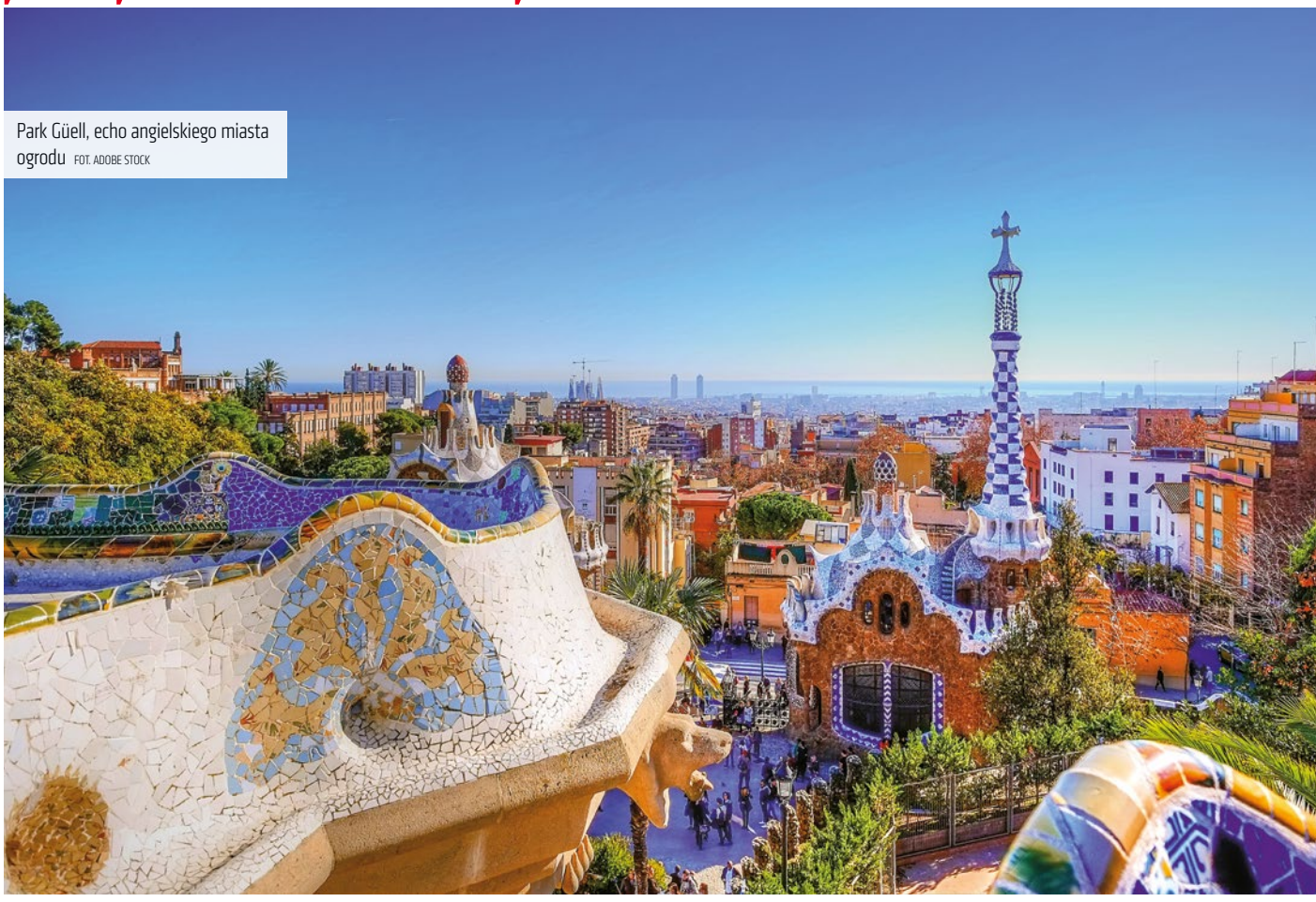
W STRONĘ DISNEYA

Ci, którzy mogli, ale nie zdążyli zaliczyć Tour de Gaudí w XX w., dziś plują sobie w brody. Przyjemność obcowania z wnętrzami barcelońskich budowli stworzonych przez mistrza kosztuje w sumie 132 euro. Nie wspominając o długich kolejkach oraz tłumach uzbrojonych w komórki blogerów, influencerów i entuzjastów selfie. Sprawca całego zamieszania pytany, dlaczego nie wyjeżdża za granicę, odparł: „A dlaczego miałbym to robić? To obcokrajowcy powinni przyjeżdżać tutaj". Życzenie się spełniło. Katalońską stolicę co roku szturmuje kilkunastomilionowa horda cudzoziemców. Inauguracja bazyliki Sagrada Família tudzież jubileuszowe eventy są dla nich dodatkową zachętą. Statystycy już się



El Capricho – przypominająca meczet willa w Kantabrii FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl 3ac50e40a4



Park Güell, echo angielskiego miasta ogrodu FOT. ADOBE STOCK

cieszą, tubylcy niezwiązani z branżą turystyczną rozważają wyprowadzkę.

Legenda Gaudíego ewoluuje. Za życia obracał się w kręgach socjety, obecnie śmiało można go nazwać ludowym bohaterem. Biografowie podkreślają, że syn kotlarza z Reus nigdy nie zapomniał o swoich korzeniach. Wielu jego przyjaciół i współpracowników pochodziło z powiatu Baix Camp, leżącego na zachód od Barcelony. Klerykalizm i obyczajowy konserwatyzm są obce naturze statystycznego Katalończyka. Lecz kto ośmieli się krytykować bohatera narodowego? Światowa sława architekta jest tarczą nie do przebicia.

Gdy umierał, wyglądało to inaczej. Młodemu pokoleniu człowiek zafiksowany na punkcie budowy olbrzymiej świątyni jawił się jako postać anachroniczna, kolejne wcielenie Don Kichota. W sztuce i designie zapanował kult prostoty, estetyka nadmiaru była w odwrocie. Eklektyzm okrzyknięto objawem złego gustu. Twórczość Gaudíego wyrosła z neogotyku i secesji, zwanej w Katalonii modernizmem. Jeszcze za jego życia zwyciężył jednak pogląd, że ta próba wyjścia ze stylistycznego impasu jest ślepą uliczką. Dla wielbiciela krzywej linii i wroga kątów prostych zabrakło miejsca w panteonie.

Nowoczesność zestarzała się szybko i brzydko. Słowa: „ornament to zbrodnia" straciły magiczną moc. Aktualnie przeważa pogląd, że architekt z Barcelony wyprzedził swoje czasy. Tylko czekać, aż zostanie obwołany ojcem chrzestnym postmodernizmu. Z drugiej strony zachwycające turystów bajkowo-teatralne konstrukcje ocierają się o kicz. Autor najlepszej biografii Gaudíego, Gijs van Hensbergen, przyznaje, że część jego spuścizny „charakteryzuje nieco disnejowska wulgarność".

Sam mistrz upierał się, że nie odkrywa niczego nowego, lecz „wraca do źródeł". Czy miał na myśli wiarę katolicką i lokalne tradycje? Taki właśnie podwójny rodowód ma smok – jego ulubiony motyw zdobniczy. O gadzinie, którą sponiewierał św. Jerzy, patron Barcelony, słyszał każdy. Stugłowy Ladon, strzegący mitycznego Ogrodu Hesperyd, dzięki poematowi „Atlantyda" ks. Jacinta Verdaguera (przyjaciela Gaudíego) umościł sobie natomiast legowisko w kanonie katalońskiej literatury.

KAPRYSY PLUTOKRATÓW

Wrażenie wszechobecności Gaudíego w Barcelonie jest złudne. Z 75 poważnych projektów, które przygotowała jego pracownia, realizacji doczekał się zaledwie tuzin. Trzy zlokalizowane są w północnej Hiszpanii. El Capricho – przypominająca meczet willa w Kantabrii, pałac biskupi w Astordze w kształcie średniowiecznej fortecy (architekt napotkawszy opór kanoników, obraził się i wyjechał, zanim położono dachy) tudzież neogotycka Casa de los Botines w Leon są typowe dla XIX-wiecznej estetyki.

W katalońskiej metropolii wycieczkę najlepiej zacząć od Palau Güell. Efekt kolaboracji Gaudíego z najbogatszym obywatelem Hiszpanii od początku wzbudzał kontrowersje, choćby dlatego, że został wzniesiony na skraju dzielnicy owianej złą sławą. Lafiryndy urzędowa-

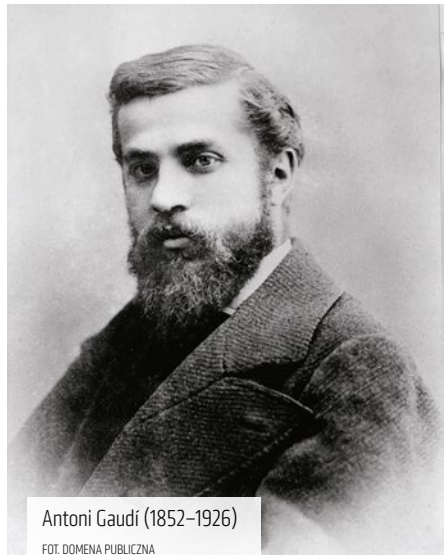
eprasa.pl 3ac50e40a4

ły dosłownie po drugiej stronie ulicy, a w zaułkach nieraz znajdowano ciała ofiar przestępczych porachunków. Osobliwością luksusowego gmachu, który prasa ochrzciła mianem „konstrukcji babilońskiej", był wysoki na trzy piętra hol, przykryty kopułą z otworami przepuszczającymi światło. Dach zdobiły: wiatrowskaz w kształcie nietoperza i 26 fantazyjnych kominów oraz szybów wentylacyjnych obłożonych mozaikami z potłuczonej ceramiki.

Hrabia Eusebi Güell, mimo tytułu otrzymanego od króla, wspierał nacjonalizm kataloński, a umysłowymi horyzontami znacznie przewyższał magnatów tekstylnych z Łodzi. Zapewnił architektowi nieograniczony budżet, ale ingerował w projekty do tego stopnia, że można go uznać za ich współautora. Gaudíemu to nie przeszkadzało, całkiem poważnie porównywał swego pracodawcę do Medyceusza. Pamiątką przyjaźni obu panów jest Park Güell, echo angielskiego miasta ogrodu. Znajdujące się na ówczesnych rubieżach Barcelony osiedle typu kondominium miało być zarazem idylliczne i nowoczesne. Plutokrata i jego pupil wymyślili np., że pseudoantyczny teatr z kolumnadą będzie służyć mieszkańcom jako hala targowa.

Barcelońska elita nie kwapiła się jednak do przeprowadzki na wzgórze, słabo skomunikowane z miastem i ogrodzone wysokim murem. Może zraził ją szczegółowy, pełen zakazów regulamin? Z 60 działek, przeznaczonych na domy, sprzedano dwie. Gaudí, chcąc dać dobry przykład, zamieszkał w osiedlu z sędziwym ojcem i nadużywającą alkoholu siostrzenicą. Nic to nie dało. Park stał się publiczny, urządzano w nim ludyczne imprezy i pikniki. Niedoszły targ służy jako miejsce koncertów. Siedząc na słynnej wężowej ławce, wykonanej przez Josepa Marię Jujola, można kontemplować panoramiczny widok na Barcelonę i Morze Śródziemne. Przez chwilę, bo inni chętni czekają w kolejce.

W pierwszej dekadzie XX w. Gaudí był u szczytu powodzenia. Oprócz utopijnej inwestycji Güella nadzorował budowę miejskich rezydencji Josepa Batlló, potentata z branży tekstylnej, i Pere Mili, magnata prasowego. Kolumny z fasady Casa Batlló przypominają piszczele, kolejną osobliwością „domu z kości" jest



Antoni Gaudí (1852–1926)
FOT. DOMENA PUBLICZNA

garbaty, pokrytym smoczymi łuskami dach. Wnętrze nieodparcie kojarzy się zaś z kapitanem Nemo i jego „Nautilusem".

Casa Milá epatuje falującą elewacją, powyginanymi balkonami i dziwacznymi – nawet jak na Gaudíego – kominami. Ów rzeźbiarski styl stał się wizytówką architekta. Dandys deweloper zostawił mu wolną rękę, ale później tego żałował. Dowiedział się bowiem, że złośliwcy nazywają pałac kamieniołomem lub gniazdem szerszeni. Jego małżonka pomstowała na dom godny „węży i dzikich zwierząt". Gaudí znosił krytykę z anielską cierpliwością. Do czasu, gdy Milá, zatrwożony skalą dewastacji kościołów i klasztorów, która dotknęła Barcelonę latem 1909 r., wymusił usunięcie z projektu akcentów religijnych. Zaczynając od czterometrowej rzeźby Matki Boskiej Różańcowej, która miała ozdobić front budynku.

Jako że inwestor ociągał się z zapłaceniem ostatniej raty honorarium, sprawa trafiła do sądu. Architekt wygrał, pieniądze przekazał jezuitom i oświadczył, że więcej dla ludzi małej wiary pracować nie będzie.

SANTO SUBITO?

Sagrada Família, ostatnie dzieło Gaudíego, to świątynia pokutna. Barcelona miała za co przepraszać Boga, lecz nieprawdą jest, że budowniczy uroił sobie kościół mogący pomieścić wszystkich mieszkańców półmilionowej wtedy metropolii. Według jego obliczeń Święta Rodzina była w stanie przyjąć maksimum 13 tys. wiernych. Musiał jednak wiedzieć, że finału nie dożyje. Monumentalne średniowieczne katedry, którymi dziś chlubi się Europa, są mniej strzeliste, a wznoszono je przez kilka lub kilkanaście pokoleń. Katalończyk swój projekt cały czas ulepszał: zaczynając od neogotyku, doszedł do „form naturalnych".

Gdyby Gaudí dożył wojny domowej, pewnie zostałby zastrzelony razem ze swym przyjacielem, proboszczem świątyni pokutnej. Suterenę Palau Güell komuniści przerobili na więzienie i katownię. Sagrada Família czekała na lepsze czasy. Zdołano ukończyć Fasadę Narodzenia i cztery z 18 zaplanowanych wież. Dla ateuszy nawet ten fragment był irytujący. George Orwell zabłysnął stwierdzeniem, że to „jeden z najohydniejszych budynków na świecie". Żałował, że anarchiści nie wysadzili go w powietrze, kiedy mieli taką możliwość. Gdyby tak się stało, a armia republikanów pokonałaby gen. Francisco Franco, na pustym placu wyrósłby zapewne brat bliźniak warszawskiego Pałacu Kultury i Nauki.

Gdy w Hiszpanii wybuchła wojna domowa, republikanie sprofanowali grób Gaudíego, podpalając mimochodem jego pracownię i archiwum

Historia potoczyła się jednak innym torem. Szesnaście lat temu bazylika została konsekrowana przez papieża Benedykta XVI, trwają starania o beatyfikację jej twórcy. Na razie Watykan zatwierdził dekret o heroiczności cnót Antoniego Gaudíego. Inauguracja ostatniej z wież, która nastąpiła 10 czerwca, zamyka romantyczny rozdział historii. Barcelona jako Światowa Stolica Architektury UNESCO ugości kongresy naukowe. Nie zabraknie jubileuszowych wystaw, koncertów i rekonstrukcji. W Casa Vicens, pierwszym z pałaców zaprojektowanych przez „najsłynniejszego architekta świata", turyści będą mogli podziwiać odrestaurowaną palarnię arabską. Malkontenci zaś, nie chcąc psuć fiesty, darują sobie pytanie: Czy artysta, którego prace podobają się wszystkim, aby na pewno jest geniuszem?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 3ac50e40a4



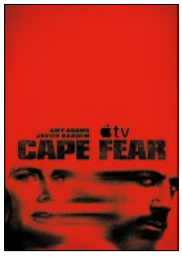
FOT. MATERIAŁY PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Na szaro



★★★★★★

MINISERIA „PRZYLĄDEK STRACHU” („CAPE FEAR”) USA 2026

wyst. Amy Adams, Patrick Wilson, Javier Bardem

Wskutek posiadania pierścienia władzy Bilbo Baggins żył nienaturalnie długo i sam tę nienaturalność odczuwał, wyznając Gandalfowi, że czuje się „jak masło rozsmarowane na zbyt wielkiej kromce chleba”. Era streamingu sprawiła, że rozciąganie rzeczy bez potrzeby stało się nową normą: serialowa wersja „Przylądka strachu” kusi nas 10. odcinkami, podczas gdy w latach 1962 i 1991 reżyserom filmów kinowych (J. Lee Thompson, a potem Martin Scorsese) wystarczyły niespełna dwie godziny. Czuć to niepotrzebne rozsmarowywanie w każdym elemencie sprawnie zrealizowanego i ciekawie obsadzonego serialu; podobna choroba dotknęła niedawno „Uznanego za niewinnego”.

Fabułę „Przylądka strachu” znamy niby na pamięć nie tylko z filmów, lecz także przede wszystkim z powieści Johna D. MacDonalda, twórcy serialu mocno ją jednak modyfikują. Ze szkodą dla samej historii, która była krystalicznie czysta i dlatego przerażająca: okrutny bandzior dybie na życie swego domniemanego krzywdziciela oraz jego rodziny, więc zło w stanie czystym trzeba stawić czoła. Byłym więźniem był przed laty Robert Mitchum, potem Robert De Niro (walczyli z nimi odpowiednio: Gregory Peck i Nick Nolte). Zło bowiem istnieje, źli ludzie chadzają po tym świecie i krzywdzenie niewinnych to dla nich betka – każdy musi się z tym zagrożeniem zmierzyć.

Mamy jednak niestety wiek XXI, w którego kulturze nic nie jest już czarno-białe, tylko wszystko szare, więc twórcy serialowej wersji „Przylądka strachu” (showrunner Nick Antosca oraz producenci Martin Scorsese i Steven Spielberg) niepotrzebnie zmieniają i dopisują. Zamiast jednego prawnika, którego wrogiem jest psychopatyczny Max Cady, mamy ich dwoje, ich rodzina też uległa powiększeniu, w dodatku są podejrzani, a bandzior zostaje poddany typowej dla naszych czasów procedurze wybielania (A może ofiara systemu? A może po prostu ofiara? Może go wrobili?). Najlepszą częścią serii jest zresztą kreacja Javiera Bardema jako bandziora, cieszy też powrót Juliette Lewis, którą pamiętamy z filmu z 1991 r. Reszta jednak zamiast przerażać – męczy. Czyż to nie najkrótsza recenzja większości produkcji ery streamingu? ©℗

GRA TYGODNIA: „FORZA HORIZON 6”

Tym razem jeździmy w Japonii. Mapa nie zawodzi – jest olbrzymia, piękna i klimatyczna. To, czego mogliśmy się spodziewać po kolejnej odsłonie „Forzy”, otrzymaliśmy. Od modelu jazdy, poprzez moc zawartości, aż po oprawę audio-wideo – wszystko stoi na najwyższym poziomie, do którego zdążyliśmy się już przyzwyczaić. Nie ma wiele zmian względem poprzedniczki, czego fani serii raczej nie poczytują za wadę. Nie jest to brylant bez skazy, ale trudno nie polecić „Forzy” fanom motoryzacji. ©℗



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★★

Radosław Wojtas

- **Gatunek:** wyścigi
- **Platforma:** PS5, XSX, PC
- **Producent, wydawca:** Playground Games, Xbox Game Studios

eprasa.pl 3ac50e40a4

Kuzyn marnotrawny

HBO max



★★★☆☆☆

REŻ. JESSE EISENBERG
„PRAWDZIWY BÓL" („A REAL PAIN")
USA/POLSKA 2024

wyst. Jesse Eisenberg, Kieran Culkin, Jennifer Grey

Kieran „Kevin sam w domu" Culkin polski paszport otrzymałby od ręki. Cóż, nie był zainteresowany. Jesse Eisenberg dostał obywatelstwo, bo poprosił. Uzasadnienie? Jego prababka ze strony matki urodziła się w Krasnymstawie. Mniemam, że na decyzji prezydenta Dudy bardziej zaważył film „Prawdziwy ból", w którym Polska wreszcie jawi się krajem normalnym (czyli nudnym), a z ekranu nie padają zarzuty o pomaganiu Niemcom w mordowaniu Żydów. Gdyby Eisenberg scenarzysta darował sobie żarty z Pomnika Powstania Warszawskiego, może odznaczono by go nawet Brązowym Krzyżem Zasługi. Przeczulenie na punkcie opinii, jaką mają o nas cudzoziemcy, już dawno temu przekroczyło granice rozsądku. Dzisiaj należy je traktować w kategoriach obsesji. W internetowych komentarzach dotyczących „Prawdziwego bólu" dominuje ton pretensji. Polska jest ładniejsza, mamy lepsze hotele, restauracje i taksówki niż te pokazane przez Amerykanów. I dlaczego ciągle ten Chopin?

Po prawdzie Eisenberg reżyser dysponując nędznym budżetem, zaszaleć nie mógł. I chyba też nie chciał, ponieważ wizyta kuzynów w ojczyźnie ukochanej babci jest tylko pretekstem (a Polska tłem) do kameralnego dramatu. Dave i Benji równie dobrze mogliby próbować dojść ze sobą do ładu tam, skąd przybyli. Gdyby ktoś zapomniał: druga wojna światowa skończyła się 81 lat temu. Ból, który odczuwają filmowi uczestnicy objazdu szlakiem reliktów żydowskiej kultury i cywilizacji, jest co najwyżej fantomowy. Poza tym z powszechnie znanych powodów naród wybrany zmaga się z wizerunkowym kryzysem. Sympatia i współczucie świata płyną w innych kierunkach.

Co zostaje po obdarciu fabuły z warstwy historyczno-symbolicznej? Klasyczny spór między rutyną i nadwrażliwością, buntem i przystosowaniem. Niewiele, jednak starczyło na Oscara dla Culkina, który kontynuuje dobrą passę z „Sukcesji". Eisenberg aktor okazał się wspaniałomyślny. Rolę kuzyna sztywniaka wziął na siebie. W Ameryce od prestiżu bardziej liczy się zysk. „Prawdziwy ból" zarobił na czysto ponad 20 mln dol. Tom Cruise po każdym występie jest bogatszy o 100 mln. Benji, dla którego „forsa to heroina dla nudziarzy", skończy w wariatkowie. ©℗

Wiesław Chełminiak

TRZY SZÓSTKI

Ma pół wieku i wciąż straszy. „Omen" to horror wzorcowy, jeśli chodzi o budowanie napięcia. Liczba wpadek i przeoczeń woła o pomstę do nieba (prawdziwej dekapitacji towarzyszy fontanna krwi tryskającej z szyi, a w Księdze Apokalipsy nie znajdziesz fragmentu cytowanego w filmie), jednak adekwatna muzyka Jerry'ego Goldsmitha tudzież podziwu godna wstrzemięźliwość w epatowaniu diabelskimi sztuczkami ratują sprawę.

Mniej w tym wypadku znaczy więcej. Ojcem sukcesu jest również Gregory Peck, wiarygodny w każdym ekranowym wcieleniu. Historii chłopczyka, który przyszedł na świat 6 czerwca o godz. 6, brakuje tylko legendy. Gdyby premierę poprzedziła seria tajemniczych zgonów ludzi zaangażowanych w produkcję i promocję „Omenu", stałby się on dziełem kultowym nie tylko w wąskim, satanistycznym kręgu. ©℗



pilot

★★★★☆☆

REŻ. RICHARD DONNER
„OMEN" („THE OMEN")
USA/WIELKA BRYTANIA 1976

wyst. Gregory Peck, Lee Remick, David Warner



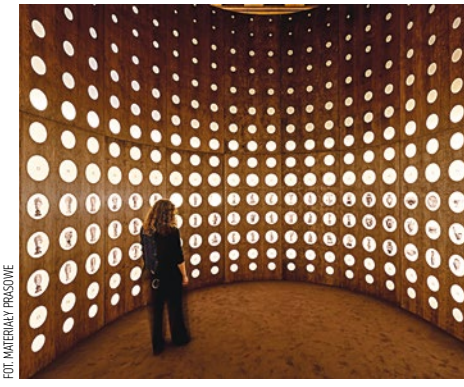
RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Opowieść o antyku

Wystawa „Arcydzieła z kolekcji Lanckorońskich. Opowieść o antyku" to hołd dla klasycznego piękna i wielkiej historii. Punktem wyjścia jest bezcenny dar hrabianki Karoliny Lanckorońskiej z 2000 r., ale Wawelowi udało się sprowadzić również obiekty wypożyczone m.in. z amerykańskiego Getty Museum. Fascynująca podróż do świata Karola Lanckorońskiego – znakomitego erudyty, który u schyłku XIX w. w swoim wiedeńskim pałacu stworzył jedną z najpotężniejszych prywatnych kolekcji starożytności w Europie. Hrabia nie był zwykłym, znudzonym zbieraczem. Miał gust, pieniądze i wiedzę. Sam organizował wyprawy archeologiczne w Azji Mniejszej.

Obok zjawiskowej ceramiki zobaczyć można m.in. rzeźbę portretową z epoki julijsko-klaudyjskiej czy słynną „gemmę Lanckorońskiego" z VI w. Sama aranżacja wystawy autorstwa Bartosza Haducha inspirowana jest zasadami antycznej kompozycji i klasycznej geometrii. ©℗



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

GDZIE? Zamek Królewski na Wawelu **KIEDY?** do 30 sierpnia

eprasa.pl 3ac50e40a4



KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Kraj ludzi dzielnych

Opowiedzieć w jednym tomie całą historię kraju, do tego pod każdym względem tak wyjątkowego jak Stany Zjednoczone, wydaje się niepodobieństwem. A jednak prof. Wojciech Roszkowski sprostał temu, karkołomnemu jak można było sądzić, wyzwaniu. Przedstawił amerykańskie dzieje z polskiego punktu widzenia, nie kryjąc przy tym swoich osobistych poglądów i nie unikając refleksji związanych z pobytem autora za wielką wodą. Co uderza jednak najbardziej w trakcie lektury „Siły i wolności", to nie fascynacja może, nie bezkrytyczny podziw, ale na pewno głęboki szacunek dla kraju „ludzi dzielnych", bo tak śpiewają oni o sobie w swoim narodowym hymnie.

Dużo uwagi poświęca autor Polakom w Ameryce. Pierwsi nasi rodacy przybyli tam, dokładnie do Wirginii, w roku 1608 na pokładzie statku „Mary and Margaret". W angielskiej kolonii w Jamestown zajmowali się wyrobem smoły i szkła, co było rzadką umiejętnością. Polacy pojawili się także w holenderskiej kolonii Nowy Amsterdam. Brali później udział w walce o niepodległość Stanów Zjednoczonych. Wszyscy wiemy o Tadeuszu Kościuszce i Kazimierzu Pułaskim, a w sumie po stronie amerykańskiej było ich ok. 200, wśród nich – mała ciekawostka – Haym Solomon, syn rabina z Leszna, który – jak czytamy – dotarł do Ameryki w 1772 r., wzbogacił się i działał na rzecz niepodległości kolonii. Nowe państwo dla całej rzeszy ludności stało się ziemią obiecaną. Dość przypomnieć, że pod koniec XIX w. Polacy stali się tam trzecią co do liczebności grupą imigrantów. Niby sporo na ten temat powiedziano, a jednak to zainteresowanie Ameryką nie idzie w parze ze znajomością wkładu Polaków w rozwój np. kultury Stanów Zjednoczonych. I tę lukę wypełnia praca prof. Roszkowskiego.

Czytając tę książkę, uświadomiłem sobie, jak mało w gruncie rzeczy wiem o samych początkach Stanów Zjednoczonych. Wydarzenia z lat 1775–1781 nazywane są czasem amerykańską rewolucją, a niekiedy wojną o niepodległość. „Jedno i drugie – pisze prof. Roszkowski – zawiera część prawdy. Bez rewolucyjnej przemiany myślenia w koloniach nie byłoby wojny o niepodległość, a wojna nie skończyłaby się sukcesem Amerykanów, gdyby nie te rewolucyjne przemiany".

Jeszcze w latach 30. XIX stulecia francuski myśliciel i polityk Alexis de Tocqueville tak pisał o Rosji i Stanach Zjednoczonych jako o wschodzących mocarstwach: „Amerykanin walczy z przeciwnościami natury, Rosjanin walczy z ludźmi […]. Zdobycze Amerykanina są wynikiem pługa, zdobycze Rosjanina zaś – miecza […]. Głównym narzędziem pierwszego jest wolność, drugiego zaś – poddaństwo. Ich punkt wyjścia był inny i ich droga jest odmienna, choć każde wydaje się naznaczone przez Opatrzność przeznaczeniem, by objąć pół globu".

Skupiam się na narracji odnoszącej się do nieco zamierzchłej już historii Ameryki, tę nowszą znamy bowiem lepiej. I pamiętamy np. o 13. punkcie projektu prezydenta Thomasa Woodrowa Wilsona przedstawionego światu w orędziu 8 stycznia 1918 r., w którym mówił o konieczności stworzenia niezawisłego państwa polskiego obejmującego terytoria zamieszkane przez ludność „niezaprzeczalnie polską". Ale żeby nie było za pięknie, to z całą pewnością pomysłom jednego z jego następców – Franklina Delano Roosevelta, odnoszącym się do urządzania świata, już po następnej wojnie światowej, „brakowało realizmu, uczciwości i konsekwencji". Taki jest nasz polski ogląd rzeczywistości politycznej i historycznej, niezależnie od tego, na ile pozostaje zgodny z ocenami formułowanymi w innych państwach, także w samych Stanach Zjednoczonych.

Swoją opowieść o Ameryce doprowadza prof. Roszkowski do dzisiaj. Po drodze m.in. bardzo krytycznie podsumowuje wcale nie tylko obyczajową rewolucję lat 60. i oddaje co cesarskie cesarzowi, czyli ulubionemu przez Polaków, jak można sądzić, prezydentowi USA – Ronaldowi Reaganowi. W końcu to on, dzięki swemu programowi „Gwiezdnych Wojen" i antykomunizmowi, pozwolił nam wyśliznąć się z żelaznego „braterskiego" uścisku towarzyszy sowieckich. To także od Reagana zaczerpnął Donald Trump hasło: „Make America Great Again". Naturalnie, jak to on, „używał go po swojemu, nie oglądając się na pierwowzór".

Dziś bardzo wyraźnie widać, że „Amerykanie w Amerykę wierzą nadal, z wyjątkiem tych, którzy wątpią lub Ameryki nienawidzą". Ci jednak podkopują ze wszystkich swych sił podstawy amerykańskiego systemu. Po drugiej stronie mamy tych, którzy za Donaldem Trumpem powtarzają: „Nie zapomnimy o naszym kraju, nie zapomnimy o naszej konstytucji i nie zapomnimy o naszym Bogu".

Lektura książki prof. Wojciecha Roszkowskiego uświadamia, jak wiele cały świat zachodni zawdzięcza takim właśnie Stanom Zjednoczonym, tym, które „nie zapominają". I jak taka właśnie Ameryka jest dla nas, z polskiego punktu widzenia, ważna i potrzebna. ©℗



★★★★★★

WOJCIECH ROSZKOWSKI „SIŁA I WOLNOŚĆ. 250 LAT STANÓW ZJEDNOCZONYCH AMERYKI"
BIAŁY KRUK, KRAKÓW 2026

eprasa.pl 3ac50e40a4



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Niewiara Bergmana

Rodzina, Płeć, Sztuka i Śmierć" wymienia w posłowiu Maaret Koskinen najważniejsze elementy, z których zbudowano filmowy świat Ingmara Bergmana. W tomie „Nienakręcone. Niewystawione, Nieopublikowane" znajdujemy wgląd w to, co niedokonane. Obraz twórcy nie zmienia się, ale poszczególne teksty są intrygujące. „Malowidło na drewnie" to pierwsza, pisana z myślą o scenie, wersja „Siódmej pieczęci". „Śmierć Kaspra", tekst bardzo wczesny (z roku 1942), to także w pewnym sensie przymiarka do tego słynnego filmu, szczególnie w partiach finałowych.

Dla zapalonych fanów i zaawansowanych badaczy twórcy „Persony" to oczywiście materiał bezcenny, zwykły kinoman z ciekawością zagłębi się pewnie w komentarze, którymi sam reżyser opatrywał poszczególne przedsięwzięcia. Szczególnie intrygujący jest komentarz do zamykającego tom tekstu „Szkic do filmu telewizyjnego o śmierci i zmartwychwstaniu Jezusa, i o kilku ludziach, którzy brali udział w tych wydarzeniach". Miał być to film dla włoskiej telewizji, która – jak pisze Bergman – suto zapłaciła, potem z jego pomysłu zrezygnowała i zamówiła film u Franca Zeffirellego. Ostatecznie powstał miniserial „Jezus z Nazaretu" (1977). Jak komentuje kpiąco Bergman: „Powstała piękna książka z obrazami, prawdziwa Biblia pauperum".

Dlaczego zatem reżyser w ogóle rozpatrywał ten projekt? Czemu napisał szkic, który znajdziemy w książce? Przecież „Ja nie jestem wierzący" – pisze w posłowiu do tekstu Bergman. „Każda forma pozaziemskiego zbawienia wydaje mi się bluźniercza, moje życie jest, mówiąc najprościej, bez sensu". Wszystko rozgrywa się w człowieku, nie ma nic ponadto – twierdzi twórca. A jednak... nie jest w stanie cofnąć się przed pokusą zmierzenia z Biblią i postacią Jezusa, jak ten, który gorąco negując, niechcący dowodzi wagi atakowanego problemu, bo jego zaciekłość podpowiada: a może coś jest na rzeczy?

Nie będę twierdził, że Bergman był przez swą antyreligijność reżyserem religijnym, metafizyka, która przenika jego dzieła, to raczej lęk przed śmiercią, to egzystencjalizm wraz z całym swym pesymizmem. Natomiast wczytywanie się w jego autoanalizy pokazuje dokładnie, jak doszło do tego, że tak szybko zdobył pozycję proroka kina, jak szybko został przez kulturalne elity pokochany. W pełnym rozpaczy i nicości XX stuleciu nie mogło być inaczej. ©℗

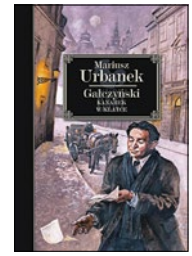


★★★★★★

INGMAR BERGMAN „NIENAKRĘCONE" PIW 2026

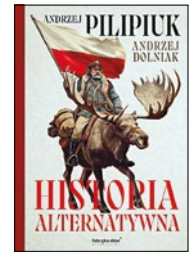
NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

To lubimy w biografiach: i obszerne, i wyborne. Tak jest w przypadku kolejnej książki w dorobku autora, który przybliżał nam już Broniewskiego, Brzechwę, Tyrmanda czy genialnych lwowskich matematyków. Warto.



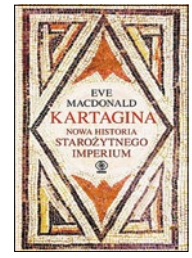
MARIUSZ URBANEK „GAŁCZYŃSKI. KANAREK W KLATCE" ISKRY

Zabawny i prowokacyjny eksperyment – historia alternatywna w formie podręcznika do historii. Są więc znane zdjęcia, ale opisane w innym kontekście, są „relacje świadków", ale przede wszystkim: jest wielka Polska.



ANDRZEJ PILIPIUK, ANDRZEJ DOLNIAK „HISTORIA ALTERNATYWNA" FABRYKA SŁÓW

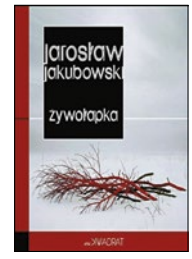
Niemal wszystko, co wiemy o Kartaginie, pochodzi od jej wrogów, Rzymian. Czy byli skazani na konflikt? Co różniło, a co łączyło te imperia? Intrygujące rozważania i smutny koniec: ogień i żelazo kończą dyskusję i kończą historię.



EVE MACDONALD „KARTAGINA" REBIS

Opowieść skazańca – od tego, co widzi wokół (choćby fascynującą porucznik Jedynak czy interesy ubijane ze współwięźniami) po podróż przez pamięć, bo wszyscyśmy z naszych rodziców i z naszego dzieciństwa, na dobre i złe.

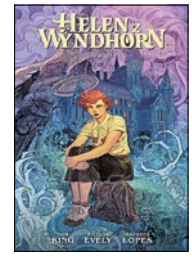
recenzuje Piotr Gociek



JAROSŁAW JAKUBOWSKI „ŻYWOŁAPKA" WYDAWNICTWO FORMA

KOMIKS TYGODNIA:
W RODZINIE

Z pozoru opowieść o tym, jak córka bestsellerów pulp fantasy odkrywa, że świat opisywany przez jej ojca jest prawdziwy i żyją w nim magiczne stwory. Tak naprawdę poruszająca opowieść o rodzinnych traumach, o tym, jak relacje między dziećmi i rodzicami replikują się w kolejnych pokoleniach – a wszystko to opowiedziane zachwycającą kreską przez brazylijską rysowniczkę Bilquis Evely. ***Piotr Gociek***



TOM KING, BILQUIS EVELY, MATHEUS LOPES „HELEN Z WYNDHORN" EGMONT 2026

eprasa.pl 3ac50e40a4

debata DO RZECZY
POLSKA WOBEC KULTU UPA

I kto tu jest niewidomy?





Piotr Semka

Dlaczego Adam Wielomski stawia tezę o trwającym już 80 lat ścisłym sojuszu „banderowców" z Amerykanami? Odnoszę wrażenie, że bardzo pasuje to do tezy Kremla o tym, że samo wymyślenie Ukrainy to wymysł Zachodu, a agresja Władimira Putina to jedynie obrona przed perfidnym planem wojny przeciwko Rosji

Mam duże problemy z polemizowaniem z tekstem Adama Wielomskiego „Niewidomi w Warszawie" („Do Rzeczy" nr 24/2026). Autor w jednym tekście wielokrotnie sam sobie zaprzecza, a na dodatek wiele swoich tez odpiera tezami niesprawdzalnymi lub wątpliwymi. Mimo to postanowiłem podjąć polemikę z Wielomskim, gdyż jest to okazja do szerszej polemiki z obozem w polskiej publicystyce, który bagatelizuje zagrożenie rosyjskie.

Zacznę od kontekstu wynikającego z aktualnej sytuacji politycznej. Decyzja Wołodymyra Zełenskiego o nadaniu jednej z jednostek armii ukraińskiej imienia „Bohaterów UPA" słusznie została uznana za pewną cezurę w relacjach polsko-ukraińskich. Istotnie były powody uznania tego gestu za pewien zwrot we wzajemnych relacjach – za koniec pewnego okresu nadziei, kredytu zaufania, ale i też za objaw końca najostrzejszego okresu w zmiennych losach wojny rosyjsko-ukraińskiej.

Nic nie stoi w miejscu. Zmieniają się potencjały siły i zmieniają się taktyki. I nie zaskoczyło mnie, że Adam Wielomski, który od początku pełnoskalowej fazy konfliktu na linii Moskwa – Kijów był krytykiem pomocy Polski dla Ukrainy, zauważył w obecnym konflikcie na linii Warszawa – Kijów okazję do triumfu. Tyle że jego generalizacje oparte są na mocno wątpliwych tezach. W jego opinii Ukraina zawsze była skazana na gloryfikację takich bohaterów jak Stepan Bandera czy Roman Szuchewycz, a ci, którzy wspierali ją w obronie swojej niepodległości, od początku popełniali błąd lub żyli w kłamstwie. Efektowne to, ale zupełnie nieprawdziwe. W tej historii nic nie było skazane na determinizm. Wyboru dokonał prezydent Zełenski.

ŚLEPOTA CZY HIERARCHIA ZAGROŻEŃ?

Pół roku temu opublikowałem swój tekst pt. „Czy Ukraina to »kraj banderowski« i co to określenie oznacza?" („Do Rzeczy" nr 45/2025). Pisałem w nim o wszystkich tych tendencjach, które dziś w polityce Zełenskiego przekroczyły pewną granicę. I tak samo wspominała o nich spora część tych, którzy uważają, że Ukraina zasługuje na pomoc Europy i Polski, a jednocześnie trzeba od niej wymagać i wspomagać jej rozliczenie się z przeszłością UPA oraz – szerzej – ukraińskiego nacjonalizmu. Ludzie ci nie byli na to, co niepokojące, ślepi, ale inaczej układali hierarchię ważności problemów.

W moim tekście poświęciłem sporo miejsca ocenie, jaki procent ideologii państwowej zajmuje kult bohaterów z UPA w życiu politycznym Ukrainy. Pisałem wówczas: „Ukraina to kraj, który dzięki zatrzymaniu rosyjskiej ofensywy zyskał sporo pewności siebie. Choć najczęściej mamy swoistą mieszankę między desperacją wynikającą z niepewnej sytuacji Ukrainy a pewnością siebie wynikającą z okresowych sukcesów militarnych armii ukraińskiej w starciu z Rosjanami. Wszystko to wskazuje na to, że na pewno szersza refleksja nad wyjątkowością zbrodni wołyńskiej nie nastąpi. Co nie oznacza, że dialogu historycznego nie należy prowadzić. Ale wymaga to spokoju i wiedzy o złożoności tematu".

Tak pisałem w listopadzie 2025 r. i pod tymi słowami nadal z pełnym przekonaniem się podpisuję. Na czym zatem polega zmiana?

Dziś wiemy już w szczegółach, jak wyglądała nieformalna umowa między prezydentem Andrzejem Dudą a Wołodymyrem Zełenskim, zawarta w dniach 19–21 stycznia 2022 r. w rezydencji polskiej głowy państwa w Wiśle. Jakub Kumoch, ówczesny szef Biura Polityki Międzynarodowej Kancelarii Prezydenta RP, relacjonował potem ich założenia w kwartalniku „Bezpieczeństwo Narodo-

eprasa.pl 3ac50e40a4


DLACZEGO ZEŁENSKI CZCI ŻOŁNIERZY UPA?

Pisaliśmy wcześniej w „Do Rzeczy"

we" („Bezpieczeństwo Narodowe" nr 47/2025). Pisał, że w sprawach historycznych prezydent Duda przekazał stronie ukraińskiej, że polska opinia publiczna i on sam będą bardzo ostro reagować na przejawy kultu osób odpowiedzialnych za rzeź wołyńską, czyli Romana Szuchewycza, Kłyma Sawura i innych sprawców masakr, które Polska uznaje za ludobójstwo. Dalej Kumoch relacjonował: „Wyraźnie – jak rozumiem – [prezydent Duda] zasugerował przy tym całkowite odstąpienie od tego kultu, w zamian za co Polska powstrzyma się od maksymalistycznych żądań potępienia całego ukraińskiego ruchu nacjonalistycznego z okresu międzywojennego i drugiej wojny światowej. Sam proponowałem tymczasowy układ, w którym sprawcy ludobójstwa na Wołyniu są wyłączeni z ukraińskiego panteonu, a Polska nie będzie zabierać głosu w sprawie pozostałej działalności UPA, choć jednocześnie nie przyłączy się do żadnego jej upamiętnienia".

Ze strony ukraińskiej mamy tylko jedno potwierdzenie takiego nieformalnego uzgodnienia, ale chodzi o głos dość miarodajnego publicysty Jurija Panczenki, który tak opisuje tamte wydarzenia: „Ukraińscy urzędnicy interpretowali to porozumienie nieco inaczej – ich zdaniem strona ukraińska zobowiązała się do powstrzymywania się na szczeblu państwowym (nie dotyczyło to poziomu lokalnego) od gloryfikowania przywódców OUN i UPA, natomiast strona polska miała nie wykorzystywać tych kwestii do wywierania presji na Ukrainę".

I tutaj pewniki się kończą. Dla nas decyzja prezydenta Zełenskiego o nadaniu Samodzielnemu Centrum Operacji Specjalnych „Północ" imienia „Bohaterów UPA" była zerwaniem tego nieformalnego układu. Ukraińcy ze swej strony twierdzą, że złamaniem ugody było pojawienie się w retoryce w kampanii prezydenckiej Karola Nawrockiego akcentów krytycznych wobec skali uprawnień Ukraińców mieszkających w Polsce. Inna teza strony ukraińskiej głosi, że za naruszenie i de facto zerwanie umowy Kijów uznał ustanowienie przez Sejm 4 czerwca 2025 r. – bezpośrednio po zakończeniu wyborów prezydenckich, lecz jeszcze przed zaprzysiężeniem nowego prezydenta – ustawy o wyznaczeniu na 11 lipca Narodowego Dnia Pamięci Polaków – Ofiar Ludobójstwa dokonanego przez OUN i UPA na ziemiach wschodnich II RP.

Umowa z roku 2022 pokazywała, że obie strony w tej sprawie mogą zachować mądry umiar. I dlatego w swoim tekście z listopada zeszłego roku podkreślałem, że większość pomników i miejsc upamiętnień najbardziej zaangażowanych w rzeź wołyńską dowódców UPA to tereny wschodniej Ukrainy, czyli dawnej Galicji. Podawałem liczby, że na 41 pomników aż 38 znajduje się w trzech galicyjskich ukraińskich obwodach – lwowskim, tarnopolskim i iwanofrankiwskim. Poza dawną Galicją powstały tylko trzy pomniki: dwa w obwodzie równieńskim i jeden w obwodzie chmielnickim. Na dodatek wszystkie wspomniane pomniki powstały między rokiem 1999 a 2016. Od tego czasu rzeczywiście zaczęły pojawiać się ulice przywódców UPA, także w miastach na wschodzie i w centrum Ukrainy, ale były to inicjatywy lokalne, czyli mieściły się w ramach tego nieformalnego układu z 2022 r.

MOTYWY I PRZYCZYNY

Czy zawarcie tego paktu było rozsądne ze strony prezydenta Dudy? Jak każda umowa nieformalna, był on ryzykiem. Nie zmienia to faktu, że w miarę dobrze działał przez ostatnie cztery lata. Teraz Wołodymyr Zełenski podjął decyzję o wysadzeniu tego układu w powietrze. Tak też bywa w polityce. Można zastanawiać się, dlaczego to zrobił. Jedni twierdzą, że była to polityczna prowokacja mająca ułatwić Ukrainie odsunięcie Polski jako kraju zbyt protrumpowskiego od ewentualnych negocjacji pokojowych, a według innych diagnoz Zełenski musiał ulec lobby wojskowemu, które symbolikę UPA uznaje za swoją. Czy jest to jednak powód do twierdzenia, że cały ten okres – lata 2022–2026 – był absurdem, w którym Polska bez żadnego własnego interesu pomagała Ukrainie, a w zamian hodowała „banderowski nowotwór"? Dalej twierdzę, że dostarczenie Ukraińcom broni w pierwszej fazie wojny, kiedy to Władimir Putin chwalił się, że zajmie Kijów w trzy dni, było trafnym posunięciem. Można stawiać pytanie, kiedy nastąpić powinno wyciąganie politycznej korzyści z tej pomocy. I kolejna kwestia, czy prezydent Duda zbyt mocno nie uwierzył w deklaracje osobistej przyjaźni ze strony Zełenskiego. Ale obserwacje, że Ukraina wykazuje często zachowania roszczeniowe lub sam Zełenski popada w histeryczne tony, były w Polsce dyskutowane przynajmniej od wiosny 2023 r. To wszystko jednak nie zmienia faktu, że stosunek do tej pomocy jest wypadkową szerszego dylematu. Czy większym zagrożeniem dla nas jest Rosja czy Ukraina? Przekonanie, że jest nim Rosja, wpływało na spychanie niepokojących tendencji po stronie ukraińskiej na dalszy plan. I nie była to żadna ślepota, tylko podejmowanie politycznego wyboru, do którego zmusza aktualne „tu i teraz".

I dziś triumfalistyczne tyrady, że polscy politycy byli jak ślepi przez ostatnie cztery lata, to nie żaden dowód na realizm, tylko na wybór myślenia w kategoriach stawiania na jakąś ugodę z Rosją przy dezawuowaniu tworzenia frontu oporu wobec neoimperializmu Putina. Dlaczego Szwecja, Finlandia czy państwa bałtyckie chcą kooperować z Ukrainą w dziele budowy sojuszu państw frontowych graniczących w większości z Rosją? Napisałem w większości, bo np. Szwecja z państwem rosyjskim nie graniczy, ale poprzez Finlandię oddziela ją w linii prostej od rosyjskiego niedźwiedzia tylko nieco ponad 300 km. Polska jest akurat w tej specyficznej sytuacji, że jako jedyne spośród tych państw dzieli ją z Ukrainą spór historyczny. I musimy z tym sporem jakoś sobie poradzić, zachowując

eprasa.pl 3ac50e40a4

z jednej strony prawo do naszej oceny przeszłości, a z drugiej – pamiętając o geopolityce i wymogach naszego bezpieczeństwa.

Że to jest niełatwe? Że Zełenski już jawnie stawia na budowanie panteonu narodowego z Andrijem Melnykiem i – jak wszystko wskazuje – ze Stepanem Banderą? Tak.

I tak bywa w światowej polityce. I to jest problem, który muszą rozwiązać nasi politycy i z którym musi sobie poradzić nasz naród. Ile lat to potrwa? Nie wiem. Ale musimy się nauczyć łączyć stawianie twardo naszych racji z umiejętnością mądrej gry z Kijowem.

Bo Ukraina przetrwała i nie zniknie zza naszej wschodniej granicy. Dla Wielomskiego Ukraina to wciąż twór sezonowy. I na dodatek obcy wytwór.

DIABOLICZNI AMERYKANIE

W tekście Wielomskiego pojawia się jeden bardzo charakterystyczny wątek. Według niego Amerykanie przez ostatnie 80 lat hodowali ukraińskich weteranów UPA. Jako dowód podaje to, że po wojnie amerykańskie służby objęły nieformalną opieką weteranów UPA i samego Stepana Banderę. Podaje też prawdziwą informację, że ok. 100 tys. ukraińskich działaczy – członków UPA – zostało przez Brytyjczyków osiedlonych w Kanadzie, gdzie wywodzące się od nich środowisko ma dziś spore wpływy polityczne. A nieco dalej Wielomski pisze: „Na Ukrainie wpływów tych użyto znacznie później, niż się spodziewano, gdyż dopiero po upadku Związku Sowieckiego, ale zrobiono to i Amerykanie nie mieli najmniejszych moralnych problemów z popieraniem ruchów neonazistowskich".

W świecie wyobrażeń Wielomskiego USA roztoczyły swoistą opiekę nad niedobitkami UPA, aż zainstalowały ich na nowej Ukrainie. To naprawdę polityczne science fiction. Owszem, amerykańskie służby wzięły pod swoją opiekę liderów UPA po wojnie, ale na podobnej zasadzie w niemieckim Regensburgu oficerowie gen. George'a Pattona wsparli polskich oficerów Brygady Świętokrzyskiej, a polskich partyzantów trzymano jako rezerwę strategiczną w ramach tzw. Batalionów Wartowniczych – na wypadek gdyby byli potrzebni jako przewodnicy armii amerykańskiej na wschodzie, jeśli wybuchłaby wojna z Józefem Stalinem. Polski uciekinier Rafał Gan-Ganowicz wspominał, że jeszcze w 1959 r. ukończył tajną podchorążówkę utworzoną we Francji w wyniku porozumienia z gen. Władysławem Andersem na wypadek konfliktu Zachodu z Układem Warszawskim. Amerykanie od początku lat 60. wszystkie te „parasole" nad przedstawicielami narodów ujarzmionych powoli wygaszali. 1 sierpnia 1991 r. ówczesny prezydent USA, George Bush (senior), wzywał Ukraińców, aby pozostali w obrębie Związku Sowieckiego. Zrobił to 23 dni przed deklaracją niepodległości Ukrainy, którą ogłosiła Rada Najwyższa Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Sowieckiej. Jakby tego było mało, cztery miesiące później Związek Sowiecki przestał istnieć.

Dziś triumfalistyczne tyrady, że polscy politycy wobec Ukrainy byli przez ostatnie cztery lata jak ślepi, to nie żaden dowód na realizm, tylko na wybór myślenia w kategoriach stawiania na jakąś ugodę z Rosją

Dlaczego więc Wielomski stawia tezę o trwającym już 80 lat ścisłym sojuszu „banderowców" z Amerykanami? Odnoszę wrażenie, że bardzo pasuje to do tezy Kremla o tym, że samo wymyślenie Ukrainy to wymysł Zachodu, a agresja Putina to jedynie obrona przed perfidnym planem wojny przeciwko Rosji.

I jeszcze jedno. W tekście Adama Wielomskiego znalazło się już rytualne przedstawianie doktryny Jerzego Giedroycia jako jedynie funkcji obsesyjnej antyrosyjskości. Taka jej interpretacja oparta jest jedynie na emocji, a brak jej racjonalnych podstaw. Tu znów nie ma zgody. Giedroyc wskazywał prosty fakt – prędzej czy później takie narody, jak Estończycy, Łotysze, Litwini, Białorusini oraz największy spośród nich, naród ukraiński, podejmą działanie na rzecz swojej niepodległości oraz zerwania związku z Rosją. I Giedroyc zachęcał, by już zawczasu prowadzić z Ukraińcami dialog. Czy było to opatrzone przesadnym optymizmem co do szybkości pojednania czy też nie? Jest to już kwestia dyskusji. Ale w koncepcji tej tkwił jak najbardziej racjonalny ładunek analizy politycznej.

Co w zamian otrzymujemy od Wielomskiego? „Nie bez znaczenia były zapewne wspólne kontakty ukraińskiej emigracji i polskich opozycjonistów z Solidarności z CIA, acz na ten temat możemy tylko gdybać dopóty, dopóki nie zostaną otwarte amerykańskie archiwa. Część polskich polityków miała także ukraińskie lub mieszane ukraińsko-polskie korzenie, lecz nie wskażę tutaj nikogo palcem, gdyż znam na ten temat tylko plotki". Czy naprawdę Adam Wielomski chce za pomocą takiej argumentacji tworzyć tezy wyjaśniające złożoność relacji polsko-ukraińskich w ciągu ostatnich pięciu lat?

I wreszcie sprzeciw musi budzić puenta tekstu „Niewidomi w Warszawie". Według Wielomskiego Ukraińcy są skazani na banderyzm, gdyż nasz wschodni sąsiad nie ma żadnej innej idei, doktryny czy ideologii. „Jedyną dostępną ideologią separatyzmu wobec Rosji pozostał szowinistyczny banderyzm". I dalej czytamy: „Zełenski został zakładnikiem tej ideologii, gdyż po jej odrzuceniu nie miałby żadnej idei uzasadniającej istnienie samodzielnej Ukrainy jako państwa narodowego, separatystycznego wobec rosyjskiego imperium". Jakie jest założenie Wielomskiego? Ukraina niezależna od Rosji to oczywisty absurd, więc uzasadnić można to tylko najbardziej skrajnym szowinizmem. Nie. To nieprawda. Ukraińcy chcą osobnego państwa i chcą niepodległości. My w Polsce możemy ubolewać, że Zełenski stawia na tworzenie narodowego panteonu ze Stepana Bandery czy Andrija Melnyka, a nie np. z poety dysydenta Wasyla Sztusa czy biskupa greckokatolickiego błogosławionego Grzegorza Chomyszyna.

Ale tłumaczenie, że niepodległą Ukrainę wymyślili banderowcy na zlecenie Amerykanów, to czysta propaganda i powielanie rosyjskiej retoryki. Ukraińską niepodległość obronili setkami tysięcy ofiar polegli żołnierze. To coś znaczy. Suwerenność państwa nad Dnieprem jest zjawiskiem jak najbardziej naturalnym i można to przyjąć do wiadomości albo temu uparcie zaprzeczać. Tyle że to droga donikąd.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 3ac50e40a4



Adam Wielomski

Kres hegemonii Zachodu

Zachód – ustami i piórem Francisa Fukuyamy – w latach 1989–1991 ogłosił swój triumf nad „azjatyckim" Związkiem Radzieckim i ostateczne panowanie nad całym globem. Dziś widzimy kres tej hegemonii. Nie jest to jakiś radykalny koniec, spektakularny upadek, załamanie się potęgi Zachodu z dnia na dzień. To proces, który obserwujemy mniej więcej od lat 2008–2009

Historycy szacują, że w XVI w., czyli w epoce europejskiego renesansu, Azja wytwarzała ok. dwóch trzecich światowego PKB, podczas gdy Europa z rzadko zaludnioną Afryką i świeżo odkrytą Ameryką zaledwie jedną trzecią. W Chinach nauczono się wytwarzać papier, wymyślono proch i ruchomą czcionkę przed znanym nam wszystkim Gutenbergiem. Relacje podróżników i raporty wojskowych słane do Madrytu i Lizbony dowodzą, że Europejczycy zdawali sobie sprawę z potęgi Chin, Indii i mniejszych królestw. Dlatego nikt poważny nie podejmował wtenczas próby ich podboju. Jedyne, w czym Azja była zapóźniona, to wykorzystanie wymyślonego przez siebie prochu w wojskowości. Azjaci umieli budować wielkie armaty, ale wykorzystywali je wyłącznie do zrobienia wielkiego „bum" w święta państwowe i religijne. Niewykorzystanie prochu było znaczące i symbolizowało kres potęgi Azji. Europa w wiekach XVII–XVIII stworzyła nowy model wiedzy i nauki. Przeszła od filozofii nauki do nauk eksperymentalnych. Zaczęła produkować armaty i muszkiety, a potem zbudowała statki parowe i kolej, gdy Azja nadal kontemplowała tradycyjną mądrość. Dlatego w XIX w. cała Azja popadła w zależność (Chiny) lub stała się kolonią (Indie, Indochiny, Malaje) i tylko jedna jedyna Japonia uniknęła tego losu, importując zachodnią technikę i unowocześniając kraj na wzór zachodni.

Dziś światowa polityka radykalnie zmienia się na naszych oczach – lub też, jeśli ktoś woli tak ująć sprawę, wraca do ustawień fabrycznych istniejących do XVII w. Azja ekonomicznie pęcznieje w oczach, i to zaraz po tym, gdy Zachód – ustami i piórem Francisa Fukuyamy – w latach 1989–1991 ogłosił swój triumf nad „azjatyckim" Związkiem Radzieckim i ostateczne panowanie nad całym globem. Dziś widzimy kres tej hegemonii. Nie jest to jakiś radykalny koniec, spektakularny upadek, załamanie się potęgi Zachodu z dnia na dzień. To proces, który obserwujemy mniej więcej od lat 2008–2009, czyli od globalnego kryzysu finansowego, w którego wyniku Stany Zjednoczone, Europa Zachodnia i państwa związane z Zachodem (Japonia czy Korea Południowa) dostały ciężkiej zadyszki i popadły w spiralę zadłużenia. Światowa depresja w tym czasie ominęła te państwa, które ekonomicznie były luźniej powiązane z dominującą gospodarką amerykańską. Chiny w ciągu kilku miesięcy nadrobiły spory dystans dzielący je od Japonii i nagle stały się drugą gospodarką świata (wedle ich własnych planów miało się to stać dopiero w 2030 r.). Mimo zachodniego kryzysu jak na drożdżach zaczynały rosnąć Indie. Przypadkowo w Rosji skończyła się niedawno wielka smuta, czyli rządy Borysa Jelcyna, i upadłe imperium rosyjskie stanęło na nogi za rządów Władimira Putina. Sytuacja, gdy od czterech lat Rosja prowadzi wojnę z Ukrainą bez zgody i wbrew Waszyngtonowi, wskazuje, że jest w stanie skutecznego buntu przeciwko amerykańskiej dominacji.



ADAM WIELOMSKI „KRES HEGEMONII ZACHODU. NARODZINY ŚWIATA WIELOBIEGUNOWEGO 2022–2026" FUNDACJA PRO VITA BONA, WARSZAWA 2026

Na naszych oczach widzimy skuteczny opór Iranu wobec amerykańskiej presji militarnej i bezradność Donalda Trumpa w tej sytuacji, który musiał pojechać do Pekinu obciążony niepowodzeniem. Po jego odjeździe w Pekinie natychmiast zameldował się Putin, gdy jeszcze kilka lat temu wszystkie decyzje podejmowano w Waszyngtonie. Na naszych oczach zmienia się struktura polityczna świata z jednobiegunowej na wielobiegunową. To nie opinia. To fakt.

Często komentuję te problemy na YouTube (na kanale „Do Rzeczy" i na moim własnym), jak również w formie pisemnej, które to analizy – mam nadzieję – są czytelnikom naszego tygodnika znane. W końcu postanowiłem swoje refleksje spisać w formie książki. Tak powstała moja praca „Kres hegemonii Zachodu. Narodziny świata wielobiegunowego 2022–2026", o której kilka słów chciałbym teraz napisać dla tych, którzy jeszcze jej nie widzieli i nie czytali. Przyznam, że samą książkę napisałem dość szybko, gdyż w dwa miesiące, a to dlatego, iż wszystko miałem już przemyślane i poukładane w głowie od dość dawna. Zresztą w przypadku prac opisujących dynamicznie zmieniający się świat istnieje konieczność szybkiego przelania na papier swoich refleksji, gdyż po dwóch latach prac niechybnie okazałoby się, że każdy rozdział trzeba uzupełniać o analizy coraz to kolejnych zdarzeń. Mój „Kres hegemonii Zachodu" został dociągnięty do wydarzeń z połowy kwietnia 2026 r., gdy właśnie skończył się „gorący" etap amerykańsko-izraelskiej agresji na

eprasa.pl 3ac50e40a4

Iran. Potem szybkie korekty tekstu, skład i wydruk na czerwonym sygnale. Książka po sześciu tygodniach wyszła z drukarni.

TRAKTAT O METODZIE

„Kres hegemonii Zachodu" składa się z dwóch części. Pierwszy rozdział ma charakter teoretyczny, a pozostałe po kolei opisują zasady i ideologię ładu światowego epoki globalizmu, który umiera od momentu wybuchu wojny ukraińsko-rosyjskiej w 2022 r., a następne pozycję ekonomiczną, siłę militarną, doktrynę i światopogląd poszczególnych mocarstw, czyli Stanów Zjednoczonych, Chin, Rosji i Unii Europejskiej. Prawdę mówiąc, podaję w wątpliwość fakt, że – pomimo ustawicznych patetycznych wypowiedzi Ursuli von der Leyen o „geopolitycznej Komisji Europejskiej" – Europa rzeczywiście jest i może być „czwartą potęgą" globalną. Książkę kończę przemyśleniami nad miejscem Polski w nowym systemie, tak aby w nim przetrwać i móc się rozwijać.

Rozdział pierwszy dla czytelnika niemającego teoretycznego przygotowania z nauk o polityce lub stosunków międzynarodowych może wydać się nieco trudny. Jeśli ktoś bardzo chce, to może go pominąć i przejść do analiz polityki światowej. Jeśli ktoś chce jednak poznać mój sposób patrzenia na świat, to gorąco zachęcam do jego uważnej lektury. Prawdę mówiąc, chodziło mi w tym rozdziale o przedstawienie mojej metody analizy, którą można stosować potem samodzielnie i z dużym prawdopodobieństwem przewidzieć moje przyszłe komentarze. Nie ukrywam, że stoję na stanowisku, że podstawowym problemem w stosunkach międzynarodowych jest metoda interpretacji zarówno procesów długofalowych, jak i konkretnych zdarzeń.

W Polsce komentatorzy mają z tym problem. Większość wypowiadających się w wielkich mediach „ekspertów" (przepraszam za użycie słowa, które z wolna staje się obraźliwe, będąc synonimem amatora) podchodzi do wydarzeń na świecie albo emocjonalnie, albo ideologicznie. Analiza emocjonalna opiera się na tym, że kogoś „lubimy" lub go „nie lubimy". Dlatego każdy fakt jest oceniany na korzyść państwa „lubianego" i na korzyść „nielubianego". Wskutek tego „eksperckiego" warsztatu amatora analiza zdarzeń jest „analizą" tylko z nazwy. Oglądamy to od kilku lat, gdy Ukraina była wiecznie wspaniała i bohaterska, a Rosja ciągle ponosiła klęski, upadała, a Putin zmarł w międzyczasie co najmniej pięć razy, zdradzany przez wszystkich sojuszników, włącznie z Chinami. Nawet banderyzm panoszący się na Ukrainie rzekomo był „ruską propagandą" (pomijam fakt, że Ukraińcy to także Rusini i przymiotnik „ruska" odnosi się także do nich). Jeden z moich znajomych „ekspertów" z Facebooka przyznał mi się, że ogląda wyłącznie ukraińskie raporty z frontu, gdyż tam Ukraina „zawsze wygrywa" i on się z tym lepiej czuje. Oczywiście jeśli ktoś lubi wsie potiomkinowskie, to jego sprawa, ale to nie jest postawa badacza, który musi znać stanowiska i oceny wszystkich stron, aby móc wydać w miarę obiektywny osąd sytuacji. Równie katastrofalne „analizy" wynikają ze zmieszania ideologii z oceną tego, co się dzieje na świecie i gdzie są nasze interesy. Ideologizacja analizy wciąga nas wiecznie do obozu „demokratycznego", którego przywódcy – powiedzmy to sobie szczerze – traktują Polskę jako ekonomiczną i polityczną neokolonię, śmiejąc się z polskiej infantylności. Do tego grona dołączył ostatnio nawet Wołodymyr Zełenski, który w zależności od potrzeb może być demokratą, banderowcem, Europejczykiem albo prorosyjskim Żydem.

Dlatego pierwszy rozdział „Kresu hegemonii Zachodu" poświęciłem mojej metodzie analizy, którą staram się uwolnić od ocen emocjonalnych i ideologicznych. Oczywiście mam świadomość, że sama metoda w dużej mierze wynika z poglądów analizującego, acz nie chodzi tutaj o jakąś wizję ideologiczną. Metoda oceny stosunków międzynarodowych wynika z poglądów antropologicznych, czyli z pewnej koncepcji natury ludzkiej: człowieka jako jednostki i zachowań grup ludzkich zorganizowanych w państwa, którymi rządzą ludzie ze swoją mieszanką racjonalności, namiętności i instynktów. Osobiście stoję na stanowisku tzw. pesymizmu antropologicznego, czyli przekonania, że w człowieku nieredukowalnym elementem jest zło prowadzące ludzi do konfliktów i wojen. W kwestii natury ludzkiej zawsze byłem czytelnikiem pism św. Augustyna i uważam, że bez jego koncepcji grzechu pierworodnego nie sposób jest zrozumieć politykę.



FOT. ADOBE STOCK

O WIELOBIEGUNOWOŚCI

Jeśli kogoś moja metoda nie interesuje i chce się dowiedzieć, jak oceniam sprawy międzynarodowe, to może pominąć rozdział pierwszy i przejść od razu do analizy polityki mocarstw w kształtującym się świecie wielobiegunowym. Nie mam najmniejszej wątpliwości, że świat hegemonii zachodniej już się skończył i jest to fakt obiektywny. Istniał on w latach 1991–2022, gdy po rozpadzie Związku Radzieckiego Stany Zjednoczone nie miały godnego siebie rywala na kuli ziemskiej i przez krótką chwilę mieliśmy – jak to nazywają Amerykanie – „moment jednobiegunowy", gdy jedno mocarstwo kontrolowało cały świat. Ważne, że sami Amerykanie najpierw używali pojęcia „moment jednobiegunowy", zdając sobie sprawę, że nie sposób jest panować nad całym światem przez długi okres. Potem jednak górę wzięły imperialna pycha i przekonanie, że „moment" można przedłużać w nieskończoność. Dopiero Donald Trump miał odwagę ogłosić koniec snu o jednobiegunowości, choć wojna, w którą uwikłał się z Iranem i której nie potrafi wygrać, wskazuje, że nawet on ze swojej

eprasa.pl 3ac50e40a4



słusznej tezy ogólnej nie umiał wyciągnąć trafnych praktycznych wniosków. Gorzej jest w Polsce, gdzie środowisko Jarosława Kaczyńskiego nie rozumie tego problemu w ogóle i stoi na stanowisku, że jest to kwestia woli amerykańskiego prezydenta, a nie obiektywnej sytuacji zaniku przewagi USA nad tym, co do niedawna z pogardą Amerykanie określali mianem „reszty świata". Dziś ta reszta świata już tej hegemonii nie uznaje.

Mówiąc Lechem Wałęsą, świat jednobiegunowy z amerykańską hegemonią miał swoje „plusy dodatnie i plusy ujemne". Plusem dodatnim były generalnie panujący na świecie pokój i brak możliwości wybuchu wojny światowej z użyciem broni nuklearnej. Ale były też „plusy ujemne". Hegemoni zawsze wykorzystywali swoją władzę nie dla dobra ogólnego, lecz nadużywali jej dla korzyści własnej. Oporni wobec tej dominacji, którą uznawali za bezprawie, byli bombardowani w kolejnych „operacjach pokojowych" i „misjach stabilizacyjnych". Przywódcy ginęli lub stawiano ich przed sądami międzynarodowymi realizującymi wytyczne z Waszyngtonu i wedle norm prawa międzynarodowego podyktowanych przez USA, którym sami amerykańscy przywódcy nie podlegali. To właśnie polityczny efekt tego, co św. Augustyn nauczał o grzechu pierworodnym. Pod parasolem Waszyngtonu powstały globalny wolny rynek i zjawisko jednoczenia się świata, czyli globalizacji. Pod tym parasolem wyrosła cała ideologia Klausa Schwaba i Światowego Forum Ekonomicznego.

Jednak od lat 2008–2009 amerykańska hegemonia słabła. Nie, nie dlatego, że Stany Zjednoczone słabły. Przeciwnie. W odróżnieniu od UE siła USA cały czas rosła. Tyle że spadała w relacji do wschodzących potęg, które rozwijały się szybciej i było ich kilka równocześnie. Chodzi przede wszystkim o Chiny, a także Indie i inne państwa Globalnego Południa, jak i o Rosję, która pod przywództwem Putina przezwyciężyła procesy rozkładowe epoki Jelcyna. Katalizatorem upadku hegemonii Zachodu okazała się wojna ukraińsko-rosyjska z 2022 r. Zachód był przekonany, że zmiażdży Rosję, nakładając na nią gorset sankcji. Lecz sankcje te nałożył na Moskwę tylko tzw. kolektywny Zachód. Reszta świata tego nie zrobiła i okazało się, że można żyć i prowadzić wojnę wbrew Zachodowi, w oparciu o Chiny i Globalne Południe. Poza Zachodem też jest życie. Dlaczego na Zachodzie przeoczono moment utraty hegemonii? Moim zdaniem – i to jest teza autorska „Kresu hegemonii Zachodu" – głównie dlatego, że potęgę ciągle liczono w PKB, a elity polityczne świata transatlantyckiego popadły w narcystyczny samozachwyt i poczucie moralnej wyższości z powodu swojej demokracji i standardów prawnoczłowieczych. Ten samozachwyt to stare europejskie protekcjonalne spojrzenie na świat z perspektywy „białego człowieka", tylko tutaj ubrane w język prawnoczłowieczego fundamentalizmu, co prowadziło do niedostrzegania rzeczywistego układu sił.

Zaskoczenie tytułowym kresem hegemonii Zachodu to wynik fascynacji PKB, które uważam za błędny miernik potęgi. Najważniejsza jest realna siła nabywcza (PPP), czyli ile za daną kwotę pieniędzy można rzeczywiście kupić w konkretnym państwie. Jeśli zarabiam 50 proc. mniej niż w USA, ale ceny też są o 50 proc niższe, to moje możliwości nabywcze będą podobne, o ile tylko kupuję produkty krajowe, a nie zachodnie. Jest to szczególnie istotne w przypadku pomiaru wydatków militarnych. Gdy Rosja i Chiny płacą żołd żołnierzom, to nie wedle stawek amerykańskich, lecz własnych. Gdy kupują broń u siebie, a nie na Zachodzie, to po własnych cenach. Dla przykładu: PKB USA to dzisiaj 31 bln dol., gdy Chin „tylko" 20 bln, lecz jeśli przejdziemy na miernik PPP, to wynosi on dalej 31 bln w USA i aż 40 bln w Chinach, gdzie ceny są statystycznie dwa razy niższe. W Rosji wskaźnik PPP powoduje, że ceny realne trzeba dzielić przez 2,5 w stosunku do amerykańskich. PPP widać szczególnie w zbrojeniach. Mówi się nam o niesamowitej przewadze zbrojeniowej Stanów Zjednoczonych nad światem. Ale to pozór. USA wydają na zbrojenia bilion dolarów rocznie, gdy blok Chino-Rosji 0,45 tej kwoty nominalnej. Lecz po przeliczeniu przez PPP okazuje się, że kwoty te są praktycznie identyczne! Stąd relatywna słabość armii indyjskiej, która w znacznej mierze kupuje broń w Europie, po wysokich cenach. Dlatego w latach 2022–2025 Polska wydawała na zbrojenia od 42 proc. do 100 proc. więcej niż Turcja, a mimo to rankingi potęgi militarnej z 2026 r. klasyfikują Turcję na pozycji dziewiątej, a Polsce dają pozycję 21. Bo żołd jest w Polsce wyższy i kupujemy nieprawdopodobnie drogą broń amerykańską, gdy Turcy produkują własne samoloty i rakiety balistyczne.

Jeśli interesują państwa te i inne problemy współczesnych stosunków międzynarodowych i ich powrotu do „ustawień fabrycznych" z XVI stulecia, to zapraszam serdecznie do lektury mojej najnowszej książki.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 3ac50e40a4

Uciec przed sądem historii


Zygmunt Bauman w 1953 r.
FOT. IPN



Filip Memches

Książka Zygmunta Baumana pomyślana została jako pozycja rozliczeniowa. Ale ostatecznie taka nie jest. Trudno się oprzeć wrażeniu, że autor swoimi przeintelektualizowanymi – fragmentami grafomańskimi – wywodami na temat III RP po prostu próbował zakłamać rzeczywistość – także w odniesieniu do swojego uwikłania w komunizm

To niewątpliwie w Polsce postać kontrowersyjna. Chodzi o Zygmunta Baumana, którego autobiografia zatytułowana „W pierwszej osobie. Wspomnienia i rozliczenia" ukazała się niedawno nakładem Wydawnictwa Agora. Trudno powiedzieć coś o okolicznościach powstania tej książki. Nic na ten temat w niej nie ma. Można się domyślać, że powstawała mniej więcej dwie dekady temu, w czasach pierwszych rządów Prawa i Sprawiedliwości – ugrupowania, któremu autor nie szczędzi na jej kartach uszczypliwości.

O tym, kim jest Bauman dla lewicowo-liberalnych środowisk, które w latach 90. XX w. nadawały ton polskiemu życiu publicznemu, świadczą blurby na tylnej części okładki książki. To w istocie panegiryki na cześć autora, napisane przez ludzi kojarzonych z kręgiem „Gazety Wyborczej" – medium należącego do tego samego koncernu, co Wydawnictwo Agora. Są tu zatem rekomendacje Ireny Grudzińskiej-Gross, Joanny Tokarskiej-Bakir, Artura Domosławskiego i samego Adama Michnika. Trudno, żeby Bauman nie był postacią kultową w oczach tych ludzi. Jego droga życiowa naznaczona została bowiem doświadczeniami, które wpisują się w serwowane przez nich narracje o XX-wiecznych zakrętach dziejowych. I o tym jest właśnie „W pierwszej osobie".

Oczywiście kluczowe jest to, że Baumanem można się pochwalić. Ów zmarły w roku 2017 – dożywszy blisko 92 lat – emigrant z Polski, socjolog, wieloletni profesor uniwersytetu w Leeds, zrobił karierę nie tylko akademicką. Bauman zaliczany jest do czołowych myślicieli postmodernizmu w skali światowej. Najważniejsze jego dzieła współkształtujące ten nurt refleksji filozoficznej, kulturoznawczej, socjologicznej zostały napisane po angielsku. Ale przecież to nie emigracyjny dorobek intelektualny Baumana wywołuje nad Wisłą spory o uczonego. Dlatego trzeba pokrótce przypomnieć, co się ze słynnym socjologiem działo, zanim trafił do Wielkiej Brytanii. Tego zresztą dotyczy większość „W pierwszej osobie".

Tę część książki czyta się jak znakomitą literaturę – uwagę tu przykuwa gorzka autoironia. Nie jest ona jednak dla Baumana wyłącznie błyskotliwie stosowanym środkiem literackim. To również metoda dystansowania się autora do tego wszystkiego w jego życiu, co nie przynosi mu chluby.

ŚCIEŻKA ASYMILACJI

Zygmunt Bauman urodził się w Poznaniu w kupieckiej, choć niezamożnej rodzinie żydowskiej. Rodzice przyszłego uczonego podążali ścieżką asymilacji. Jak czytamy w książce, w domu rozmawiało się po polsku, rodzina wynajmowała mieszkanie „z dala od żydowskiej dzielnicy, na niepokalanie polskich Jeżycach". A jednak tożsamość żydowska dawała o sobie znać – zwłaszcza za pośrednictwem wyznającego judaizm dziadka po mieczu. Poza tym – relacjonuje autor – nie pozwalali o niej zapomnieć również Polacy. W tym kontekście Bauman wspomina getto ławkowe, w którym został usadzony podczas edukacji w gimnazjum.

II Rzeczpospolita jest w książce przedstawiona w czarnych barwach. Baumana w odrodzonym po zaborach państwie uwierały głównie dwa zjawiska: „niewiarygodne ubóstwo" oraz dyskryminacja mniejszości narodowych, zwłaszcza tej, do której sam należał. Takie postrzeganie II RP wpłynęło na to, jakie miał potem poglądy polityczne – stał się lewicowym orędownikiem naprawy świata.

Ale wcześniej wybuchła druga wojna światowa. Bauman jeszcze nie był dorosłym człowiekiem. Rodzina przyszłego socjologa przeczuwając, co ją czeka, opuściła tereny okupowane przez Niemcy, zanim ruszył Endlösung, i udała się na ziemie polskie anektowane przez Związek Sowiecki.

Dużo do myślenia dają rozważania Baumana dotyczące różnicy między sy-

eprasa.pl 3ac50e40a4

tuacją Polaków a sytuacją Żydów po obu stronach granicy niemiecko-sowieckiej. Zdaniem autora dla Polaków obie okupacje były takie same, Żydzi zaś wybierali między „niechybną zagładą" a „szansą przeżycia". Z kolei w innym miejscu Bauman porusza sprawę stosunków polsko-żydowskich pod okupacją niemiecką. Cytuje wypowiedź pewnego Żyda, który ukrywał się wśród Polaków. Słowa: „Żyłem w ciągłym lęku, że zabiją mnie Niemcy, ale jeszcze bardziej bałem się Polaków, którzy mogli mnie łatwo rozpoznać jako Żyda" brzmią jak akt oskarżenia wobec narodu polskiego.

W ZSRS Bauman kontynuował swoją edukację. Co ciekawe, w książce wyznaje, że wtedy czuł się naprawdę Polakiem. Oznajmia: „W mojej klasie nikt nie mówił tak niezbrukaną i bogatą polszczyzną jak ja. Nikt z równą swobodą nie czerpał ze skarbów polskiej historii i literatury". To świadczy o tym, że wbrew obiegowej na polskiej prawicy opinii ci komuniści w Polsce, którzy wywodzili się z żydowskich rodzin, w praktyce nie byli w stanie wybrać – w imię „internacjonalizmu proletariackiego" – wynarodowienia. Przyroda bowiem nie znosi próżni. Polskość stanowiła czynnik awansu społecznego, więc wypierała żydowskość – a sprzyjała temu asymilacja.

SŁUŻBA W BEZPIECE

Wreszcie nadszedł moment, gdy Bauman wkroczył w dorosłe życie. W ZSRS imał się różnych zajęć, włącznie z tym, że… przez jakiś czas był milicjantem na ulicach Moskwy. Jak to się stało? Autor udziela zabawnej (czy przekonującej – to inna sprawa) odpowiedzi: „Widocznie Stalin albo któryś z jego dworzan prześcigających się w zgadywaniu myśli Wodza wpadł na chytry pomysł: żeby zapobiec fraternizacji sił porządkowych z miejscową ludnością, której mają pilnować, trzeba, by składały się one z ludzi, którzy z tubylcami nie mają wspólnego języka".

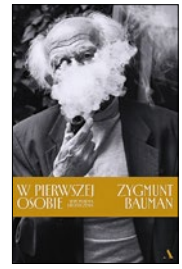
Ostatecznie Bauman przywdział mundur armii Zygmunta Berlinga. Przeszedł z nią szlak bojowy aż do Berlina. Następnie zaś został funkcjonariuszem struktur nowego komunistycznego państwa. Jak twierdzi, uwierzył w to, że przezwyciężyły ono podziały społeczne, które były utrapieniem II RP. Ponadto podjął studia, które zaowocowały tym, że został socjologiem. Jako naukowiec pracował na Uniwersytecie Warszawskim.

I tu zaczyna się szczególny okres w życiu autora. Wstąpił on do Polskiej Partii Robotniczej, ale to nie wszystko. Został oficerem politycznym w Korpusie Bezpieczeństwa Wewnętrznego oraz agentem Informacji Wojskowej. W książce służbę w tych dwóch organach bagatelizuje. Kiedy oznajmia, że „KBW był pierwszą niemal kompletnie »zderusyfikowaną« formacją wojskową w Polsce", to można odnieść wrażenie, że bałamutnie wyciąga „patriotyczny" argument, żeby bronić reputacji tej jednej z odnóg bezpieki. Natomiast jeśli chodzi o bycie agentem Informacji Wojskowej, to już wprost konstatuje: „[…] jak na żółtodzioba przystało, […] sądziłem, że pomoc kontrwywiadowi jest dla oficera oczywistym patriotycznym obowiązkiem wobec sił zbrojnych i państwa, którego broni".

A przecież do zadań Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego należało m.in. zwalczanie polskiego podziemia antykomunistycznego. Bauman jednak widzi to inaczej. Przede wszystkim kreśli swój autoportret jako politruka i biurokraty, który właściwie nikomu nie szkodził. Temu wizerunkowi przeczy choćby to, co dziennikarz i publicysta Dariusz Rosiak napisał w książce „Bauman". Czytamy w niej, że władza ludowa wysoko oceniała aktywność tytułowej postaci na polu walki rewolucyjnej. Potwierdzeniem tego może być choćby wniosek odznaczeniowy wystawiony 15 maja 1946 r. przez dowódców KBW na Pomorzu. Jest tam mowa o akcji w powiecie ostrołęckim (z innych dokumentów wynika, że na Białostocczyźnie) przeciw „bandom NSZ i AK". Baumana pochwalono za skuteczność działań – jego grupa operacyjna „była najbardziej bojowa i zdyscyplinowana".

PRZECIW PRAWICY

Tymczasem autor „W pierwszej osobie" tworzy na swój temat legendę człowieka, który ostatecznie w PRL się nie odnalazł i będąc inteligentem oraz Żydem, musiał nieubłaganie przejść na pozycje dysydenckie. Zaczęło się od tego, że jego przełożeni w bezpiece stracili do niego zaufanie, a wpływ na to miał fakt, że ojciec socjologa ubiegał się o możliwość wyjazdu do Izraela. W latach 50. Zygmunt Bauman został usunięty z wojska, lecz pozostał członkiem PZPR. Następnie zmieniały się poglądy uczonego. Rozczarowany totalitarnymi metodami sprawowania władzy zasilił wewnętrzną opozycję w PZPR, oskarżaną przez jej przeciwników – na fali antyizraelskiej kampanii w PRL – o „syjonizm". Po wydarzeniach Marca '68 wyemigrował z Polski. Skądinąd to, że Bauman przedstawia się jako ofiara polskiego antysemityzmu, nabiera dodatkowego smaczku, jeśli weźmiemy pod uwagę mocno krytyczne nastawienie socjologa do polityki izraelskiej wobec ludności palestyńskiej (w książce autor daje do zrozumienia, że takie zajmuje stanowisko, ale tego wątku nie rozwija, a szkoda).



ZYGMUNT BAUMAN „W PIERWSZEJ OSOBIE. WSPOMNIENIA I ROZLICZENIA" WYDAWNICTWO AGORA, WARSZAWA 2026

Walory literackie „W pierwszej osobie" znikają, gdy uczony zaczyna poruszać kwestie dotyczące debaty publicznej w III Rzeczypospolitej. Jak już zostało powiedziane, na celowniku Baumana jest PiS. Zwłaszcza w niewybredny sposób dostaje się Lechowi i Jarosławowi Kaczyńskim. Tok myślenia autora można streścić następująco: polska prawica to fanatycy, którzy oszaleli na punkcie lustracji. Nie poważają żadnych uznanych autorytetów – takich jak choćby Adam Michnik. Nie dociera do nich, że świata nie da się naprawić. A przecież skoro komunizm okazał się ślepą uliczką, to i to samo okaże się z antykomunizmem.

Tak więc ostatecznie Bauman zamiast odważnie zmierzyć się ze swoją przeszłością, popada po prostu w to, co Rafał A. Ziemkiewicz nazywa „michnikowszczyzną". W książce socjologa zwycięża stadne myślenie, charakterystyczne dla ludzi, którzy oddają mu hołdy w blurbach. Trudno się oprzeć wrażeniu, że uczony swoimi przeintelektualizowanymi – fragmentami grafomańskimi – wywodami na temat III RP po prostu próbował zakłamać rzeczywistość – również w odniesieniu do swojego uwikłania w komunizm – i uciec przed sądem historii. Tak więc wbrew podtytułowi książki („Wspomnienia i rozliczenia") to nie jest pozycja rozliczeniowa. Przynajmniej wobec samego siebie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 3ac50e40a4



Z dr. Andrzejem Margasińskim, psychologiem, nauczycielem akademickim i autorem książek
rozmawia Paweł Chmielewski

„Genderowe credo” bez podstaw naukowych

FOT. ADOBE STOCK

PAWEŁ CHMIELEWSKI: Genderyzm jest promowany jako coś jednoznacznie dobrego – również dla dzieci. Jednak jeden z „ojców założycieli” genderyzmu, Alfred Kinsey, bywa oskarżany o eksperymenty na dzieciach. Jak to możliwe?

DR ANDRZEJ MARGASIŃSKI: Ta postać, uważana za jednego z ojców współczesnej seksuologii, to tak naprawdę jeden z największych naukowych hochsztaplerów. Kinsey w latach 1948 i 1953 opublikował dwa słynne raporty poświęcone zachowaniom seksualnym Amerykanów. Przekonywał, że zachowania homoseksualne są powszechne. Jak później wykazano, badania te były metodologicznie niepoprawne. Kinsey badał więźniów, ochotników z klubów gejowskich, alfonsów czy prostytutki. Dane rozciągał na całe społeczeństwo. Taką metodologię uznaje się za obciążoną błędem doboru próby. Dodatkowo Kinsey naginał kodowanie odpowiedzi.

Jaki jest związek Kinseya z pedofilią?

To kluczowa sprawa. Jak wykazała amerykańska badaczka, Judith Reisman, prawdziwym celem Kinseya była nie tylko legalizacja homoseksualizmu, lecz także pedofilii, a nawet zoofilii. W swoim pierwszym raporcie Kinsey zamieścił tabele pokazujące liczbę orgazmów przeżywanych jakoby przez niemowlęta i małe dzieci.

Co?!

Tak właśnie… Kinseyowi zależało na udowodnieniu, że człowiek od najwcześniejszych tygodni życia jest istotą na wskroś seksualną, a nasza natura i seksualność są czysto zwierzęce. Zamieszczone w raporcie tabele są skandaliczne, ponieważ zebranie tego typu danych na małych dzieciach musiało być równoznaczne z ich seksualnym molestowaniem. Kinsey był świadom takiego zarzutu, dlatego twierdził, że część danych zebrał ze wspomnień osób badanych (co jest niemożliwe, bo nikt nie pamięta rzeczy z lat przed czwartym–piątym rokiem życia!), a część miały mu dostarczać osoby z zewnątrz. Jak się później okazało, był to zasadniczo jeden osobnik „Pan X”, ciężko zaburzony pedofil i zoofil, uprawiający seks z własną babką, ojcem, setkami dzieci, zwierzętami…

Te informacje były przez lata pilnie strzeżoną tajemnicą Instytutu Kinseya. Nigdy się z tego przekonująco nie wytłumaczono. Dopiero żmudna praca Judith Reisman i dziennikarskie śledztwa doprowadziły do ujawnienia prawdy. Swoje książki poświęcone Kinseyowi Reisman zadedykowała kilkuset dzieciom – ofiarom nielegalnych eksperymentów seksualnych. Warto polecić obejrzenie wstrząsającego i demaskatorskiego filmu „Pedofile Kinseya” na YouTube.

Skoro Kinsey był takim hochsztaplerem, to czy to samo można zarzucić tzw. gender studies w ogóle?

To kluczowa kwestia. Jak wyjaśniam w swojej pracy „Genderyzm. Między ideologią a nauką”, w obrębie nauk społecznych można prowadzić poprawne metodologicznie badania osadzone na założeniach genderowych. Można przyglądać się np. międzypłciowym różnicom w zarobkach, preferencjom zawodowym i rodzinnym, różnym ścieżkom kariery, zainteresowaniom, uwarunkowaniom osobowościowym czy światopoglądowi.

Takim badaniom nie można z góry odmawiać waloru naukowości.

To w czym tkwi problem?

Kiedy czyta się autorów genderowych (czy raczej głównie autorki), jak Judith Butler, Rebecca Jordan-Young, Cordelia Fine albo, na gruncie polskim, Maria Pawłowska, to łatwo zauważyć określoną antropologię. To wizja człowieka osadzona na tezach, które nazywam „genderowym credo” i które zdają się pełnić funkcję niepodważalnych aksjomatów. Chodzi tu o przekonanie o braku różnic między kobietami a mężczyznami w budowie i funkcjonowaniu mózgu, poziomie inteligencji, zdolnościach, uczuciach czy zainteresowaniach. Autorzy genderowi twierdzą, że wszelkie obserwowalne

eprasa.pl 3ac50e40a4

kontrasty między płciami są skutkiem patriarchalnego społeczeństwa oraz opresyjnego traktowania kobiet, które od najmłodszych lat są wychowywane do pełnienia ról podrzędnych. Towarzyszy temu przekonanie, że różnice te można zniwelować za pomocą edukacji i polityki społecznej, a płeć można dowolnie zmieniać.



ANDRZEJ MARGASIŃSKI „GENDERYZM. MIĘDZY IDEOLOGIĄ A NAUKĄ" IMPULS 2026

Jest to oparte na dowodach?

Jak staram się wykazać, „genderowe credo" nie ma rzetelnych podstaw naukowych. To jednostronne spojrzenie na człowieka, osadzone w konstruktywizmie społecznym i postmodernizmie, lekceważące uwarunkowania biologiczne. Ponieważ tezy te zdają się funkcjonować jako niepodważalne, można mówić o ich doktrynalnym i ideologicznym charakterze. Nauka dąży do odkrywania prawdy o rzeczywistości, niezależnie od tego, czy uzyskane wyniki są zgodne z oczekiwaniami badacza. W ujęciu autorów genderowych uprawnione mają być jedynie poglądy zgodne z aksjomatami „genderowego credo". W tym sensie mamy tu do czynienia raczej z ideologią.

Wróćmy do kwestii pedofilii. W latach 70., 80. i 90. pedofilia była w niektórych środowiskach wręcz modna. Czy promowanie pedofilii było logicznym wnioskiem ruchu rewolucji seksualnej tamtego czasu?

Druga rewolucja seksualna została zapoczątkowana w latach 60. XX w. Była jądrem ówczesnej hipisowskiej kontrkultury. Z haseł hipisów dotyczących przebudowy struktur społecznych niewiele zostało, ale w obrębie seksualności doszło do głębokich zmian. Na świecie rozprzestrzeniła się fala permisywizmu seksualnego, lansowane były hasła powszechnej tolerancji i przyzwolenia na zachowania odbiegające od przyjętych norm. Na tej fali doszło do ukształtowania się ruchu gejowskiego po słynnych zamieszkach w Stonewall w roku 1969. Równocześnie pojawiły się środowiska popularyzujące pedofilię i dążące do jej zalegalizowania. Pokolenie tamtych lat jeszcze całkiem nie zeszło ze sceny, żeby przypomnieć choćby pedofilski skandal dotyczący Daniela Cohn-Bendita, który w Parlamencie Europejskim pełnił funkcję współprzewodniczącego Grupy Zielonych. Nie ma wątpliwości: promowanie pedofilii jest owocem drugiej rewolucji seksualnej lat 60.

Czy promowanie pedofilii już się skończyło?

W latach 70.–90. XX w. na Zachodzie pojawiło się wiele różnego rodzaju grup promujących pedofilię. W większości miały one charakter anonimowy i nieoficjalny, choć niektóre podejmowały próby legalnej rejestracji. Z dzisiejszej perspektywy można stwierdzić, że na Zachodzie praktycznie nie istnieją jawne, legalnie działające organizacje pedofilskie o realnym wpływie politycznym. Te, które istniały, zostały w większości rozwiązane, zdelegalizowane albo zmarginalizowane.

Wydaje się, że jedynym wyjątkiem jest amerykańska NAMBLA (North American Man/Boy Love Association), utrzymująca stronę internetową. Ostatnia aktualizacja miała tam miejsce dwa lata temu. Można odnieść wrażenie, że ruchy tego typu porzuciły oficjalne starania o legalizację swoich postulatów i w dużej mierze zeszły do podziemia. Rozwój Internetu sprawił, że sieci powiązań mogą mieć charakter międzynarodowy, ale trudno ocenić rzeczywistą skalę.

Coraz częstsze na Zachodzie są „rodziny" dwóch „ojców" albo dwóch „matek" wychowujących dziecko. Czy to jest środowisko wspierające pedofilię czy to jest tylko prawicowe uprzedzenie?

Od czasu do czasu media donoszą o poszczególnych przypadkach gejów gwałcących dzieci. Swego czasu „małżeństwo" dwóch gejów ze stanu Connecticut – adoptowało łącznie dziewięciu chłopców, z których dwóch wniosło potem wobec nich oskarżenia o permanentne gwałty i dręczenie fizyczne. Dwa lata temu mieliśmy podobne wstrząsające doniesienie. Para gejów ze stanu Georgia regularnie zmuszała do seksu dwóch adoptowanych chłopców. Kręcili przy tym filmy o charakterze pedofilskim. Zostali skazani łącznie na 100 lat więzienia.

Takich doniesień jest niestety więcej, wystarczy poszukać w sieci. Amerykański psycholog dr Paul Cameron, szef Family Research Institute, twierdzi, że sprawcami jednej trzeciej przypadków molestowania seksualnego są właśnie geje. Cameron za publiczne głoszenie tych tez jest bojkotowany przez naukowy mainstream. Każdy, kto odważy się coś takiego powiedzieć, jest oskarżany o homofobię. Warto zauważyć, że Cameron przed polskim sądem wygrał sprawę o zniesławienie ze Stowarzyszeniem Pracownia Różnorodności. Niemniej dyskusja o związkach między pedofilią a homoseksualizmem trwa i nie sądzę, żebyśmy szybko doczekali się twardych danych empirycznych.

Co dzieje się z dzieckiem, które wychowuje dwóch „ojców"? Może być w ogóle normalnym, dojrzałym człowiekiem czy zawsze już będzie inne?

Zależy, kogo zapytać. Z prac autorów progejowskich wyłania się portret homoseksualnych rodzin funkcjonujących lepiej niż heteroseksualne. Jedyne, czego ma im brakować do pełni szczęścia, to bezwarunkowa akceptacja otoczenia. Badania autorów niezależnych pokazują inny obraz. Można powiedzieć, że ok. jednej trzeciej tych dzieci to będą osoby o orientacji seksualnej innej niż heteroseksualna. U młodych dorosłych wychowywanych przez pary homoseksualne, w porównaniu z grupami o innych rodzinnych uwarunkowaniach rozwojowych, wyższy jest poziom myśli i prób samobójczych, problemów z prawem, częstotliwości sięgania po narkotyki. Ich wychowankowie mają więcej kłopotów we własnych związkach, borykają się z wyższą liczbą zdrad, uzależnień, częściej korzystają z pomocy psychologicznej. Dziewczynki wychowywane przez pary homoseksualne osiągają najgorsze wyniki w nauce na tle innych grup. To dane ze słynnego raportu Marka Regnerusa, badań Paula Sullinsa, Waltera Schumma oraz spektakularnych analiz Douglasa Allena, który przyjrzał się osiągnięciom szkolnym 2 mln (to nie pomyłka) kanadyjskich nastolatków. Badań tych nie da się zamieść pod dywan, choć środowiska aktywistów homoseksualnych bardzo się o to starały.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



dr Andrzej Margasiński
– psycholog, nauczyciel akademicki, terapeuta i szkoleniowiec. Autor wielu książek, w tym najnowszej „Genderyzm. Między ideologią a nauką", wyd. Impuls, 400 s.

eprasa.pl 3ac50e40a4



Piotr Gontarczyk

Dalej jest manipulacja

Artykuł o powiecie Nowy Targ Karoliny Panz znakomicie wpisuje się w klimat i kierunki zniekształcania historii w książce „Dalej jest noc". Uwagę zwracają szczególnie manipulacje źródłami, w których usuwano pomoc Polaków, podkreślano praworządność hitlerowskich zbrodniarzy, a nawet usuwano z historii nazwiska żydowskich ofiar



Pomnik na cmentarzu przy ul. Miodowej w Krakowie upamiętniający 18 Żydów zamordowanych w Nowym Targu w kwietniu i maju 1945 r. FOT. USHMM

Książka „Dalej jest noc" wydana pod szyldem Polskiej Akademii Nauk jest największym zamachem na rzetelność i wiarygodność badań naukowych w Polsce od czasów stalinowskich. Redaktorzy całości, czołowi twórcy „nowej szkoły badań Holokaustu", Barbara Engelking i Jan Grabowski, na dużą skalę zniekształcali historię, co systematycznie opisuję w prasie i artykułach naukowych. Ale nie byli sami. Podobnie działali inni autorzy artykułów zawartych w książce, jak chociażby Karolina Panz. W swoim artykule o powiecie Nowy Targ wspomniana często wypaczała sens i treść wykorzystywanych dokumentów. To proceder całkowicie niedozwolony w nauce.

„GRANATOWI"

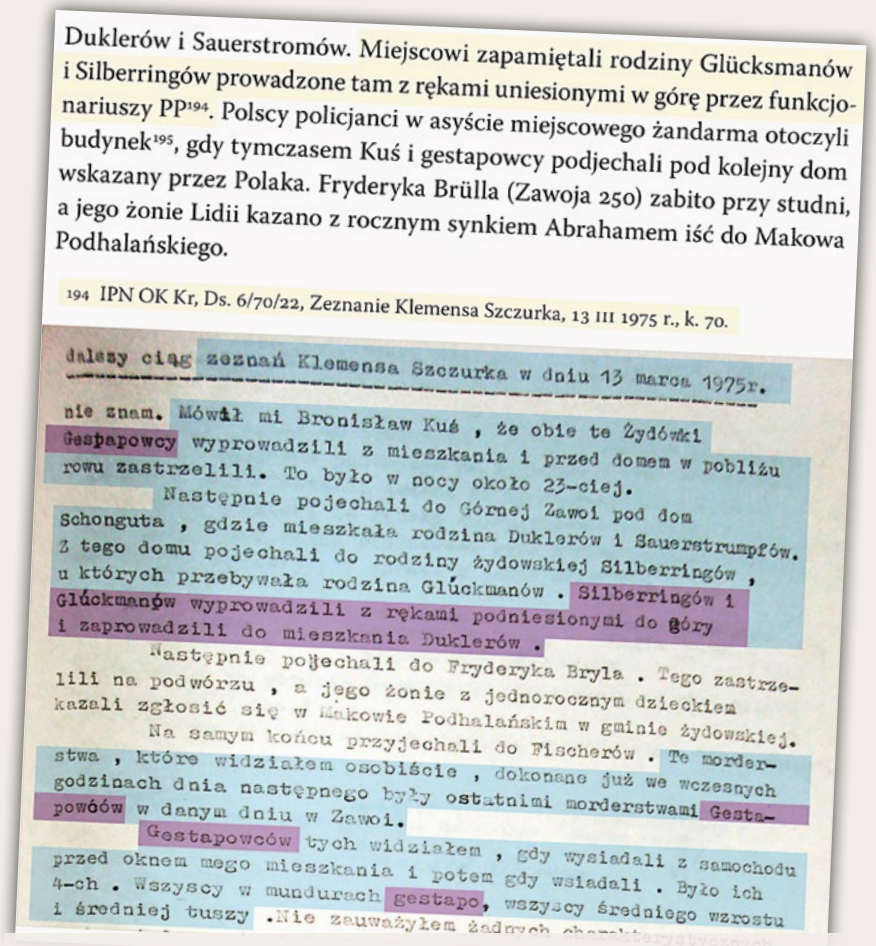
Ważnym obszarem dokonywanych tu manipulacji jest działalność „polnische polizei". Autorka widzi „granatowych" wszędzie, szczególnie w scenach konwojowania, deportowania i zabijania Żydów. Po weryfikacji tych opisów często okazuje się, że rola policjantów była inna, a przypisane im zbrodnie popełnili Niemcy. W jednym z fragmentów tego tekstu czytamy: „Miejscowi zapamiętali rodziny Glücksmanów i Silberringów prowadzone tam [na miejsce rozstrzelania – przyp. P.G.] z rękami uniesionymi w górę przez funkcjonariuszy PP" (t. II, s. 258). Jako źródło wiedzy wskazano tu zeznanie Klemensa Szczurka z akt po-

eprasa.pl 3ac50e40a4

wojennego śledztwa w sprawie omawianych niemieckich zbrodni. Po sprawdzeniu okazało się, że brzmi ono tak: „Mówił mi Bronisław Kuś, że obie te Żydówki gestapowcy wyprowadzili z mieszkania i przed domem w pobliżu rowu zastrzelili […], Silberringów i Glücksmanów wyprowadzili z rękami podniesionymi do góry i zaprowadzili do mieszkania Duklerów […]. Gestapowców tych widziałem, gdy wysiadali z samochodu przed oknem mego mieszkania i potem, gdy wsiadali" (AIPN, Kr OK, Ds. 6/70). Świadek cały czas opisywał działania kilku gestapowców, którzy m.in. prowadzili na rozstrzelanie Silberringów i Glücksmanów. Ale Karolina Panz gestapowców przerobiła na funkcjonariuszy polskiej policji.

Stronę wcześniej autorka wspomniała o Żydach prowadzonych na miejsce koncentracji: „Mimo obstawy policjantów granatowych niektórym prowadzonym udało się uciec do lasu" (s. 257). Jako źródło tych informacji podano relację Abrahama Furmana. Jej treść jest taka: „Żydzi pędzeni przez Germanów i polskich policjantów w kierunku Nowego Targu uciekli po drodze w różnych kierunkach do lasów, gdzie się chcieli chronić przed tą zarazą germańską" (ŻIH, sygn. 301/4716). Żydowski świadek wyraźnie wspominał o obecności Niemców, którzy zwykle posługiwali się „granatowymi" policjantami. Panz ich usunęła, zostawiając tylko polskich policjantów.

W opisie dramatycznych okoliczności śmierci konwertytki Anny Furca ze wsi Mizerna czytamy: „Posłaniec gromadzki opowiadał po latach o momencie, gdy kobieta na rozkaz Stępniaka zsiadała z wozu przy moście na Dunajcu: »prosiła mnie, bym pożegnał od niej wszystkich w domu i by mówili za nią pacierze […], szła z nimi poszli w szczelinę, skąd po chwili usłyszałem strzał i krzyk Furcowej Jezus Maria«" (s. 338). Wszystko jasne: dwóch „granatowych" (w tym Stępniak) zawiozło kobietę w krzaki i tam ją zamordowało. Po sprawdzeniu okazało się, że owo zeznanie „posłańca gromadzkiego", wozaka uczestniczącego w tragicznej eskapadzie Jana Węgrzyniaka, wyraźnie mówi o obecności niemieckiego funkcjonariusza, tylko że ten fragment jego zeznania autorka przy cytowaniu pominęła. O tym Niemcu jako sprawcy (pada nawet nazwisko: Puchner) mówi chociażby zeznanie syna zamordowanej, Filipa Furcy: „Matkę moją zastrzelił podobno niemiec w Czorsztynie w krzakach koło Dunajca" (AN Kraków, 29/439/1243). Karolina Panz usunęła z historii Niemca i jako sprawcę wskazała „granatowego" policjanta. Czyli chwyty jak zwykle.



Duklerów i Sauerstromów. Miejscowi zapamiętali rodziny Glücksmanów i Silberringów prowadzone tam z rękami uniesionymi w górę przez funkcjonariuszy PP[194]. Polscy policjanci w asyście miejscowego żandarma otoczyli budynek[195], gdy tymczasem Kuś i gestapowcy podjechali pod kolejny dom wskazany przez Polaka. Fryderyka Brülla (Zawoja 250) zabito przy studni, a jego żonie Lidii kazano z rocznym synkiem Abrahamem iść do Makowa Podhalańskiego.

194 IPN OK Kr, Ds. 6/70/22, Zeznanie Klemensa Szczurka, 13 III 1975 r., k. 70.

dalszy ciąg zeznań Klemensa Szczurka w dniu 13 marca 1975r.

nie znam. Mówił mi Bronisław Kuś , że obie te Żydówki Gespapowcy wyprowadzili z mieszkania i przed domem w pobliżu rowu zastrzelili. To było w nocy około 23-ciej.
Następnie pojechali do Górnej Zawoi pod dom Schonguta , gdzie mieszkała rodzina Duklerów i Sauerstrumpfów. Z tego domu pojechali do rodziny żydowskiej Silberringów , u których przebywała rodzina Glückmanów . Silberringów i Glückmanów wyprowadzili z rękami podniesionymi do góry i zaprowadzili do mieszkania Duklerów .
Następnie pojechali do Fryderyka Bryla . Tego zastrzelili na podwórzu , a jego żonie z jednorocznym dzieckiem kazali zgłosić się w Makowie Podhalańskim w gminie żydowskiej.
Na samym końcu przyjechali do Fischerów . Te morderstwa , które widziałem osobiście , dokonane już we wczesnych godzinach dnia następnego były ostatnimi morderstwami Gestapowców w danym dniu w Zawoi.
Gestapowców tych widziałem , gdy wysiadali z samochodu przed oknem mego mieszkania i potem gdy wsiadali . Było ich 4-ch . Wszyscy w mundurach gestapo, wszyscy średniego wzrostu i średniej tuszy .Nie zauważyłem żadnych

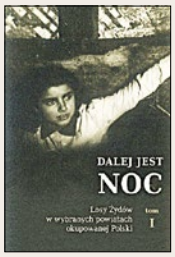
Jedna z metod działania Karoliny Panz: świadek Klemens Szczurek opowiedział, jak hitlerowscy zbrodniarze prowadzili na rozstrzelanie dwie żydowskie rodziny. Wspomniana autorka powołała się na zeznanie Szczurka i „zamieniła" funkcjonariuszy gestapo na polskich policjantów FOT. IPN

„CZYSZCZENIE" POLSKIEJ POMOCY

Postawy Podhalan wobec Holokaustu Karolina Panz opisuje głównie w kontekście obojętności, donosicielstwa, no i rzekomego powszechnego szabrownictwa: „Ukrywających się w pobliżu swych mieszkań Żydów brak dostępu do własnego mienia lub konieczność konkurowania z Polakami w szabrze znacznie zmniejszały ich możliwości przetrwania. Henryk Grüngras, który po akcji ukrywał się w pobliżu swojego domu, przez kilka miesięcy głodował i marzł" (s. 291). Stosowny fragment zeznania Grüngrasa brzmi tak: „Nie mogłem wrócić do mieszkania, bo wszystkie mieszkania żydowskie były od razu plombowane przez gestapowców, a następnie zabrano całe urządzenie mieszkania i wszystko, co miałem. Gdy wróciłem z obozu, nie zastałem nawet domów, których miałem dwa w Jordanowie. Gdyż te zostały w całości rozebrane" (AIPN, Kr OK, Ds. 6/70). Nie ma tu polskich szabrowników, z którymi Grüngras miałby konkurować.

Ten opis z tekstu Panz to podwójna mistyfikacja, bo Grüngras nie błąkał się miesiącami, tylko od razu znalazł schronienie u Polaków: „Wróciłem wieczorem pociągiem do Jordanowa i od tej pory przez okres dwóch miesięcy ukrywałem się w stodołach mieszkańców Jordanowa i Naprawy. Ukrywałem się u Marii Sporschill, Błażeja Mirka z Jordanowa, Wincentego Dziądło, Mizery, Hajdy z Naprawy. Wyżej wymienieni mieszkańcy żywili mnie".

eprasa.pl 3ac50e40a4



BARBARA ENGELKING, JAN GRABOWSKI
„DALEJ JEST NOC. LOSY ŻYDÓW W WYBRANYCH POWIATACH OKUPOWANEJ POLSKI"
STOW. CENTRUM BADAŃ NAD ZAGŁADĄ ŻYDÓW 2018

Górali ratujących Grüngrasa Panz pominęła w artykule. Analogicznie potraktowała zeznanie innego uciekiniera, Karola Eisenmanna. Ten zeznał: „Od tej pory [sierpień 1942 r. – przyp. P.G.] ukrywałem się przez pewien okres czasu w Naprawie u poszczególnych gospodarzy, u nieżyjącego Pawła Bala, Józefa Skwarka, Franciszka Macioła, Franciszka Burmistrza. Potem w Sułkowicach ukrywałem się u Józefa Garbienia, następnie w Harbutowicach u Wojciecha Krawczaka". Wszystkich ratujących Eisenmanna Panz też usunęła z historii. Dotyczy to także Jana Kłącza, który – jak zeznawał po wojnie Eisenmann – idąc naprzeciwko niego, dał mu znak, żeby Eisenmann się wycofał, bo za nim idzie Niemiec. Ostrzeżony zaczął uciekać, a strzelający do niego żandarm nie trafił go ze względu na dużą odległość. Panz przytoczyła w „Dalej jest noc" obszerne zeznanie Eisenmanna, ale opis uratowania mu życia przez Jana Kłącza usunęła z cytatu, nie informując o tym czytelnika (s. 263).

To element systemu: większość uznanych przez Yad Vashem za „Sprawiedliwych" potraktowano tak, żeby było ich jak najmniej (bez imion i liczby członków rodziny), a ich wspomnienie zajęło jak najmniej miejsca: „Tytułem tym uhonorowano jeszcze następujących mieszkańców Kreis Neumarkt: rodzinę Bachulów z Osielca, rodzinę Jaskółków z Bystrej, rodzinę Zawadów i Mieczysława Wójcika z Osielca, Helenę Frydrych oraz rodziny Karpielów i Trybusów z Zakopanego" (s. 353). Polaków zamordowanych przez Niemców za pomoc Żydom opisano głównie w jednym przypisie (numer 592). Po tym wszystkim autorka podsumowała, że „ludzie, którzy w tropionych, denuncjowanych i mordowanych Żydach dostrzegli osoby potrzebujące ratunku, byli absolutnymi wyjątkami" (s. 355). Może ten obraz byłby prawdziwszy, gdyby autorka nie „czyściła" ze źródeł informacji o pozytywnych postawach Polaków?

PODHALAŃSKI UDZIAŁ W HOLOKAUŚCIE

W tekście Panz widać tytaniczne wysiłki, by ukazać Podhalan w jak najgorszym świetle. Jedną z tez podsuwanych czytelnikowi jest twierdzenie, że postawa wielu górali wobec Żydów mogła wynikać z prowadzonej przez grupę działaczy tzw. Goralenvolk antyżydowskiej propagandy. Czyli każdy przejaw obojętności wobec losów Żydów, odmowy pomocy czy też wydanie w ręce Niemców mógł być przejawem kolaboracji. Takie teoryjki nie zostały poparte żadnymi dowodami, ale minimalizują kluczowy element tej układanki: strach przed niemieckimi represjami.

Prawdziwą perłą tych działań jest próba stworzenia tezy o rzekomej współpracy lokalnych władz gminnych i wiejskich w wykonaniu niemieckiego planu wymordowania Żydów i sposób opisania wójta Zawoi, Franciszka Trzebuniaka: „W dniu tragedii mieszkańców swojej wsi był w Nowym Targu na posiedzeniu wójtów i sołtysów powiatu nowotarskiego. Nie zachowały się żadne protokoły z tego spotkania. Jest jednak bardzo prawdopodobne, że właśnie wtedy władze gminne i wiejskie zostały poinformowane przez starostę o planowanej akcji na terenie Kreis Neumarkt [powiatu Nowy Targ – przyp. P.G.] i o konieczności pogrzebania ciał jej ofiar. W miejscowości wójta Trzebuniaka plan został wykonany" (s. 261–262).

Opis jest jasny: Niemcy mieli plan wymordowania Żydów, w którym świadomie uczestniczyli miejscowi polscy wójtowie, w tym Trzebuniak, który na swoim terenie zrealizował jego ostatni element: grzebanie Żydów. Jednak zeznanie Trzebuniaka, wskazane przez autorkę jako źródło tych informacji, brzmi tak: „Jednego dnia latem, roku nie pamiętam, wcześnie rano przed godziną 6 wyjechałem do Nowego Targu na posiedzenie wójtów i sołtysów. Przejeżdżając koło roli »Gawła«, zobaczyłem przed domem zwłoki dwóch mieszkanek – żydówek. Były to siostry o nazwisku Ebel. Drzwi domu były otwarte, a te martwe leżały na drodze prowadzącej do domu w samej bieliźnie. Z Nowego Targu telefonowałem do gminy i pytałem, co tam słychać. Mówiono mi, że gestapo rozstrzelało miejscowych Żydów. Prosiłem [...] Bolesława Makosia, by w razie potrzeby zorganizował podwody do przewozu zwłok. Wróciłem w tym dniu około godziny 20. Dowiedziałem się wtedy, że w tym dniu wcześnie rano przyjechało do Zawoi czterech gestapowców i ci wystrzelali miejscowych Żydów" (AIPN, Kr OK, Ds. 6/70). Trzebuniak, tak jak inni polscy wójtowie, o zabijaniu Żydów dowiedział się już po drodze na wspomniane zebranie w Nowym Targu (a nie na nim) przez telefon i po powrocie do domu. Nie brał udziału w realizowaniu żadnego niemieckiego planu. Cały opis sprawy z tekstu Karoliny Panz o jakimś udziale wójtów i sołtysów Podhala w realizacji niemieckiego planu eksterminacji Żydów to mistyfikacja.

USUWANIE „NIEWŁAŚCIWYCH" OFIAR

Jednym z ważniejszych deklarowanych celów badań „nowej szkoły badań Holokaustu" jest przywracanie pamięci imion i okoliczności śmierci ofiar Zagłady. Publicznie opowiada to również pani Panz. Ale to tylko puste słowa, co dobrze widać po jej tekście. Przykład? W aktach jednego ze śledztw w sprawie niemieckich zbrodni zachowało się zeznanie Stanisława Stołowskiego, który z ukrycia obserwował jedną z niemieckich egzekucji: „Żydów tych [...] znałem i widziałem, że wszyscy oni pracowali w Zarządzie Gminy Żydowskiej. Wśród prowadzonych był: dr Gelner, jego brat rzeźnik, Turner, Kopytko, Graj, Dangier. Prowadzeni byli ubrani cywilnie. Po wprowadzeniu na cmentarz Niemcy urządzili z nimi ćwiczenia wojskowe [...]. Jeden z Niemców zapytał Żydów, czy który z nich służył w wojsku. Wystąpił dr Gelner i powiedział, że był oficerem w Wojsku Polskim. Wtedy polecono mu, by on nadal ćwiczył pozostałych Żydów [...]. Po wykonaniu dołu Niemcy polecali [...] stawać nad dołem i wtedy strzelali ich w tył głowy, tak że zwłoki wpadały do dołu. Widziałem, że wszyscy Niemcy strzelali" (AIPN, Kr OK, Ds. 4/75).

Ten opis okoliczności śmierci żydowskiej elity Nowego Targu został pominięty w „Dalej jest noc". Dlaczego? Analiza metod działania tej „szkoły" nasuwa wyraźną odpowiedź: to były ofiary „drugorzędne", bo o ich śmierć nie można było spróbować jakoś obwinić

eprasa.pl 3ac50e40a4



Karolina Panz podczas gali wręczenia Nagrody im. ks. Stanisława Musiała, przyznawanej osobom zasłużonym dla dialogu chrześcijańsko- i polsko-żydowskiego FOT. JAN GRACZYŃSKI/EAST NEWS

Polaków. Jeśli komuś takie motywacje wydają się nieprawdopodobne, to warto opisać inny przykład. To, co Karolina Panz usunęła z relacji żydowskiego świadka, przywrócono w nawiasach: „Krügera wyprzedzała okrutna fama, która szła za nim z Zakopanego. Przywiózł ze sobą kilkunastu krawców i szewców z Zakopanego, pochodzili oni z Nowego Targu. Fragmenty usunięte z cytatu przez autorkę podkreślono: [Na jego rozkaz Judenrat musiał ich utrzymywać, a] musieli szyć czarne mundury dla policyjnej szkoły SS w Rabce. Odbywały się wtedy kursy dla Ukraińców. [Szkolili ich tam jako przyszłych katów ludności żydowskiej i polskiej. Ci rzemieślnicy żydowscy, między nimi Adam Grasgrün (zginął w obozie w Dorze koło Nordhausen), szewc Roman Buchsbaum, szewc Guter, krawiec Maks Stein (wszyscy zginęli w obozach, Stein w Nowym Targu), Moniek Bergmann szewc (żyje pod okupacją amerykańską)] opowiadali, co Krüger wyprawiał z ludnością żydowską w Zakopanem" (AŻIH, 301/3272, rel. Romana Dattnera). Autorka usunęła fragmenty tekstu. Pierwszy dotyczył tego, jak żydowski świadek opisał Ukraińców szkolonych przez Niemców, którzy mogli zostać „katami ludności polskiej i żydowskiej". Takie zrównanie losów Polaków i Żydów, zaprzeczające wyjątkowości Holokaustu, w tej szkole jest niedopuszczalne. Z cytatu wycięto też nożyczkami imiona żydowskich ofiar, tu: zamordowanych w niemieckich obozach. Niby ich pamięć miała być przywracana, ale cóż... Nie zostali zadenuncjowani ani nie zginęli z ręki Polaków.

HITLEROWSKI BOHATER

W kontraście do górali – szabrowników i donosicieli – w „Dalej jest noc" pojawiają się postacie praworządne, opisywane z respektem i szacunkiem. Do tych w tekście Panz należy... szef nowotarskiego gestapo, Robert Weissmann. Posługując się aktem oskarżenia tego gestapowca przed sądem w RFN (panegiryk pełen nonsensów), autorka podważa łatwo dostępną wiedzę o jego zbrodniach, opisując jego zalety: „Utrzymywał żelazną dyscyplinę i nie tolerował jakichkolwiek przejawów samowoli" (s. 236). Podkreślanie praworządności Weissmanna ma miejsce kilkakrotnie, nawet w opisie kierowanej przez niego akcji eksterminacyjnej Żydów: [30 VIII 1942] pojawiło się Gestapo, poruszające się konno i samochodami. Oprócz nich porządku w mieście pilnowały żandarmeria, Kripo i policja granatowa, byli też Ukraińcy ze szkoły. W akcie oskarżenia Weissmanna podkreślono, że nie popełniono wtedy żadnych wykroczeń, gdyż nie strzelano do ludzi, w trakcie ich wypędzania z domów i przejścia na stadion. »Przyczyna leżała chyba w tym, że obwiniony Weissmann […] zakazał wszelkiej samowoli, szczególnie samowolnych rozstrzeliwań«. Na miejscu zbiórki kazano ludziom ustawić się po 10 osób w rzędzie. Wszystkim pod groźbą śmierci rozkazano oddać kosztowności" (s. 272).

Informacje o ustawieniu Żydów, „nakazaniu" (forma bezosobowa) oddania złota i kosztowności autorka zaczerpnęła z relacji Chany Chornung. Ale tej relacji wspomniana nie zacytowała: „Myśmy stały w szeregu i wtedy przyszedł gestapowiec – Weissmann z jednym Żydem. Ten Żyd trzymał w ręku kapelusz, a on owinął »rajtpejczą« dokoła szyi tego Żyda i chodził z nim, jakby prowadził psa i śpiewał sobie pod nosem […], i mówił do nas, żebyśmy wszystko oddali, co mamy – złoto i brylanty. Wszystko, co mamy przy sobie, żebyśmy oddali, bo jak nie – to nas zastrzeli. Każdy z nas jeszcze, co miał, oddał mu…" (A YV, O.3/2975).

W dowodzonej przez Roberta Weissmanna akcji kilkuset Żydów zamordowano na cmentarzu, ok. 1,5 tys. wywieziono do komór gazowych w Bełżcu. W scenach pędzenia Żydów na rynek, ładowania ich do wagonów i mordowania pozostałych na cmentarzu żydowskich postać Weissmanna została przez Panz pominięta. Czytelnik tego artykułu dostrzeże jednak pozytywne strony przebiegu deportacji i mordowania Żydów. Do nich chyba należy fakt, że wszystko przebiegało praworządnie. Choć w rzeczywistości Weissmann był ponurym mordercą i zbrodniarzem rabującym Żydów, tak jak w tej scenie, kiedy ze śpiewem na ustach prowadził jakiegoś żydowskiego nieszczęśnika jak psa, na smyczy, grożąc wszystkim śmiercią i żądając kosztowności, to przecież nic nie znaczy. Od rabunku żydowskiego mienia są tu przecież polscy szabrownicy. Działania samego Weissmanna się nie liczą, ponieważ, jak ustawicznie podkreśla Panz, „Weissmann […] zakazał wszelkiej samowoli" (s. 272).

Podsumowując, trzeba stwierdzić, że artykuł Karoliny Panz znakomicie wpisuje się w klimat i kierunki zniekształcania historii w książce „Dalej jest noc". Uwagę zwracają szczególnie manipulacje źródłami, w których usuwano pomoc Polaków, podkreślano praworządność hitlerowskich zbrodniarzy, a nawet usuwano z historii nazwiska żydowskich ofiar. Bo po co komu informacje o tragicznych losach żydowskiej elity Nowego Targu czy nazwiska Żydów zamordowanych w obozach? One znikają, tak jak wybielani są hitlerowscy zbrodniarze. To normalne w świecie, w którym focus tych wszystkich działań skierowany jest na preparowanie współudziału w Holokauście Polaków.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 3ac50e40a4



KOMUCHOŻERCA

Upamiętnienia

LESZEK ŻEBROWSKI

Długo musieliśmy czekać na upamiętnienie powstania warszawskiego. Dziś, gdy na Pl. Krasińskich stoi okazały pomnik, już mało kto zwraca na to uwagę. A przecież warto. Pomnik ten został bowiem odsłonięty dopiero w 1989 r.! Dlaczego? Bo historia powstania w Polsce Ludowej była jak wyrzut sumienia. Po 1944 r. komuniści uporczywie twierdzili, że to PPR i Armia Ludowa walczyły z Niemcami, AK zaś stała z bronią u nogi i – co więcej – miała zbrodnicze konszachty z Niemcami. Manipulacje wokół powstania trwały praktycznie od początku. Oto już 19 kwietnia 1945 r. organ PPR „Rzeczpospolita" pod zarządem Niomy Goldberga vel Jerzego Borejszy stwierdził: „19 kwietnia 1945 r., w przededniu zwycięstwa nad faszyzmem, w rocznicę wybuchu powstania żydowskiego, ożyła już trzykrotnie okaleczona Warszawa. Po latach stanie znowu zbudowana na fundamencie ciał i kości polskich oraz żydowskich jej obrońców, bohaterów '39, '43 i '45 r.". W 1945 r. wprawdzie nie było żadnej obrony Warszawy, bo przecież stolica już nie istniała, nawet fizycznie. Ale zastanawia brak roku 1944, czyli powstania warszawskiego. Miało być wymazane całkiem z naszej pamięci?

Równolegle trwało jednak upamiętnianie „powstania żydowskiego". Już 16 kwietnia 1946 r. odsłonięty został pierwszy pomnik. Dwa lata później stanął monument, który możemy oglądać do dziś. A na jakiekolwiek upamiętnienie powstania warszawskiego w warunkach panowania komunizmu nie było żadnych szans, uważali oni bowiem, że powstanie antyniemieckie politycznie skierowane było przeciwko interesom Związku Sowieckiego. Weterani powstania i ich rodziny mogli w ciszy i milczeniu oddawać hołd powstańcom jedynie na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach, ale i tam bezpieka niuchała, co kto mówi i jakie są reakcje zgromadzonych.

Co się zmieniło po 1989 r. i dlaczego jest to takie ważne? Przez kilkadziesiąt lat historia powstania była zakłamywana, niezależnie od jego ocen i sporów. Co gorsza, światu myliło się wszystko. Gdy kanclerz Niemiec, Willy Brandt, składał wieniec pod pomnikiem żydowskim, był przekonany, że chodzi o... powstanie warszawskie. I zaczęło się rozwarstwianie pojęć na „pierwsze powstanie warszawskie" (1943) i „drugie powstanie warszawskie" (1944). Na przykład „Le Figaro" 1 sierpnia 2004 r. wspomniało o... „drugim powstaniu w getcie". W ten sposób mamy już dwa powstania żydowskie.

8 czerwca 1994 r., podczas dyskusji w Towarzystwie Społeczno-Kulturalnym Żydów, usłyszałem, że „nie należy mówić o powstaniu w Warszawie w 1944 r. [...], bo to był zryw faszystów"! Jaka była reakcja licznej publiczności? Burza oklasków. ©℗



HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Koronacja Przemysła II

SŁAWOMIR KOPER

Dziwnie układały się losy dynastii piastowskiej. Wybitni politycy nie mieli dzieci, nie mogli przekazać potomkom dorobku życia, a miernoty na książęcych tronach cieszyły się narodzinami wielu synów.

Męskiego potomstwa nie miał też Przemysł II, książę Wielkopolski. Energiczny i rozważny rozciągnął swoje zwierzchnictwo na Pomorze Gdańskie, a po śmierci ostatniego tamtejszego księcia włączył dzielnicę w granice swojego państwa. Wielkopolskiego Piasta popierał arcybiskup gnieźnieński, Jakub Świnka, człowiek o szerokich horyzontach umysłowych. W czasach, kiedy biskupi interesowali się wyłącznie dochodami własnych diecezji, Jakub Świnka stawiał na pierwszym miejscu dobro kraju. Kategorycznie sprzeciwiał się wzrostowi znaczenia ludności niemieckiej w Polsce, obawiając się negatywnych skutków napływu kolonistów. Nie był fanatykiem, ale uważał, że w Polsce powinny obowiązywać miejscowe obyczaje i polski język.

Przemysł II objął władzę nad Krakowem i wydawało się, że niebawem nastąpi zjednoczenie kraju. Wtedy do walki włączył się król Czech, Wacław II. Piast uznał, że nie ma możliwości rywalizować z Przemyślidą, i wycofał się do Wielkopolski. Zabrał jednak ze sobą ze skarbca na Wawelu starą koronę Bolesława Śmiałego i nie przerwał starań o tytuł króla.

Zabiegi okazały się bardzo skuteczne i papież wyraził zgodę na jego koronację. 26 czerwca 1295 r. w Gnieźnie Jakub Świnka włożył na głowę Przemysła koronę. Po ponad 200 latach Polska odzyskała tytuł królewski.

W chwili koronacji władzę Przemysła uznawały wyłącznie Wielkopolska i Pomorze Gdańskie. Nie wiadomo, czy w uroczystościach w Gnieźnie wzięli udział książęta piastowscy. Z niektórymi z nich król współpracował i możliwe, że ci byli obecni na koronacji. Niewykluczone, że świadkiem triumfu kuzyna był Władysław Łokietek.

Kilka miesięcy później doszło do tragedii. Przemysł udał się na zabawę ostatkową do Rogoźna w pobliżu granicy z Brandenburgią, gdzie zorganizowano turniej rycerski, po którym nastąpiła wystawna uczta. Rano, kiedy biesiadnicy jeszcze spali, do Rogoźna wdarli się wojownicy margrabiów brandenburskich. Chciano porwać króla, by w ten sposób wymusić ustępstwa terytorialne. Ale obudzony ze snu Przemysł bronił się dzielnie i dopiero ciężka rana pozbawiła go przytomności. Napastnicy uprowadzili króla, ale władca był zbyt osłabiony, aby znieść trudy ucieczki. Oprawcy bez skrupułów dobili króla i porzucili jego ciało na drodze. W ten sposób zginął w wieku 39 lat król Przemysł II, odnowiciel Królestwa Polskiego. ©℗

eprasa.pl 3ac50e40a4

POCZET POLSKICH WODZÓW

Najwierniejszy z kozaków



JACEK KOMUDA

Iwan Barabasz, zwany także Barabaszeńką, to postać, którą spopularyzował Henryk Sienkiewicz w „Trylogii" – stary kozak wierny Rzeczypospolitej, zamordowany przez buntowników Chmielnickiego. Rzeczywistość historyczna nie tak bardzo odbiega od powieści poza tym, że o początkach życia i karierze wojskowej pułkownika czerkaskiego mamy niewiele informacji. Nie znamy nawet jego daty urodzenia, prawdopodobnie w 1648 r. miał ok. 50–60 lat, być może zatem był trochę starszy od Bohdana Chmielnickiego.

Barabasz pojawił się wśród starszyzny zaporoskiej w 1638 r., po stłumieniu buntu Ostrzanina i Huni, kiedy mianowany został setnikiem czerkaskim. Już to pokazuje, że musiał być szlachcicem, gdyż według Ordynacji wojska zaporoskiego dowódcami mogli być tylko szlachetnie urodzeni. Prawdopodobnie Barabasz miał już znaczne doświadczenie bojowe.

Barabasz był zwolennikiem ścisłych związków Kozaczyzny z Rzecząpospolitą. Znalazł się w delegacji, która poprzez Hieronima Radziejowskiego została dwukrotnie w tajemnicy dopuszczona przed oblicze króla. Pierwsze posłuchanie odbyło się na początku kwietnia 1646 r., kiedy Władysław spotkał się z Barabaszem, Iliaszem Karaimowiczem, Maksymem Nestorenko oraz Romanem Pesztą i Jackiem Kliszą. Król chciał pozyskać kozaków do udziału w przyszłej wojnie, wydał im dwa dokumenty. Jeden upoważniający do rozpoczęcia przygotowań i zbudowania 60 uzbrojonych czajek, na co kozacy otrzymali z królewskiego skarbu 18 tys. zł. Drugie pismo pozwalało na podniesienie rejestru z 6 tys. do 12 tys. kozaków po rozpoczęciu wojny. Zapewne król obiecał



FOT. DOMENA PUBLICZNA

delegacji zniesienie postanowień Ordynacji z 1638 r., która ograniczała autonomię Zaporoża. Spotkanie odbyło się w ścisłej tajemnicy, ponieważ przygotowania do wojny wymagały zgody sejmu, a ten wkrótce odrzucił plany królewskie.

Barabasz cieszył się zaufaniem Władysława, gdyż posłował do niego kilkakrotnie, z okazji koronacji, imienin królewskich lub ze skargami na działalność starostów ukrainnych. Pułkownik czerkaski wtajemniczony był w plany króla. Niestety, zarówno ta wiedza, jak i przechowywane przez Barabasza przywileje odegrały złowieszczą rolę w czasie nadchodzącego buntu. Kiedy bowiem sejm i elity polityczne Rzeczypospolitej nie zgodziły się na wojnę z Turcją, kozacy byli już do niej przygotowani i zawiedzeni w nadziejach na odzyskanie przywilejów. Wykorzystał to Bohdan Chmielnicki, który podburzył ich do buntu i w tym celu wykradł od Barabasza wspomniane listy królewskie.

6 grudnia 1647 r. wypuszczony z lochu Chmielnicki wydał w Czehryniu ucztę, na którą zaprosił bohatera, po czym upił go i zatrzymał na noc u siebie. Następnie – jak podaje Samoił Wełyczko – zabrał mu czapkę i chustkę, po czym posłał z nimi wiernego kozaka do Czerkas, do żony Barabasza. Posłaniec pokazał jej rzeczy należące do męża i zażądał wydania dokumentów królewskich. Nie podejrzewając zdrady, niewiasta oddała listy, które trafiły w ręce Chmielnickiego. Ten znowu położył obok śpiącego Barabasza czapkę i chustkę, a papiery zabrał i uciekł z nimi na Sicz. Dzięki ujawnieniu tych pism udało mu się nie tylko podburzyć kozaków, lecz także zawrzeć sojusz z Tatarami.

Kiedy wybuchł bunt, Barabasz opowiedział się za Rzecząpospolitą i stanął na czele swego pułku czerkaskiego, aby stłumić powstanie. Płynący bajdakami rejestrowi dotarli do uroczyska Kamienny Zaton, skąd Krzyczewski i Barabasz wraz z częścią oddziałów wyprawili się na Niż i zdobyli Buck – fortecę Chmielnickiego. Niestety, ich odejście sprawiło, że w obozie ujawnili się wysłannicy buntowników – Filon Dziedziała, Topicha i Iwan Handża, który zaszantażował rejestrowych, ujawniając, że na pomoc Chmielnickiemu przybył Tuhaj-bej z Tatarami. Rejestrowi kozacy przerażeni tą wieścią wpadli w panikę, spodziewając się, że trafią do niewoli, woleli zatem przejść na stronę powstańców, ale zachować wolność i życie. Pozostały w obozowisku Karaimowicz próbował stłumić bunt, jednak pobito go i schwytano razem z innymi pułkownikami: Wadowskim i Górskim. Następnie buntownicy wysłali część dawnych rejestrowych za Barabaszem i Krzyczewskim – po czym zmusili ich ludzi, aby przyłączyli się do buntu. 5 maja 1648 r. rada czerni zamordowała posłusznych Rzeczypospolitej pułkowników – Barabasza, Karaimowicza, Pesztę, Hajduszenkę, Kalenienkę, Oleśkę. Tak zginął jeden z najwierniejszych kozackich pułkowników – utopiony w Dnieprze bądź rozsiekany przez swoich. Jak widać, bunt 1648 r. oznaczał także zwycięstwo stronnictwa Chmielnickiego nad grupą oddanych Rzeczypospolitej oficerów wojska zaporoskiego. ©℗

eprasa.pl 3ac50e40a4



Maciej Pieczyński

Satyryk Siemion Skriepiecki wyśmiewał Putina, Zełenskiego i rosyjską opozycję. W polskich mediach pisze się głównie o kremlowskim śladzie. Tymczasem na liście wrogów Ukrainy przy nazwisku zabitego widnieje adnotacja: „został zlikwidowany”



Kilka dni przed swoją śmiercią Siemion Skriepiecki zrobił performance przed ambasadą Rosji w Berlinie FOT. VASILY KRESTYANINOV/SOTA/AP/EAST NEWS

Zamach na krytyka Rosji i Ukrainy

Nazwisko Skriepieckiego widniało na liście sporządzanej przez centrum Myrotworeć – organizację, która publikuje na swojej stronie internetowej dane osób zagrażających bezpieczeństwu Ukrainy

W środę 15 czerwca o godz. 10 na jednym z parkingów w Białej Podlaskiej rozległy się strzały. W biały dzień w centrum polskiego miasta nieznany sprawca zastrzelił 44-letniego obywatela Federacji Rosyjskiej. „Zabity Rosjanin to znany krytyk Putina”. „Zastrzelono krytyka Putina”. „Krytykował Putina, dostawał groźby”. Takimi nagłówkami polskie portale informowały swoich odbiorców o tym, co się wydarzyło. Wymowa była jasna: kremlowskie służby specjalne na terenie Polski zlikwidowały swojego wroga. Rosja już tu jest! I zabija ludzi w jednym z krajów flanki wschodniej NATO! Oczywiście niewykluczone, że był to wyrok wykonany na rozkaz Moskwy. W momencie, gdy piszę te słowa, nie ma żadnych jednoznacznych dowodów. Są tylko poszlaki i podejrzenia. Niemniej wystarczy bliżej przyjrzeć się sprawie, by się przekonać, że nie tylko Rosjanom mogło zależeć na likwidacji krytyka Władimira Putina.

18 czerwca Donald Tusk poinformował: „Podejrzewany o udział w zabójstwie Rosjanina w Białej Podlaskiej zatrzymany przez lubelskich policjantów i ABW! Posługuje się gruzińskim paszportem. Służby pracują nad ustaleniem zleceniodawcy”. Według doniesień Radia Zet zatrzymany mężczyzna najprawdopodobniej nie był bezpośrednim wykonawcą egzekucji.

Siemion Skriepiecki naprawdę nazywał się Robert Kuzowkow. Skriepiecki to jego pseudonim artystyczny. Rocznik 1981. Urodził się w Kraju Ałtajskim, gdzie mieszkał aż do emigracji. Był satyrykiem, muzykiem, rysownikiem, malarzem, performerem, pisarzem. Artystą wielu talentów i o antywojennych poglądach. Swoje prace publikował w mediach społecznościowych pod takimi pseudonimami jak Skriepnosnyj buzotior czy właśnie Siemion Skriepiecki. Nawiązywały one do słowa „skriepa”, które w języku rosyjskim oznacza spinacz lub klamrę. Największą karierę zrobiło ono jednak w polityce. Kremlowska propaganda używa zwrotu „duchownyje skriepy” jako określenie wartości moralnych i duchowych, które jednoczą naród. Pseudonim artystyczny zabitego performera jasno więc wskazuje, że to właśnie rosyjskie władze były głównym obiektem jego satyry. Wyśmiewał on absurdy rzeczywistości w państwie Putina. W 2021 r. wyemigrował do Polski.

OBRAZA DLA WIERZĄCEGO MUZUŁMANINA

Jeszcze przed wyjazdem z kraju napisał i opublikował antyutopijną, pełną czarnego humoru powieść satyryczną „Rosja 2028”. Wykpił w niej nadzieje na świetlaną przyszłość swojego kraju pod rządami obecnej ekipy. Powieść przedstawia „życie i przygody porządnego skriepca”. Prowadził popularny wideoblog na YouTube z elementami satyrycznego show. Nagrywał piosenki pod pseudonimem MC Screep. Styl Skriepieckiego krytycy określali mianem neoprymitywizmu. Sam artysta wolał określenia „psychodela” i „skrieprealizm”. W swoich malunkach satyrycznych wyśmiewał co prawda Władimira Putina, Ramzana Kadyrowa i jego syna Adama, patriarchę moskiewskiego Cyryla I, nie ograniczał się

eprasa.pl 3ac50e40a4

jednak bynajmniej do przedstawicieli rosyjskiej władzy. W prześmiewczy sposób portretował również działaczy opozycji, takich jak Maksym Kac i Julia Nawalna, prokremlowskiego piosenkarza Shamana, Józefa Stalina, Alaksandra Łukaszenkę czy Wołodymyra Zełenskiego. Skriepiecki namalował przynajmniej trzy karykatury Aleksieja Nawalnego. Nazwał go „najbardziej udanym projektem Kremla", który „zniszczył rosyjską opozycję". W 2024 r. pojawił się na antywojennym marszu rosyjskiej opozycji w Berlinie. W rękach trzymał karykaturę przedstawiającą ikonę z wizerunkiem Nawalnego, trzymającego w dłoni kanapkę. Było to nawiązanie do słynnej wypowiedzi opozycjonisty o tym, że Krym to nie jest kanapka, którą można ot tak oddać Ukrainie. Wtedy antyputinowskie media nazywały Skriepieckiego prowokatorem, dziś nazywają wrogiem Kremla.

Warto przyjrzeć się bliżej satyrycznym obrazom zabitego artysty, żeby zrozumieć, komu i czym mógł podpaść. Karykatury publikował na swoim koncie na portalu społecznościowym Telegram, opatrując krótkim, wyjaśniającym opisem. Na jednym z nich widnieją Ramzan i Adam Kadyrowie ze świńskimi ryjami zamiast twarzy. Nie trzeba wyjaśniać, jak wielka była to obraza dla wierzącego muzułmanina. Opis informuje, że syn czeczeńskiego dyktatora po raz drugi otrzymał tytuł „Bohatera republiki", choć jedyne, czym się wsławił, to pobicie więźnia, który spalił Koran. A to nie wszystko, na co stać było satyryka. Na innym malunku Putin uprawia seks z Kadyrowem albo obcina sobie penisa, a napis głosi: „Na złość babci odmrożę sobie uszy". Jeszcze kilka przykładów. Adolf Hitler i Józef Stalin kierują pacynką Putinem, który z kolei mieli w maszynce mięso – rzecz jasna, rosyjskich żołnierzy, wysłanych na front. W tle widać wieże obozu koncentracyjnego. Kolejny przykład: Putin z aureolą i koroną z drutu kolczastego nad głową, w dłoniach trzyma sierp i młot, a przed nim stoją małe przerażone ludziki w pozie z obrazu Muncha. Albo: chłop orze pole, zaprzężony w chomąto, i jest gwałcony przez prezydenta Rosji. Napis głosi: „Rosyjskiego chłopa długo zaprzęgają, ale szybko je.ią". Dostawało się też Chińczykom. Xi Jinping z uśmiechem na twarzy, nożem i widelcem w dłoniach zabiera się do posiłku. A na talerzu siedzi malutki Putin ze świńskim ryjem. Na ścianie wiszą dwa obrazy. Na jednym widać Mao Zedonga, na drugim – Ramzana Kadyrowa uprawiającego seks z kozą.

Stalin u Skriepieckiego zazwyczaj pojawia się po to, by wykpić Putina. A to sowiecki dyktator wypróżnia się, a zamiast kału pojawia się prezydent Rosji. A to Stalin trzyma na ramionach maleńkiego Putina, dzierżącego teczkę, niczym uczniak. Jest też przeróbka sowieckiego plakatu propagandowego. A na niej Putin, w imieniu ojczyzny, wzywa Rosjanki, by rodziły mięso armatnie.

Do tego momentu wydawałoby się, że największych wrogów miał Skriepiecki w Moskwie i w Groznym. Nie tylko Putin, lecz także Kadyrow potrafi likwidować swoich przeciwników i krytyków. Czeczeński dyktator nie zawsze robi to z błogosławieństwem swojego kremlowskiego patrona. Jedna z najbardziej prawdopodobnych wersji dotyczących śmierci Borysa Niemcowa głosi, że ten opozycyjny polityk został zabity przez kadyrowców bez zgody lub nawet wbrew woli Putina. Jeśli chodzi o śmierć Skriepieckiego, to ani rosyjskiego, ani czeczeńskiego śladu nie można wykluczyć. Jednak nie można również wykluczyć śladu ukraińskiego.

KARYKATUROWANIE UKRAIŃCÓW

Wystarczy spojrzeć na dwie karykatury satyryka, żeby zorientować się, że miał wrogów także nad Dnieprem. Pierwsza przedstawia znowu Putina, który jednak prawą ręką animuje pacynkę z twarzą Andrija Jermaka. Były szef Biura Prezydenta Ukrainy też kieruje pacynką – Wołodymyrem Zełenskim. Prezydent Ukrainy ma wyraźnie żydowskie rysy twarzy i… gra penisem na keyboardzie. To czytelne nawiązanie do jednego z bardziej prymitywnych skeczów kabaretu Kwartał 95, na którym grę takim właśnie instrumentem na pianinie imitowała przyszła głowa państwa ukraińskiego. To nie koniec. Zełenski jest pacynką Jermaka, który jest pacynką Putina, ale sam też ma swoją pacynkę – Kyryła Budanowa, obecnego szefa Biura Prezydenta Ukrainy. Karykatura była komentarzem do korupcji na Ukrainie. A dokładniej: do postawionych Jermakowi zarzutów w związku z praniem brudnych pieniędzy. „Każdy naród zasługuje na swojego Wołodźkę" – podsumowuje Skriepiecki, przy czym „Wołodźka" jest przekreślony i zastąpiony Andriuszką. W pewnym sensie więc artysta postawił znak równości między Putinem a Zełenskim, między Rosją a Ukrainą.

Satyra na wszechobecną nad Dnieprem korupcję to jeszcze nie był szczyt „antyukraińskich" możliwości Skriepieckiego. 13 maja na Telegramie opublikował obrazek, na którym Ukrainiec z oseledcem (kozacką fryzurą) i w szarawarach szarpie się z Rosjaninem, ubranym w papachę i onuce. Wygląd zewnętrzny jest tak stereotypowy, że każdy przedstawiciel obu narodów rozpozna swojego „reprezentanta". W szale wściekłości obaj wzajemnie wydłubują sobie oczy, jakby jeden nie chciał, by drugi zobaczył prawdę. W końcu obaj żyją w świecie propagandy. Jeszcze ciekawsza jest grupa kibiców. Z jednej strony Putin, z drugiej Zełenski, oddzieleni wianuszkiem oligarchów. Obaj z szyderczymi uśmiechami oddają mocz. Putin na Rosjanina, Zełenski na Ukraińca. Obaj przywódcy, jak wiadomo, są bardzo niscy. Ale to ukraiński prezydent, żeby sięgnąć moczem wystarczająco, musi stanąć na krześle. Nie stoi jednak sam. Podtrzymuje go Jermak.

Obrazek wygląda, jakby został namalowany przez kogoś, kto uważa, że wojna na Ukrainie nie jest wojną obronną, tylko spiskiem elit obu krajów, które zwykłych obywateli wrzucają do maszynki do mielenia mięsa, aby dzięki temu załatwiać swoje szemrane interesy. Coś w stylu „wojna do ostatniego Ukraińca i Rosjanina". Do obrazka dołączony był opis, w którym Skriepiecki wyjaśniał, że otworzył czat dla komentujących, tym samym otwierając pole dla internetowych kłótni obserwujących go Rosjan i Ukraińców. „Kacapy z chachłami się pobili, kłócą się o to, który Wołodźka [Putin czy Zełenski – przyp. red.] ma słodszego chu.a" – dodał. Teoretycznie więc chodziło o wirtualne połajanki, w praktyce Skriepiecki uderzył w jednych i drugich, nie próbując stawać po czyjejkolwiek ze stron.

Wcześniej jednak dokładnie tę samą karykaturę satyryk opublikował w innym kontekście, z opisem: „Bloomberg pisze, że wiosną towarzysz Srański [czyli Ołeksandr Syrski, naczelny dowódca

eprasa.pl 3ac50e40a4

Sił Zbrojnych Ukrainy – przyp. red.] zutylizuje resztki SZU w obwodzie kurskim i nastąpi pieremogojda [połączenie ukraińskiego słowa „peremoha", czyli zwycięstwo, z rosyjskim zawołaniem „gojda", wyrażającym m.in. euforię – przyp. red.]. Znaczy: wiosną będzie zawieszenie broni. Zadanie Wołodźków [dwóch Władimirów – Zełenskiego i Putina – przyp. red.] jest obecnie takie – przemielić ukraińskich patriotów i rosyjskich degeneratów, tym samym czyniąc z Ukrainy i Rosji […] dwa gułagi".

6 stycznia 2025 r. karykaturzysta trafił na listę wrogów Ukrainy, sporządzaną przez centrum Myrotworeć (ukr. Rozjemca). Ta formalnie pozarządowa, ale powiązana z SBU organizacja od 2014 r. publikuje na swojej stronie internetowej dane osób, które zagrażają bezpieczeństwu Ukrainy czy łamią prawo międzynarodowe. Centrum powstało z inicjatywy grupy wolontariuszy, pomagających armii ukraińskiej, skupionych wokół Heorhija Tuki, który wkrótce potem został szefem administracji obwodu ługańskiego, a następnie wiceministrem do spraw terytoriów okupowanych. Oficjalnie kierownikiem Centrum jest były oficer SBU Roman Zajcew. Myrotworeć zbiera informacje z ogólnodostępnych źródeł. Do bazy trafiają zarówno prawdziwi wrogowie Ukrainy, w tym zdrajcy, separatyści, kolaboranci, jak i politycy, aktywiści czy dziennikarze, krytyczni wobec konkretnych działań Kijowa. Nawet jeśli potępiają Rosję. Obok nazwiska, zdjęcia i afiliacji „wroga Ukrainy" publikowane jest krótkie uzasadnienie. Swego czasu na listę trafiali Krzysztof Bosak (już usunięty), Grzegorz Braun czy Rafał Mekler. Do bazy Myrotworcia można było trafić tak łatwo i z tak absurdalnych powodów, że organizacja była obiektem krytyki również nad Dnieprem. W 2016 r. centrum opublikowało listę 4 tys. dziennikarzy, którzy otrzymali akredytację w tzw. Donieckiej Republice Ludowej, z adnotacją, „wyjaśniającą", że są to osoby, które „współpracowały z bojownikami organizacji terrorystycznych". To wywołało prawdziwą burzę. Wśród napiętnowanych było wielu dziennikarzy, którzy opisywali dokonywane przez separatystów zbrodnie wojenne. Akredytacja, co oczywiste, nie jest jednoznaczna ze współpracą. Początkowo naciski, również międzynarodowe, nie działały. Ówczesny prezydent Petro Poroszenko twierdził, że nie może wpływać na „niezależną stronę internetową". W końcu twórcy bazy zaktualizowali listę, przepraszając tych, którzy pojawili się na niej niesłusznie, i tłumacząc się, że otrzymali ją z niepewnego źródła. Jednak na nowej liście pozostało mnóstwo nazwisk polskich i zachodnich dziennikarzy. W 2017 r. wiceszef misji ONZ do spraw praw człowieka na Ukrainie, Benjamin Moreau, stwierdził, że Myrotworeć narusza prawo do życia prywatnego oraz domniemanie niewinności.

Baza stała się narzędziem w politycznej walce wewnętrznej. Za „wrogów ojczyzny" uznano Micheila Saakaszwilego czy Julię Tymoszenko – oboje za awanturę związaną z nielegalnym przekroczeniem granicy przez tego pierwszego, który wjechał na Ukrainę pomimo utraty obywatelstwa. Co znamienne, prorosyjski polityk Wiktor Medwedczuk trafił do bazy dopiero na początku 2019 r. Zmiana na stanowisku prezydenta Ukrainy nie zmieniła podejścia władzy do kontrowersyjnych tropicieli zdrajców. Zełenski, podobnie jak Poroszenko, umywał ręce, udając, że nie ma uprawnień, by wtrącać się do działalności organizacji pozarządowej. Wiceszef misji ONZ, Benjamin Moreau, nadal apelował do rządzących w Kijowie, aby wymogły na Myrotworciu zaprzestanie nielegalnych działań. W jednym z wystąpień przytoczył przykład człowieka, który został zamordowany w Mariupolu po tym, jak stanął przez sądem „w związku z konfliktem w Donbasie", a jego dane pojawiły się w bazie. W 2021 r. Parlament Europejski przyjął rezolucję wzywającą Ukrainę do zamknięcia Myrotworcia. Międzynarodowe naciski ucichły po rozpoczęciu inwazji rosyjskiej.

GROŹBY PRZED ŚMIERCIĄ

Wróćmy do Siemiona Skriepieckiego. W bazie Myrotworcia znalazł się w związku z następującymi zarzutami: „Udział w aktach agresji humanitarnej przeciwko Ukrainie. Rozpowszechnianie narracji rosyjsko-faszystowskiej propagandy. Zamach na suwerenność i integralność terytorialną Ukrainy. Przemyślane działania, których celem jest dyskredytacja Sił Zbrojnych Ukrainy. Publiczne poparcie agresji rosyjskiej i zabójstw obywateli Ukrainy. Rozpalanie nienawiści międzyetnicznej i międzywyznaniowej". Jako „dowody" dołączone zostały zrzuty ekranu z komentarzami artysty. Na pierwszym Skriepiecki niewybrednie komentuje głośne morderstwo Ukrainki Iryny Zaruckiej, dokonane przez czarnoskórego napastnika w amerykańskim Charlotte: „Nigdy nie pozwalajcie, by za waszymi plecami znalazł się czarnuch lub Ukrainiec. NIGDY! Oni zawsze zadają podły cios w plecy, w najbardziej nieoczekiwanym momencie". W załączonych wpisach performer nazywa Ukraińców „chochłoskotami" (chochoł lub chachoł – pogardliwie o Ukraińcu; skot po rosyjsku – bydło) lub „chochłopidorasami" (ros. pidoras – pedał), Ukrainę – „chochłostanem". Pojawia się też wątek polski: „Nie wybaczę niewdzięcznym ukraińskim świniom, że grożą Polakom zrobieniem drugiego Katynia (sic!). Niewdzięczne śmierdzące świnie, dwa lata żrą polskie zasiłki, nie płacą za mieszkania i grożą przyjmującym im Polakom ludobójstwem. Czym Ukraińcy różnią się od Rosjan? Absolutnie niczym". Na kilku screenach, co ciekawe, Skriepiecki naśmiewa się z tego, jak ostro krytykują go Ukraińcy.

Wiadomo, że satyryk otrzymywał przed śmiercią groźby. W jednym z nagrań na TikToku twierdził, że jacyś Czeczeni ustalili jego miejsce zamieszkania, zadzwonili do niego i zażądali przeprosin. Znajomy artysty, Władisław Bochan, w rozmowie z portalem Wot Tak opowiadał, że Skiepieckiemu grożono po performance'ach, w których wyśmiewał Kadyrowa. Tuż przed śmiercią satyryk wystąpił przed ambasadą Rosji w Berlinie. Jego performance polegał na wyciągnięciu z tylnej części ciała flagi rosyjskiej.

Jak widać, Skriepieckiemu śmierci życzyć mogli zarówno Rosjanie (oraz Czeczeni), jak i Ukraińcy. Niemniej w bazie Myrotworcia pod jego nazwiskiem pojawiła się adnotacja „zlikwidowany". Naiwnością byłoby sądzić, że to oznacza, iż Kijów przyznaje się do zamachu. Samo trafienie do bazy nie musi nic oznaczać. Osobiście również trafiłem na tę listę, a jednak nie otrzymałem nawet zakazu wjazdu na Ukrainę, dokąd, jako „wróg Ukrainy", pojechałem i wróciłem. Niemniej również naiwnością byłoby sądzić, że Skriepieckiego na pewno zabili Rosjanie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 3ac50e40a4



FOT. NEXTA.TV/X.COM

ZDERZENIE

Podczas juniorskiego wyścigu kolarskiego Saarland Trofeo w Niemczech doszło do groźnego wypadku, który spowodowała starsza kobieta poruszająca się skuterem inwalidzkim. Gdy peleton z dużą prędkością mijał strefę kibiców, wyjechała ona częściowo na trasę, żeby uzyskać lepszy widok na zawodników. Wtedy jeden z kolarzy zderzył się ze skuterem i przeleciał przez kierownicę, a za nim przewróciło się kilku kolejnych zawodników. Na szczęście nikt nie doznał poważniejszych obrażeń.

ZAGUBIONE EMBRIONY

Amerykańska para poddała się w klinice w Orlando procedurze zapłodnienia in vitro i doczekała się dziewczynki. Jak się jednak okazało po porodzie, zaszła pomyłka. Test DNA wykazał, że kobieta i mężczyzna nie byli biologicznymi rodzicami dziecka, a ich embriony się zagubiły. Para jednak nie chciała się rozstawać z dziewczynką. Gdy biologiczni rodzice dziecka się odnaleźli, zawarto umowę, zgodnie z którą zostało ono ze swoimi dotychczasowymi opiekunami prawnymi.

ZAKAZ FLAG

Ośrodek Kultury Schlachthof (Rzeźnia) w Kassel w landzie Hesja to placówka prowadzona przez lewicowych aktywistów. Na jej terenie działa ogródek piwny, w którym można oglądać mecze. Ale nie wolno do niego wnosić flag narodowych. Okazuje się bowiem, że niektórzy klienci lokalu – mowa o imigrantach – mogliby ich obecność odebrać jako coś wykluczającego i zastraszającego.

SZCZĄTKI

Pracownicy austriackiej firmy technologii lotniczej FACC przeżyli szok. Zamówili półprodukty z tworzywa sztucznego. Paczki dostarczono, ale zamiast zamówionego towaru znaleźli w nich ludzkie szczątki. Jak ustaliła policja, zawartość przesyłek przeznaczona była do badań naukowych w laboratorium w Niemczech. Doszło do pomyłki firmy kurierskiej – paczki z materiałami technicznymi i szczątkami przyleciały tym samym samolotem z USA i zostały błędnie dostarczone.

OCALONE KOTY

W Wietnamie uratowano ponad 400 kotów przeznaczonych na ubój po rozbiciu przez policję grupy zajmującej się nielegalnym handlem zwierzętami. W wyniku akcji w prowincji Tây Ninh i Ho Chi Minh zatrzymano dziewięć osób. Śledztwo rozpoczęto po serii kradzieży zwierząt domowych w Ho Chi Minh. Podejrzani przyznali się, że przez trzy lata wyłapywali koty, a następnie sprzedawali je handlarzom mięsa. Policję pochwalono za sprawną akcję, a koty wróciły do swoich właścicieli. ©℗ ***Filip Memches***



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Marzenia za bilion dolarów

Ekscentryczny przedsiębiorca Elon Musk przeszedł do historii ludzkości jako pierwsza na świecie osoba, której majątek jest szacowany na ponad bilion dolarów. To mniej więcej tyle, ile ma w tym roku wynieść roczny PKB Polski.

Biznesmen przekroczył magiczny próg dzięki pierwszej publicznej ofercie akcji (IPO) spółki SpaceX. Kosmicznemu koncernowi udało się przeprowadzić największe IPO w historii globalnych rynków kapitałowych. Za akcje spółki inwestorzy zapłacili ponad 75 mld dol. Po debiucie wartość akcji jeszcze wzrosła. W ubiegłym tygodniu kosmiczna spółka pod względem kapitalizacji wyprzedziła Amazon, a przez krótki czas była nawet wyceniana wyżej niż Microsoft. Późniejsza realizacja zysków ostudziła jednak nieco nastroje inwestorów. Tylko w ubiegły wtorek wartość obrotu przekroczyła 60 mld dol. i była najwyższa w historii dużych spółek notowanych na amerykańskim rynku.

Na giełdowym debiucie mocno wzbogacił się nie tylko Elon Musk, lecz także pracownicy SpaceX oraz inwestorzy, którzy zaufali najsłynniejszemu na świecie sprzedawcy marzeń w momencie, gdy mało kto wierzył w komercyjny sukces kosmicznego biznesu na tak ogromną skalę. Wśród tych, którzy przed laty wyłożyli pieniądze na start-up Muska, był m.in. urodzony w Tarnowie amerykański inwestor Łukasz Nosek, który na debiucie SpaceX zarobił kilka miliardów. Zyskali nawet posiadacze powiązanej z Muskiem kryptowaluty Dogecoin.

I chociaż Musk narzeka, że „ktokolwiek powiedział, że »pieniądze szczęścia nie dają«, naprawdę wiedział, o czym mówi", to trudno mu będzie znaleźć kogoś z taką empatią, aby mu naprawdę współczuć... ©℗

eprasa.pl 3ac50e40a4

Tajne laboratoria USA



Tulsi Gabbard była jedną z kluczowych postaci spoza obozu republikańskiego, których aktywność złożyła się na wygraną Donalda Trumpa w wyborach w 2024 r. z jego hasłem „America First"

FOT. CNP/ABACA/ABACA PRESS/FORUM

Wojciech Golonka

Według niektórych mediów Tulsi Gabbard podawała Donaldowi Trumpowi rzetelne informacje wywiadowcze i stanowiska pozostające wierne jej poglądom, jednakże nie mając wpływu na jego ostateczne decyzje, pozostawała lojalna wobec prezydenta decydenta, przemilczając publicznie swą percepcję rzeczy

Tulsi Gabbard postanowiła odejść ze swego stanowiska dyrektora Narodowego Wywiadu USA w atmosferze kontrowersji, ujawniając Amerykanom informacje o finansowaniu przez USA różnych laboratoriów biologicznych na świecie, w tym ok. 30 na Ukrainie – laboratoriów wzmacniających również funkcje przechowywanych przez siebie śmiertelnych wirusów. To oficjalne stanowisko amerykańskiego wywiadu, mające obciążyć administrację Joe Bidena i ówczesnego guru medycznego stojącego na czele amerykańskich instytucji badawczo-zdrowotnych, Anthony'ego Fauciego, wywołało mieszane uczucia – od aplauzu ze strony części opinii publicznej po ostrą krytykę zarzucającą Gabbard odpalenie informacyjnego kapiszona, mającego kreować wrażenie o nieprawidłowościach, które w rzeczywistości nie zachodzą. Wiele w tej kwestii rozjaśniałby powód, dla którego Gabbard zdecydowała się na ten krok właśnie teraz, po tym, jak w maju zapowiedziała rezygnację ze swego stanowiska z końcem czerwca, oficjalnie z powodów zdrowotnych jej męża – a takich możliwych powodów jest przynajmniej kilka.

Tulsi Gabbard była bez wątpienia jedną z kluczowych postaci spoza obozu republikańskiego, których aktywność złożyła się na wygraną Donalda Trumpa w wyborach w 2024 r. z jego hasłem „America First". Ta pochodząca z Hawajów podpułkownik amerykańskiej armii, była członek Izby Reprezentantów w latach 2013–2021 z ramienia Partii Demokratycznej wyrażała jasną i kategoryczną krytykę amerykańskiego interwencjonizmu na świecie, przede wszystkim w wojnach bliskowschodnich, a także krytykowała zaangażowanie USA w wojnę rosyjsko-ukraińską. W przypadku tej ostatniej, jeszcze w marcu 2022 r., a więc na początku wojny, Gabbard opublikowała wideo, w którym informowała o finansowaniu przez rząd USA na Ukrainie ok. 25–30 laboratoriów biologicznych, prowadzących badania nad śmiertelnymi patogenami, których ulotnienie w naturę na skutek działań wojennych mogłoby doprowadzić do tragedii nie mniejszej niż COVID-19, zagrażającej również obywatelom Stanów Zjednoczonych, skoro wirusy nie znają granic. Gabbard informowała także, że łącznie takich laboratoriów finansowanych przez USA jest na świecie ok. 300, stąd pilna potrzeba ich zamknięcia, wraz ze zniszczeniem wspomnianych patogenów. Zarzucała przy tym ówczesnej administracji Bidena nieodpowiedzialność w tej kwestii, zagrażającą całej ludzkości.

ROSYJSKIE INSYNUACJE

Ta wypowiedź Gabbard spotkała się wówczas z bardzo ostrą krytyką, tym bardziej że na początku wojny propaganda rosyjska ochoczo wymieniała funkcjonowanie na Ukrainie laboratoriów finansowanych przez USA, insynuując, że jednym z powodów rosyjskiej inwazji sąsiedniego kraju była samoobrona i prewencja w zakresie broni biologicznej. W szczególności popularny republikański senator Mitt Romney nazwał słowa Gabbard „zdradzieckimi kłamstwami", które powielają rosyjską propagandę, a szerzej rzecz ujmując – jej krytycy wskazywali, że wspomniane laboratoria to co najwyżej obiekty cywilne (a nie wojskowe), funkcjonujące ze wsparciem finansowym USA, a nie żadne tajne laboratoria. Gabbard słusznie jednak wskazywała, że jej słowa zostały przeinaczone: wszak nie mówiła o żadnych laboratoriach wojskowych ani o broni biologicznej, a o laboratoriach biologicznych, w których – zgodnie z prawdą – przechowywane są groźne patogeny, a których ulotnienie się w naturę na skutek realiów wojny na Ukrainie rzeczywiście mogłoby wywołać katastrofę.

Zachodzi pytanie, czemu ta zasadniczo milcząca publicznie polityk od czasu przystąpienia do administracji Donalda Trumpa, odchodząc po półtora roku ze swego jakże wpływowego stanowiska, postanowiła odgrzać medialnie, praktycznie słowo w słowo, ten stary temat, w dodatku z dość skromną dokumentacją dowodową (czterostronicowy plik PDF odtajnionych materiałów); temat, który

eprasa.pl 3ac50e40a4

nie wiąże się z aktualnymi wydarzeniami na świecie.

Pierwszy, wskazywany dość logicznie element to próba ratowania własnej wiarygodności, która w oczach wielu uległa poważnemu uszczerbkowi przez działania Donalda Trumpa stanowiące zaprzeczenie twardych obietnic wyborczych Gabbard i jej poglądów w ogóle, zwłaszcza z czasów, gdy w 2020 r. kandydowała w wyborach prezydenckich, aby zapobiec – jak twierdziła – kolejnej kadencji Trumpa… by nie dopuścić do jego wojny z Iranem!

Otóż porwanie Nicolása Maduro z Wenezueli czy rozpętanie wojny z Iranem, rozpoczęte zresztą od egzekucji części polityczno-religijnego irańskiego establishmentu, rzeczywiście nijak się miały do obietnic Gabbard, która na temat tych wydarzeń albo publicznie milczała, albo po prostu broniła decyzji prezydenta. Tymczasem jeden z jej kluczowych współpracowników, Joe Kent, odpowiedzialny za Narodowy Ośrodek Zwalczania Terroryzmu, otwarcie zrezygnował ze swego stanowiska w proteście przeciw nieuzasadnionej jego zdaniem amerykańskiej agresji na Iran, wywołanej – jak zaznaczał – na poczet interesów obcego państwa, Izraela. Innymi słowy, politykierskie logiczne uzasadnienie byłoby takie, że Gabbard korzystając z ostatniej, desperackiej okazji, chciała się wykazać jakąkolwiek spójnością ze swymi deklaracjami z przeszłości po tak naprawdę „przegranej" karierze na czele połączonych amerykańskich agencji wywiadu.

To wytłumaczenie jednakże jest najpłytsze z możliwych, podczas gdy równie dobrze nie można wykluczyć – wszak niektóre media informowały nawet, że Gabbard poproszono o odejście z administracji z racji rozbieżności zdań – iż Gabbard podawała Trumpowi jak najbardziej rzetelne informacje wywiadowcze i stanowiska pozostające wierne jej poglądom, jednakże nie mając wpływu na jego ostateczne decyzje, pozostawała lojalna wobec prezydenta decydenta, przemilczając publicznie swą percepcję rzeczy.

W sferze spekulacji o wiele ważniejszy może być jednak inny, dość prozaiczny fakt, skoro USA raz po raz potwierdzają, że realizują politykę resetu z Rosją w obliczu ogólnoświatowej rywalizacji z Chinami. Nie wiemy wprawdzie, co w szczegółach zakładają poczynione ustalenia między Waszyngtonem a Moskwą na ubiegłorocznym szczycie w Anchorage na Alasce, zapewne od tego czasu bardziej dopracowywane, niemniej wycofywanie się przez USA z finansowania jakichkolwiek laboratoriów biologicznych na Ukrainie byłoby naturalną konsekwencją tego resetu, który strona rosyjska mogłaby sprzedać własnym obywatelom jako sukces i potwierdzenie własnej sprawczości – patrzcie, te szemrane laboratoria pod naszymi granicami, Amerykanie je wskutek naszej presji porzucili.

Tulsi Gabbard opublikowała wideo, w którym informowała o finansowaniu przez rząd USA na Ukrainie ok. 25–30 laboratoriów biologicznych, co ściągnęło na nią oskarżenia o powielanie rosyjskiej propagandy

Paradoksalnie jednak trudno powiedzieć, co tak naprawdę dla Rosjan jest lepsze – czy aby te, zazwyczaj postsowieckie, instytucje badawcze pozostawały pod pewną kontrolą Ameryki, która finansowała je oficjalnie właśnie po to, aby zapewnić im stabilność i umożliwić klasyczny monitoring wirusologiczny, czy w zupełnej zależności od oligarchicznego układu ukraińskiego. Niemniej casus tych laboratoriów wpisuje się w ogóle w szerszy problem, któremu Donald Trump postanowił położyć kres, a to właśnie jego ruch najlepiej tłumaczyłby wystąpienie Gabbard, w innym razie sprawiające wrażenie na wyrwane z jakiegokolwiek kontekstu, stąd zaś budzące spory i spekulacje.

EKSPERYMENTY UCZNIÓW CZARNOKSIĘŻNIKA

Otóż nie ma wątpliwości, że COVID-19 wykoleił ostatni rok pierwszej prezydentury Trumpa i prawdopodobnie kosztował go przegraną w wyborach w 2020 r. Jest też faktem, że media celowo ukrywały przed opinią publiczną solidne poszlaki prowadzące do laboratorium w Wuhan jako ogniska epidemii, zajmując nas przejmującymi opowieściami o targach zwierzęcych i jaskiniach nietoperzy, gdy tymczasem to m.in. w tym laboratorium, finansowanym sowicie nie tylko przez USA, lecz także inne kraje zachodnie, np. Francję, prowadzono rzeczywiście badania nad wzmacnianiem wirusów. Za tzw. gain-of-function kryje się – przynajmniej w teorii – założenie, że aby zwyciężyć potencjalną przyszłą epidemię, trzeba sztucznie zmutować wirusa do jego groźniejszej postaci, którą mógłby z czasem sam przybrać na skutek mutacji, po to, by znaleźć zawczasu na niego lekarstwo.

Chodzi o swego rodzaju eksperymenty uczniów czarnoksiężnika, ograniczane przez ustawodawstwo poszczególnych krajów zachodnich, stąd silna pokusa do ich zagranicznego outsourcingu przez ludzi pokroju Anthony'ego Fauciego – 18 czerwca Gabbard, odtajniając kolejne dokumenty, potwierdziła, że to właśnie zaszło w Wuhanie, a fakt ten Fauci próbował tuszować z pomocą służb. I temu właśnie obecny prezydent USA położył oficjalnie kres rozporządzeniem nr 14292 z 5 maja, nakazującym „zakończyć federalne finansowanie niebezpiecznych badań typu »gain-of-function« prowadzonych przez zagraniczne podmioty w krajach budzących obawy (np. Chiny) […] lub w innych krajach, w których nie ma odpowiedniego nadzoru zapewniającego zgodność tych krajów ze standardami i politykami nadzorczymi Stanów Zjednoczonych; oraz zakończyć federalne finansowanie innych badań nauk o życiu […], które mogą stanowić zagrożenie dla zdrowia publicznego, bezpieczeństwa publicznego oraz bezpieczeństwa gospodarczego lub narodowego, zgodnie z ustaleniami szefów właściwych agencji".

Zauważmy, że pod kategorią krajów bez odpowiedniego nadzoru USA podpada ewidentnie Ukraina, stąd wystąpienie Gabbard, w tym szczególnym kontekście, układa się w pewną zrozumiałą całość, tym bardziej że powielało ono prawie expressis verbis krytykę rządów Bidena wyrażoną w prezydenckim rozporządzeniu. Samo zamykanie kurka z dolarami dla instytucji zbyt pewnych siebie, igrających z ogniem i życiem ludzkim, to bardzo dobra wiadomość, choć w przypadku COVID-19 ludzkości wciąż należy się cała prawda i pociągnięcie winnych do odpowiedzialności.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 3ac50e40a4

Ostatni rozdział?



Jan Bogatko z Berlina

SPD traci popularność. Niegdyś partia klasy robotniczej, dzisiaj wpisuje na sztandary „walkę z ekstremalną nędzą, chorobami i na rzecz globalnej sprawiedliwości". Mało to przemawia do mieszkańców dawnych metropolii przemysłowych, bez zakładów pracy i z zabitymi deskami wystawami sklepowymi



Przywódcy SPD – wicekanclerz i minister finansów Lars Klingbeil oraz minister pracy i spraw społecznych Bärbel Bas – podczas zjazdu partii w Berlinie, 28 czerwca 2025 r. FOT. MIKE SCHMIDT/SZ-PHOTO/FORUM

Upadek Socjaldemokratycznej Partii Niemiec (SPD), najstarszego ugrupowania politycznego w Niemczech – pod tą nazwą istnieje ono od 1890 r. – wydaje się nie do powstrzymania. Barometr polityczny z końca maja 2026 r., wskazujący popularność partii politycznych, wydał wyrok na współrządzącą z CDU w Berlinie SPD: spadek do 11 proc. Czyli o 5 pkt. proc. wobec marca. Tyle samo mają komuniści (Die Linke). To zła wiadomość dla szefów partii, duetu Lars Klingbeil i Bärbel Bas. Im się nadal wydaje, że gwiazda SPD świeci na firmamencie polityki. Tymczasem ona już zgasła. To tylko widmo. Jak Betelgeza w gwiazdozbiorze Oriona.

Dlaczego SPD w szalonym tempie traci popularność, a jej liderzy tego nie dostrzegają? To w polityce zjawisko wcale niemarginalne. Winni są zawsze inni. SPD, niegdyś partia klasy robotniczej, walcząca dawniej o interesy mało zarabiających pracowników w Niemczech, dzisiaj wpisuje na sztandary „walkę z ekstremalną nędzą, chorobami i na rzecz globalnej sprawiedliwości".

Mało to przemawia do mieszkańców dawnych metropolii przemysłowych, bez zakładów pracy i z zabitymi deskami wystawami sklepowymi. Dzisiaj głosują oni na Alternatywę dla Niemiec (AfD). Na – według oficjalnej nomenklatury – „skrajną prawicę". Ich program coraz bardziej do nich przemawia, bo w jego centrum uwagi znajdują się Niemcy z ich codziennymi problemami: likwidacją miejsc pracy (przemysł samochodowy), utopijną polityką klimatyczną (wiatraki zamiast atomu) czy napływem osadników z Afryki i Azji oraz rosnącą przestępczością. Zgoda, koalicjant SPD na szczeblu federalnym, partia kanclerza Friedricha Merza, Unia Chrześcijańsko-Demokratyczna (CDU) – niegdyś, jak nazwa wskazuje, chrześcijańscy demokraci, dziś jednak lewicowi liberałowie – też głoszą niemal identyczne hasła co AfD, ale – właśnie wskutek koalicji z lewicą (SPD) – nie zabierają się w odczuciu Niemców do ich realizacji. Natomiast widzą oni, że SPD protestuje przeciwko obniżaniu wysokości tzw. pomocy rozwojowej przez ministerstwo finansów w Berlinie, na którego czele stoi… Lars Klingbeil, szef SPD, koalicjant Merza.

NIEDOGMATYCZNI PRAGMATYCY

A przecież już w ubiegłorocznych wyborach do Bundestagu niemieccy socjaliści uzyskali najgorszy w historii federalnego parlamentaryzmu wynik w wyborach: 16,5 proc. (z dzisiejszej perspektywy zgoła oszałamiający). To już powinno było dać towarzyszom z SPD wiele do myślenia. Do tego doszły – jakby tego było za mało – bolesne porażki w landowych wyborach w Wirtembergii i Nadrenii-Palatynacie. Wynika z nich czarno na białym, że wyborcy, dawniej sympatycy SPD, przeszli do AfD. Dla lewicy to policzek. A Klingbeil i Bas nadal bujają w chmurach. Nie znaczy to, że SPD to partia politycznych ślepców. Socjaliści mają forum, które przypomina towarzyszom o świetnej przeszłości. Nazywa się ono Seeheimer Kreis (od nazwy miejscowości, gdzie jego uczestnicy latami się spotykali). Uważają się oni (nie bez przesady) za niedogmatycznych pragmatyków. Otóż ta wewnętrzna frakcja w SPD (oprócz lewackiej, bo i taka jest) uważa, że słabość partii wynika z tego, że za bardzo zabiegała o „doły" (beneficjentów wszelkiego rodzaju zapomóg), a za mało o ciężko pracującą klientelę wyborczą. Zdaniem krytyków Seeheimer Kreis to nieprawda. Wskazują oni na kanclerza Gerharda Schrödera („Genosse der Bosse", „towarzysza kapitału") i jego program przebudowy państwa socjalnego – Agenda 2010 – który uderzył po kieszeni

eprasa.pl 3ac50e40a4

mniej zarabiających do tego stopnia, że niektórzy nie mogą się do dziś pozbierać.

Teraz, kiedy lewicowa SPD we wzmożonym tempie traci rzesze wyborców na rzecz Alternatywy dla Niemiec, partii uważanej przez uczestników projektu Firewall za skrajną prawicę, coraz częściej wielu Niemców stawia pytanie, co się właściwie stało z niegdyś tak potężną klasą robotniczą. Ten wydawałoby się już dawno zapomniany termin wraca do słownictwa żurnalistów. Stawiają oni rewolucyjną tezę, że ta klientela wyborcza, niosąca na swych barkach SPD swego czasu od zwycięstwa do zwycięstwa, przestała istnieć! No bo proszę: Gdzie się podziali górnicy czy hutnicy? Tak, już ich nie ma, ale przecież jest w Niemczech cała rzesza robotników w przemyśle, który mimo recesji w końcu istnieje. W Niemczech nadal odróżnia się pracowników fizycznych od umysłowych – w prawie pracy i lewicowej w większości publicystyce. Oprócz tego nie brakuje pracowników niebędących robotnikami w klasycznym, marksistowskim znaczeniu tego słowa, ale dzielących z nimi ten sam los. Wreszcie są bezrobotni, szukający politycznego orędownika. Innymi słowy, jest w Niemczech wiele grup pracowników wchodzących do tej kategorii. Zajmują się nimi socjolodzy, badający pracownicze hierarchie. Jak np. Klaus Dörre z uniwersytetu w Jenie.

Od wielu lat naukowiec zajmuje się procesem fragmentaryzacji tradycyjnej klasy robotniczej. Socjologia należy w Niemczech do licznych lewicowych kierunków akademickich. Dörre wypracował model zajmujący się pracownikami w hierarchii społecznej, obejmujący ich poziom wykształcenia, grupę zawodową, profil działalności, specjalizację, kwalifikacje, a także poziom dochodów w gospodarstwie domowym. Tak oto, w oparciu o przeprowadzone ankiety, powstał ów model, definiujący „nową klasę robotniczą" (bardziej zasługującą na określenie „grupa pracujących"), przeciwstawiając ją klasie robotniczej w niedawnym, marksistowskim znaczeniu. Do tej nowej klasy robotniczej Dörre zalicza robotników z wyższym wykształceniem, jak wysoko wykwalifikowanych specjalistów czy lekarzy zaraz po studiach. Odróżnia ich od innych to, że nie mają oni władzy nad innymi pracownikami. Grupa ta, zdaniem socjologa z Jeny, jest progresywna, nowoczesna i proekologiczna w lewicowym tego słowa znaczeniu. Wyliczył on, że obejmuje ona 14 proc. ogółu pracowników. To teoretycznie prawdziwa armia wyborców SPD. Trzeba by tylko im to uświadomić. Nie mówi on jednak nic na temat, co miałoby łączyć „nową klasę robotniczą" z pracownikami bez wykształcenia czy z wykształceniem tylko ponadpodstawowym. A do tej grupy należą właśnie prosty robotnik w przemyśle, kasjerka w supermarkecie czy konduktor na kolei. Do tego grupa ta jest znacznie większa od nowo zdefiniowanej, stanowiąc niemal 40 proc. pracowników w Niemczech. I nie ma tu w zasadzie różnicy między zachodnimi a wschodnimi Niemcami. Do tej grupy socjolog z Jeny zalicza także, nie wiadomo dlaczego, pozostających od lat bez pracy beneficjantów pomocy socjalnej i migrantów bez dokumentów. Nie dowiemy się, co łączy ich ze świeżo upieczonymi lekarzami.

Dramatyczny spadek poparcia dla SPD może odbić się na koalicji rządzącej w Berlinie najpóźniej po tegorocznych jesiennych wyborach w trzech landach

DO ROZŁAMU DALEKO

Ale kogo reprezentuje SPD? Dörre uważa, że najstarsza nadal z obecnych na politycznym parkiecie partii w Niemczech reprezentuje dzisiaj żyjącą z pracy klasę średnią i nową klasę robotniczą, a nie robotnika bez wykształcenia. Ale to wcale niemała liczebnie grupa. Tymczasem SPD wybiera znacznie mniejsza liczba sympatyków, niżby to wynikało z socjologicznej statystyki. Dlaczego tak się dzieje? Dörre uważa, że wynika to ze składu osobowego partii i zerwania więzi ze związkami zawodowymi, a także z zaniku tradycyjnych struktur w świecie pracy. W wyniku tych zmian owych lepiej wykształconych do niedawna wyborców SPD sprzątają im sprzed nosa równie lewicowi Zieloni. Nie tylko zresztą oni korzystają z upadku SPD – lecz także komuniści (Die Linke) oraz – uwaga – rzekomo należąca do skrajnej prawicy AfD. A może po prostu priorytety wyborców lewicy się zmieniły: sprawy dotąd uważane za ważne – np. migracja do Niemiec – stają się nie tyle nieważne, ile zrażające byłych wyborców SPD (aczkolwiek wielu z nich optuje za Zielonymi i Die Linke). Lewica nie jest w stanie tego pojąć mimo lat operacji Firewall: robotnicy za prawicą? Ale AfD udało się przekonać wyborców o tym, kto w Niemczech odpowiada za likwidację tysięcy miejsc pracy. I za zastój gospodarczy w imię ekologii i postępu. Klingbeil i Bas nie rozumieją postawy byłej klienteli wyborczej SPD. Tak jak CDU i CSU (niegdyś konserwatyści, dla których SPD była czerwoną płachtą na byka) panicznie bronią się przed uznaniem ich za prawicę, tak samo robotnicy nie chcą uchodzić za „marginalizowanych biedaków", zmuszonych do korzystania z darmowych jadłodajni. Dramatyczny spadek poparcia dla SPD może odbić się na koalicji rządzącej w Berlinie, najpóźniej po tegorocznych, jesiennych wyborach do landtagów w Saksonii-Anhalt, Berlinie i Meklemburgii-Pomorzu Zachodnim. Na razie SPD dostała baty w Badenii-Wirtembergii (gdzie niemal nie wyleciała z Landtagu), w Nadrenii-Palatynacie (gdzie straciła władzę po 35 latach) i w Monachium, (gdzie straciła prestiżowy fotel prezydenta stolicy Bawarii).

Po klęskach wyborczych towarzysze w SPD skręcają z reguły na lewo. Z kolei socjalistyczni konserwatyści (Seeheimer Kreis) namawiają do zwrotu na prawo, do oparcia się na wyimaginowanym centrum. Czy grozi to dodatkowo rozłamem w partii? Zdaniem politycznych obserwatorów w Berlinie raczej nie. To nie pierwszy raz w dziejach partii takie kontrowersje. Do rozłamu daleko, sztandaru (który, jak wiadomo, „płynie ponad trony") też nie będzie się wynosić. Na razie duet Klingbeil – Bas pozostaje w SPD u władzy, co odpowiada szefowi rządu w Berlinie, Friedrichowi Merzowi z CDU. Na razie. Kanclerz ma dobre relacje z Klingbeilem, może dokona on zwrotu SPD w prawo. Może. A jak nie, to w kolejce po władzę w Berlinie, wraz z Merzem, stoją Zieloni. W dalszej zaś perspektywie? Kto wie? Na razie Firewall utrzymano w mocy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 3ac50e40a4

Góry przegrały z dźwigami



„Nie dla 10 milionów" – głosi hasło na plakacie przed referendum zgłoszonym przez Szwajcarską Partię Ludową (SVP) FOT. JEAN-CHRISTOPHE BOTT/EPA/PAP



Teresa Stylińska

Pytanie, które może sobie dziś zadawać wielu obywateli Szwajcarii, zapewne brzmi tak: Kiedy liczba ludności naszego pięknego kraju przekroczy 10 milionów? Czy w roku 2050, który jako punkt odniesienia przyjęli inicjatorzy referendum w tej sprawie, czy może jednak wcześniej, jak sugerują prognozy demograficzne? I co z tego wyniknie dla społeczeństwa i jego tak cenionego wysokiego poziomu życia?

Nie jest to pytanie bezpodstawne. W ogólnokrajowym referendum, które odbyło się 14 czerwca, Szwajcarzy decydowali, czy należy ustanowić pułap liczby ludności na poziomie 10 milionów. Jako datę graniczną przyjęto rok 2050. Do tego czasu liczba mieszkańców Szwajcarii musiałaby się utrzymać w wyznaczonych granicach. W chwili, gdy osiągnie 9,5 miliona – poziom alarmowy – rząd i parlament byłyby zobowiązane do zastosowania środków hamujących napływ imigrantów, takich jak wstrzymanie łączenia rodzin. Po 2050 r. dopuszczalna liczba ludności podlegałaby corocznym ustaleniom.

To precedens. Gdyby projekt został przyjęty, Szwajcaria stałaby się pierwszym na świecie krajem, którego obywatele sami uznali, na jak wielu mieszkańców mogą sobie pozwolić. Tak się jednak nie stanie. „Nie dla 10 milionów" – jak brzmiało hasło referendalne zgłoszone przez Szwajcarską Partię Ludową (SVP) – zostało odrzucone. Ustanowieniu pułapu ludnościowego sprzeciwiło się blisko 55 proc. głosujących, 45 proc. było za.

Wbrew jednak hasłu, sugerującemu, że referendum dotyczyło kwestii ludnościowych, jego tematem tak naprawdę była imigracja. Szwajcaria mieści się w ciągle jeszcze niewielkim gronie krajów, w których liczba mieszkańców rośnie dzięki imigrantom, bo sam przyrost naturalny nie gwarantuje wzrostu populacji. To zaś pociąga za sobą różne skutki – zdaniem jednych dobre, według innych niepożądane.

PIĘKNO KRAJOBRAZU CZY ROZWÓJ GOSPODARCZY?

Tytuł tego tekstu oddaje dylemat, przed którym zostali postawieni mieszkańcy Szwajcarii. Tradycja, spokój, piękno krajobrazu czy współczesność i rozwój gospodarczy?

W prosty i czytelny sposób ujmowały to plakaty, które przed referendum były rozwieszone na ulicach szwajcarskich miast i miasteczek. Oto sielskie tło: zielone zbocza, na których spokojnie pasą się krowy, w oddali ośnieżone górskie szczyty. A z przodu, na pierwszym planie, dźwig koło dźwigu. Albo bardziej dosadnie, już bez nuty sielskości: małe domki o czerwonych dachach, wiejski kościółek ze smukłą dzwonnicą, ale górę ledwie widać, bo przesłoniły ją wielopiętrowe budynki. Będzie ich więcej. Przed wioską już stoi kilka potężnych dźwigów. Czytaj: do alpejskiej krainy wkraczają zmiany, które zniszczą to, co wielu Szwajcarów najbardziej sobie ceni.

Obraz jest oczywiście skrótem, jak przystało na plakat i czas kampanii. Nie przypadkiem jednak w roli symbolu zmian obsadzony został dźwig. Gdy jedzie się dziś przez Szwajcarię, dźwigi widać wzdłuż autostrad, na stokach nad miasteczkami, nawet w miejscowościach turystycznych, takich jak Zermatt, gdzie, jak można by naiwnie sądzić, nic już nie da się wcisnąć. Jednych ten widok cieszy, bo w budownictwie widzą przejaw roz-

eprasa.pl 3ac50e40a4

woju, innych boli, bo chcą, by Szwajcaria pozostała taka, jaka jest.

W takim też kierunku szły argumenty zwolenników pułapu i jego zdeklarowanych przeciwników, do których zaliczają się także władze Szwajcarii. Argumenty – dodajmy – nie do pogodzenia. Fundamentalne podziały, które są dziś udziałem wszystkich bez mała społeczeństw – nawet jeśli powstają w różnych okolicznościach i na różnym tle – również w Szwajcarii dały o sobie znać.

Zdaniem jednych – nazwijmy ich „zwolennikami 10 milionów" – napływ imigrantów stanowi zarazem obciążenie i zagrożenie. Obciąża przede wszystkim sferę usług, poczynając od mieszkań, szkolnictwa i ochrony zdrowia, na transporcie i komunikacji kończąc. Co więcej, aby problemy te rozwiązać i zapewnić ludziom jakie takie warunki życia, trzeba ściągać nowych imigrantów. Tak powstaje imigracyjne błędne koło: przybywają nowi, by złagodzić skutki obecności wcześniejszych imigrantów. Taką fundamentalną tezę głosi Szwajcarska Partia Ludowa, która swą pozycję zbudowała na konsekwentnym sprzeciwianiu się nadmiernej imigracji. Dziś jest największym ugrupowaniem w parlamencie.

A zagrożenie? Nie chodzi tylko o wzrost przestępczości i osłabienie poczucia bezpieczeństwa. Pod tym względem zresztą Szwajcaria ciągle jest oazą spokoju w porównaniu ze Szwecją, z Francją, Niemcami czy, zwłaszcza ostatnio,Wielką Brytanią. Rzecz w tym, że Szwajcaria, zdaniem niejednego z jej mieszkańców, w tych warunkach przestaje być starą, dobrą Szwajcarią.

IMIGRANCI Z EUROPY

Gdyby nie imigranci, Szwajcarii zabrakłoby ludzi do pracy – odpowiadają na to „przeciwnicy 10 milionów". W obecności pracujących cudzoziemców widzą zatem nie obciążenie, lecz potencjał i szanse. Dzięki imigrantom – podkreślają – funkcjonują opieka i pomoc społeczna, bo to oni stanowią personel szpitali i domów opieki i zajmują się starymi ludźmi w ich domach. W starzejącym się społeczeństwie to praca bezcenna. Nie poradziłyby też sobie hotele ani schroniska, a wiadomo, co znaczy turystyka dla szwajcarskiej gospodarki. Transport i budownictwo też opierają się na pracy imigrantów. Wreszcie wcale nienajmniej ważny argument dotyczy więzów z Unią Europejską. Gdyby perspektywa osiągnięcia 10 milionów wymagała wprowadzenia restrykcji, ofiarą padłby swobodny przepływ ludzi między Szwajcarią a Unią. Ucierpiałaby Szwajcaria.

Obraz imigracji w Szwajcarii, choć pozornie podobny, jest jednak całkowicie odmienny od tego, który dobrze znamy z innych krajów Europy Zachodniej. Po pierwsze, imigranci stanowią blisko 30 proc. mieszkańców Szwajcarii i jest to najwyższy odsetek w Europie i jeden z najwyższych na świecie. Ale nagie liczby to nie wszystko. Na ulicach szwajcarskich miast nie widzi się przede wszystkim tak wielu kolorowych, jak w Paryżu, Londynie czy Amsterdamie. To dlatego, że – to po drugie – aż 80 proc. imigrantów stanowią przybysze z Europy. Dominują Włosi, Niemcy, Portugalczycy i, co ciekawe, Albańczycy z Kosowa.

Warto także pamiętać, że dla Szwajcarów obecność cudzoziemców to nie pierwszyzna. Ich kraj ma długą, ponadstuletnią tradycję przyjmowania uchodźców, uciekinierów, rewolucjonistów i przeciwników reżimów z całego świata. Neutralność Szwajcarii, a w związku z tym perspektywa spokoju i bezpieczeństwa musiały działać jak magnes. Współcześnie natomiast potężny magnes stanowią niskie podatki i nic dziwnego, że w Szwajcarii osiadł istny panteon artystów z wszelkich dziedzin, od muzyki po film. A przy okazji – przypomnijmy – tu ostatnie lata życia spędzili, i tu też zmarli, Kościuszko i Sienkiewicz.

JAK ODZYSKAĆ KONTROLĘ?

Inicjatorzy referendum nie zamierzali całkowicie zamykać drzwi do Szwajcarii. Projekt SVP przewidywał, że co roku można będzie przyjąć 40 tysięcy osób – ludzi o określonych, potrzebnych kwalifikacjach, lecz także bliżej niesprecyzowanych „innych", być może właśnie artystów czy zawsze przecież pożądanych bogaczy. Niemniej skoro wynik jest taki, jaki jest, akceptowanych cudzoziemców będzie zapewne więcej. Już wkrótce powinno się okazać, w jakim tempie liczba ludności będzie rosnąć i jakie przyniesie to skutki.

Politycy SVP uważają, że odczuwalne przyspieszenie wzrostu demograficznego trwa mniej więcej od 2007 r. Właśnie w owym czasie weszło w życie szwajcarsko-unijne porozumienie o wolnym handlu, a wraz z nim zasada swobodnego przepływu ludzi. Szwajcaria miała wówczas prawie 7,6 miliona mieszkańców – „tylko" 7,6 miliona z dzisiejszego punktu widzenia. W ciągu niespełna 20 lat liczba ludności wzrosła zatem o półtora miliona, czyli aż o 20 proc.

„Straciliśmy nad tym kontrolę. Skutek jest taki, że ludzie czują się jak obcy w swym własnym kraju" – portal Swissinfo cytuje słowa Thomasa Mattera, deputowanego SVP i jednego z inicjatorów referendum.

Liczby są bowiem wymowne. Szwajcaria ma dzisiaj 9,1 miliona mieszkańców. Dziewięciomilionowy próg został przekroczony w 2024 r. Od 2013 r., według Swissinfo, liczba ludności wzrosła o 10 proc. Jeśli prognozy się sprawdzą, 10-milionowy próg zostanie osiągnięty na początku lat 40. Albo nawet wcześniej. Największy roczny wzrost zanotowano w 2023 r. Ludność Szwajcarii zwiększyła się wówczas o rekordowe 147 tysięcy, przy czym, co najciekawsze, w 95 proc. było to skutkiem napływu imigrantów. Przy wskaźniku dzietności na poziomie niespełna 1,3 dziecka na kobietę przyrost naturalny jest po prostu nieznaczący. I chociaż liczba urodzeń ciągle przewyższa liczbę zgonów, to może się to zmienić w całkiem nieodległej przyszłości. Gdyby nie demograficzny wkład imigrantów, Szwajcaria już teraz zaczęłaby się wyludniać.

Co nie zmienia faktu, że SVP stara się trzymać rękę na pulsie i czuwać nad tym, by w Szwajcarii nie nastąpiło to, co we Francji nazwano „zastępowaniem" ludności europejskiej przez ludzi innych kultur. Ryzyko, wobec stosunkowo niewielkiego udziału imigrantów spoza Europy, nie jest co prawda tak duże jak gdzie indziej, ale całkiem lekceważyć go nie można. SVP ma udział w przyjęciu zakazu noszenia burek (referendum z 2021 r., 51 proc. za), a w 2014 r. po raz pierwszy zainicjowała głosowanie w sprawie położenia kresu masowej imigracji. Niewysoka wygrana na poziomie zaledwie 50,3 proc. nie przełożyła się na konkretne kroki, stąd obecne, kolejne referendum. Czy na pewno ostatnie? Choć dzisiaj górą są przeciwnicy 10 milionów, to sprawa wcale nie musi być zamknięta.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 3ac50e40a4



Prezydent Donald Trump składa w Wersalu symboliczny podpis na porozumieniu z Iranem FOT. THE WHITE HOUSE/X.COM

Trumpusowe zwycięstwo



Jacek Przybylski

Przywódcy USA i Iranu elektronicznie podpisali memorandum, którego celem jest ostateczne zakończenie trwającej ponad 100 dni wojny. Bardzo mocno zyskuje na nim Iran. USA wracają w zasadzie do status quo sprzed wybuchu tej bardzo kosztownej wojny. A Izrael? Izrael ani myśli przestrzegać warunków porozumienia i kontynuuje krwawe ataki na Liban

Środa 17 czerwca. Wystawna kolacja amerykańskiego przywódcy Donalda Trumpa oraz prezydenta Francji Emmanuela Macrona w podparyskim Wersalu. Do zastawionego stołu szef dyplomacji USA Marco Rubio przynosi dokument, na którym prezydent Trump składa symboliczny podpis. To właśnie w Wersalu podpisano uroczyście traktat kończący pierwszą wojnę światową.

– Brawo, świetna robota! – komplementuje Trumpa francuski przywódca.

To oczywiście tylko geopolityczny teatr. Treść tzw. memorandum o porozumieniu (MOU), mającego doprowadzić do zakończenia wojny USA i Izraela z Iranem, była już bowiem wówczas formalnie zaakceptowana. Trump podpisał ten dokument elektronicznie. Cyfrowy podpis pod memorandum złożył również prezydent Iranu Masud Pezeszkian. Zawarcie porozumienia oficjalnie potwierdziły zaś potem władze USA i Iranu.

W piątek negocjatorzy obu państw mieli spotkać się w Szwajcarii, by dyskutować o szczegółach zakończenia wojny. Planowane rozmowy odwołano jednak w ostatniej chwili. W piątek izraelska armia kolejny raz złamała bowiem warunki porozumienia. Według libańskich mediów w izraelskich nalotach zginęło co najmniej 60 osób. Podobny atak Izrael przeprowadził również w czwartek (szacuje się, że od 2 marca Izraelczycy zabili w Libanie ok. 4 tys. osób). Z powodu izraelskich ataków Iran odwołał lot swojej delegacji do Szwajcarii, a następnie Biały Dom opublikował komunikat, w którym informował, że wiceprezydent USA J.D. Vance zrezygnował z udziału w spotkaniu.

Teoretycznie strony mają 60 dni na uzgodnienie tekstu ostatecznego porozumienia, m.in. w sprawie irańskiego

eprasa.pl 3ac50e40a4

programu nuklearnego, ale prezydent USA oznajmił już, że nie jest to sztywny termin. Na razie nie wiadomo nawet, czy podpisane w ubiegłym tygodniu memorandum przetrwa aż dwa miesiące. Wypowiedzi Donalda Trumpa wskazują bowiem na to, że on sam nie jest do końca przekonany o trwałości zawartego porozumienia. Gospodarz Białego Domu zdążył już publicznie zagrozić „zbombardowaniem Iranu", jeśli kraj ten nie będzie się stosował do zapisów memorandum o porozumieniu. – To niesamowite, co można zrobić bombami – zagroził Trump.

IRAŃCZYCY DUŻO UGRALI

Mimo obaw o możliwy powrót działań wojennych wydaje się, że reżim w Teheranie nie ma powodów, aby łamać zapisy porozumienia. I to nie tylko ze strachu przed tysięczną próbą zastraszenia przez Trumpa. Podpisane MOU jest bowiem dla Irańczyków wyjątkowo korzystne. Dokument zakłada m.in. natychmiastowe zakończenie walk na wszystkich frontach, w tym działań militarnych podejmowanych przez Izrael w Libanie przeciwko Hezbollahowi. Jednocześnie władze obu państw zobowiązały się powstrzymać „od ingerencji w wewnętrzne sprawy drugiej strony". Dla irańskich władz to ważna deklaracja, bo jeszcze w lutym gospodarz Białego Domu publicznie przekonywał, że zmiana reżimu w Iranie byłaby „najlepszym, co mogłoby się wydarzyć". Stany Zjednoczone zobowiązują się również do zniesienia wszelkiego rodzaju sankcji wobec Islamskiej Republiki Iranu, w tym tych, które wynikają z rezolucji Rady Bezpieczeństwa ONZ, rezolucji Rady Gubernatorów Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej (MAEA) oraz „wszystkich jednostronnych sankcji USA".

Dla Iranu – kraju, który dysponuje drugimi co do wielkości potwierdzonymi złożami gazu ziemnego i czwartymi co do wielkości złożami ropy naftowej na świecie – to punkt o ogromnym znaczeniu. Harmonogram znoszenia sankcji ma co prawda zostać uzgodniony dopiero w ramach porozumienia końcowego, ale USA zobowiązały się, że do czasu formalnego zniesienia sankcji „niezwłocznie po podpisaniu MOU" Ministerstwo Skarbu USA ogłosi zwolnienie z sankcji na eksport irańskiej ropy naftowej, produktów naftowych i ich pochodnych oraz wszelkich powiązanych usług, w tym transakcji bankowych, ubezpieczeń, transportu itd.

To jeszcze nie wszystko. Po wdrożeniu niniejszego MOU Stany Zjednoczone zobowiązały się w pełni udostępnić do użytku zamrożone lub ograniczone fundusze i aktywa Islamskiej Republiki Iranu. Trump tłumaczył, że USA musiały się zgodzić na ten postulat, bo inaczej „nikt nie inwestowałby więcej w dolara".

Oprócz tego Stany Zjednoczone zobowiązały się, że wraz z partnerami regionalnymi opracują plan o wartości co najmniej 300 mld dol. na odbudowę i rozwój gospodarczy Islamskiej Republiki Iranu. Mechanizm jego realizacji ma być sfinalizowany jako część porozumienia końcowego w ciągu 60 dni od podpisania MOU.

Wart 300 mld dol. Fundusz Rekonstrukcji i Rozwoju ma być alternatywą dla reparacji wojennych, których domagały się za napaść USA i Izraela władze w Teheranie. W ramach programu będącego formalnie „prywatnym mechanizmem inwestycyjnym" finansowane mają być inwestycje służące modernizacji Iranu. Według Agencji Reutera od firm działających w pięciu regionach świata (m.in. w USA, krajach Zatoki Perskiej, Korei Południowej, Japonii, Singapurze i Malezji) udało się już zebrać na ten cel ponad 150 mld dol. Dla izolowanych z powodu sankcji władz w Iranie otwarcie na bezpośrednie inwestycje zagraniczne to szansa na ostry wzrost tempa rozwoju gospodarczego.

Co w zamian za tak wyraźne ustępstwa Amerykanów zrobić muszą Irańczycy? Islamska Republika Iranu potwierdziła, że nie będzie pozyskiwać ani rozwijać broni jądrowej. Losy już zgromadzonego materiału są obecnie przedmiotem negocjacji. Irańczycy zobowiązali się też przywrócić ruch statków w cieśninie Ormuz – zgodnie z MOU przez 60 dni statki będą mogły tędy przepływać bezpłatnie. W porozumieniu znalazł się jednak zapis, który jednoznacznie można interpretować jako zapowiedź wprowadzenia opłat. Formalnie nie byłyby to opłaty tranzytowe (takowe byłyby nielegalne z punktu widzenia prawa międzynarodowego), lecz opłaty za ochronę środowiska i inne usługi świadczone przez kraje w obrębie wód terytorialnych cieśniny Ormuz.

Reżim w Teheranie wywalczył więc nie tylko powrót do status quo sprzed wybuchu wojny, lecz także wyszedł z tego konfliktu istotnie wzmocniony. Wprawdzie w pierwszych dniach wojny siły izraelskie i amerykańskie zabiły wielu dotychczasowych przywódców, ale ostatecznie Persowie mogą świętować jedno z największych zwycięstw w swej nowożytnej historii. „Każdy Irańczyk w każdym zakątku świata jest obecnie dumny ze swojej irańskiej tożsamości" – tak porozumienie skomentował były irański prezydent. Hassan Rouhani podkreślił na X, że irańskie siły zbrojne „pozostawiły wroga z gorzkim żalem porażki militarnej w sercach".

Z kolei władze w Waszyngtonie w wyniku niezwykle kosztownej wojny – która dodatkowo znacząco naruszyła również stosunki USA z sojusznikami z NATO oraz partnerami Ameryki w regionie Bliskiego Wschodu – nie uzyskały na razie niczego więcej, niż wynikało to z zapisów umowy dotyczącej programu jądrowego, zawartej jeszcze za prezydentury Baracka Obamy (wypowiedzianej przez Donalda Trumpa w 2018 r.). W dużym uproszczeniu umowa JCPOA zakładała, że Iran ograniczy ambicje nuklearne – zachowa prawo wykorzystywania swojego programu jądrowego w celach pokojowych, ale nie będzie prowadzić prac nad bombą atomową, doprowadzi co najmniej do rozcieńczenia wzbogaconego już uranu (chodzi o ok. 440 kg) i zezwoli międzynarodowym inspektorom z Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej na inspekcję swoich obiektów. – Jest mało prawdopodobne, by jakiekolwiek nowe porozumienie znacząco różniło się od pierwotnego porozumienia lub znacząco je poprawiło – oznajmił w połowie czerwca były prezydent Barack Obama.

Podczas konferencji kończącej szczyt G7 Donald Trump tłumaczył, że zawarł porozumienie z Teheranem, aby uniknąć katastrofy gospodarczej, spowodowanej zablokowaniem cieśniny Ormuz.

KRÓTKA EUFORIA NA RYNKACH

Poniedziałek 15 czerwca zapisał się we współczesnej historii gospodarczej jako rekordowo dobry dzień dla najbogatszych ludzi świata. W ciągu zaledwie jednej sesji 500 najbogatszych osób na świecie powiększyło majątki łącznie o 336 mld dol. Aby znaleźć swoje nazwisko choćby na samym końcu Indeksu Miliarderów Bloomberga, trzeba pochwalić się majątkiem wynoszącym co najmniej 7,9 mld dol. Tak wysokiego progu wejścia do tego rankingu jeszcze w historii nie było.

eprasa.pl 3ac50e40a4

Do znaczącej poprawy sytuacji na globalnych rynkach przyczyniły się w dużej mierze właśnie deklaracje geopolityczne dotyczące wojny na Bliskim Wschodzie (choć do szybkiego wzrostu majątków przyczynił się również spektakularny debiut kosmicznej spółki SpaceX Elona Muska). Nie tylko w USA, lecz także niemal w każdym zakątku globu inwestorzy bardzo pozytywnie zareagowali na doniesienia o zawarciu tymczasowego porozumienia między Waszyngtonem a Teheranem w sprawie ponownego otwarcia cieśniny Ormuz. Tą drogą przed wybuchem wojny transportowano mniej więcej jedną piątą światowych dostaw ropy naftowej, a także 30 proc. gazu LNG oraz innych towarów.

Odblokowanie jednego z najważniejszych szlaków komunikacyjnych doprowadziło też do wzrostów kursów akcji na parkietach europejskich, w tym polskim. Kilka dni z rzędu rosły notowania spółek notowanych w ramach Stoxx Europe 600. W górę piął się też niemiecki DAX (i to mimo że nastroje inwestorów psuły kiepskie dane płynące z takich spółek motoryzacyjnych jak Mercedes-Benz, którego akcje tylko w środę straciły ponad 4 proc. wartości). Rósł też londyński FTSE100. Z kolei na Giełdzie Papierów Wartościowych w Warszawie w środę szeroki indeks (WIG) wzrósł do poziomu powyżej 140 000 pkt. To niezwykły rekord. Początkowa wartość Warszawskiego Indeksu Giełdowego wynosiła bowiem w kwietniu 1991 r. zaledwie 1000 pkt.

Geopolityczne uspokojenie znacząco wpłynęło też na notowania surowców. Ceny ropy naftowej w ciągu kilku dni spadły o kilkanaście procent. W środę za baryłkę ropy Brent płacono ok. 77 dol., czyli najmniej od początku marca. Taniała też amerykańska ropa WTI. W USA pierwszy raz od marca cena benzyny spadła poniżej 4 dol. za galon – a to szczególnie ważne przed listopadowymi wyborami połówkowymi do Kongresu. Na giełdowe wzrosty akcji i spadek ceny ropy szybko uwagę zwrócił więc w środę prezydent USA. „Ci głupcy, którzy myślą, że nie byłem wystarczająco twardy wobec Iranu, gdy giełda właśnie osiągnęła rekordowy poziom, a ceny ropy gwałtownie spadają, są albo zazdrośni, albo źli, albo po prostu głupi" – napisał Donald Trump w należącym do niego serwisie społecznościowym Truth Social. Również europejscy politycy – choć w dużej mierze odsunięci od jakiegokolwiek udziału w negocjacjach – odetchnęli z ulgą, bo droga ropa przekładała się na coraz wyższe tempo wzrostu cen i rosnące niezadowolenie społeczne.

Pokojowe plany władz w Teheranie i Waszyngtonie próbuje pokrzyżować rząd w Tel Awiwie

Analitycy ostrzegali jednak, że od otwarcia cieśniny Ormuz do pełnej normalizacji dostaw surowców minąć może wiele tygodni. Prawdopodobnie wzrosną również ceny, ponieważ ubezpieczyciele żądają wyższych stawek za ochronę ładunków, a marynarze – z których wielu od tygodni nie mogło wrócić do domu – podwyżek i lepszych warunków pracy. Te ostrzeżenia są jeszcze bardziej aktualne po nowych atakach Izraela na Liban. Spowodowały one, że ceny ropy nieco odbiły. Gdy zamykaliśmy ten numer „Do Rzeczy", baryłka kosztowała na giełdach ok. 80 dol.

IZRAEL: CAŁY LIBAN MUSI PŁONĄĆ

Podczas gdy niemal na całym świecie inwestorzy patrzyli na to, jak szybko rosły ich majątki, ceny akcji spółek notowanych w Tel Awiwie traciły w poniedziałek, we wtorek i w środę. Porozumienie między Stanami Zjednoczonymi a Iranem, dotyczące zawieszenia broni, uwidoczniło bowiem coraz większy rozdźwięk między interesem Waszyngtonu i Tel Awiwu.

I chociaż według Donalda Trumpa drugi etap negocjacji powinien być łatwiejszy niż zakończona ramowym porozumieniem pierwsza runda rozmów, to pokojowe plany Iranu i USA może pokrzyżować Izrael. Władze w Tel Awiwie wielokrotnie próbowały w ubiegłym tygodniu zniweczyć wysiłki pokojowe Trumpa. Prezydent Stanów Zjednoczonych podczas konferencji prasowej na szczycie G7 we francuskim Évian-les-Bains publicznie skrytykował więc premiera Izraela Beniamina Netanjahu za prowadzone w Libanie nielegalne działania wojskowe. – Mamy mały spór dotyczący Libanu. Mówię: „Możesz działać trochę delikatniej, Bibi. Nie musisz burzyć budynku za każdym razem, gdy wejdzie do niego ktoś związany z Hezbollahem" – tłumaczył reporterom amerykański prezydent. – Nie mówię, że nie powinni się bronić. Mówię, że kiedy dwa drony zostają zestrzelone nad pustynią i spadają nieszkodliwie, nie trzeba burzyć budynków w Bejrucie. Mogliby zachowywać się lepiej i, szczerze mówiąc, mogliby wykonywać lepszą pracę – oznajmił Trump, krytykując ataki Izraela na cywili w Bejrucie.

Władze w Tel Awiwie nie przejmują się krytyką ze strony USA i kontynuują akcje w Libanie. Izraelscy politycy nie zamierzają też zakończyć nielegalnej okupacji południowego Libanu ani operacji lotniczych na terenie całego kraju. „Obowiązek wymaga, abyśmy uderzali wszędzie w Libanie, przez całą dobę, z maksymalną siłą i bez zachowania zasady proporcjonalności" – przekonywał deputowany do parlamentu Moshe Saada z rządzącej partii Likud, cytowany przez stację telewizyjną Al-Dżazira. Izrael będzie więc prawdopodobnie rozważał możliwości sabotażu podpisanego przez USA i Iran memorandum. Tel Awiw próbował to zrobić jeszcze przed ostatecznym zawarciem porozumienia, przeprowadzając atak na przedmieścia Bejrutu i psując humor Trumpowi w jego 80. urodziny. Jak tłumaczyli, musieli uderzyć, bo dostrzegli agenta Hezbollahu. Gdy podczas nielegalnej operacji Izraela w Libanie zginęło czterech izraelskich żołnierzy, Izrael zapowiedział krwawą odpowiedź. „Za każdą łzę izraelskiej matki tysiąc matek w Libanie musi zapłakać. Cały Liban musi płonąć!" – oznajmił minister bezpieczeństwa narodowego Izraela Itamar Ben-Gwir na X, jawnie lekceważąc zalecenia Trumpa.

Jednocześnie izraelskie władze uderzają w unijnych polityków. Szef izraelskiej dyplomacji Gideon Sa'ar ogłosił w ubiegłym tygodniu, że zrywa wszelkie kontakty z wysoką przedstawiciel UE do spraw zagranicznych i polityki bezpieczeństwa Kają Kallas, która podczas rozmów w Meksyku miała porównać Izrael do RPA z czasów apartheidu.

Zjednoczone Emiraty Arabskie ogłosiły więc już, że planują do zera zredukować zależność od eksportu ropy przez cieśninę Ormuz. W tym celu rozbudują istniejące już porty na wybrzeżu Zatoki Omańskiej i wybudują na nim co najmniej jeden nowy port. Oprócz tego – jak informował Bloomberg – władze ZEA zamierzają rozbudowywać rurociągi, a także sieci kolejowe. Trudno bowiem wierzyć w trwały pokój na Bliskim Wschodzie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 3ac50e40a4



PROSTO ZYGZAKIEM

Wielka armia. Emerytów

PIOTR GABRYEL

Jak wiadomo, polscy politycy widzą polską armię jako wielką, a nawet ogromną; ba – „największą w Europie" – liczącą najlepiej co najmniej pół miliona żołnierzy.

Ta „oczekiwana" liczebność polskiej armii w wysokości 500 tys. żołnierzy – 300 tys. zawodowych plus 200 tys. terytorialsów i rezerwistów – ogłoszona za rządów PiS i obowiązująca za rządów Platformy/Koalicji i PSL, ma się spełnić do roku 2039, czyli za nie dalej niż 13 lat.

Właśnie – spełnić się – tak, jak spełniają się cuda, bo przecież rząd nie prowadzi w tym kierunku specjalnie wielu działań. Ma się spełnić pewnie tak samo, jak ten zapowiedziany w 2016 r. przez premiera Morawieckiego cud o milionie aut na baterie na polskich drogach w 2025 r., kiedy to finalnie było ich u nas… ok. 130 tys. Czyli w 2039 r. będziemy mieli nie 500 tys. i nawet nie 400 tys., ale może 300 tys. żołnierzy. Pod warunkiem że dopisze nam szczęście.

Skąd bowiem wziąć tych 500 tys. polskich żołnierzy (polskich, a nie migrantów z Ukrainy, Uzbekistanu czy Indii, którymi łatamy nasz pustoszejący rynek pracy), jeśli dziś mamy ich w sumie niewiele więcej niż wojskowych emerytów, których mamy już w Polsce ponad 112 tys.?

Albowiem po obliczonym wyłącznie pod publiczkę skasowaniu w Polsce w 2009 r. przez rząd Platformy i PSL poboru do wojska – rzecz jasna w celu „zbudowania silnej armii zawodowej", po 17 długich latach (w tym od 2022 r. w obliczu wojny szalejącej po sąsiedzku) „budowania" owej „wielkiej armii" – najpierw przez rząd Platformy i PSL, potem przez rząd PiS, a teraz znów przez rząd Platformy/Koalicji i PSL – czyli po 17 latach napinania się, udało się wszystkim tym razem wziętym rządom stworzyć armię, która liczy (w przybliżeniu, zaokrąglając „w górę") 162 tys. żołnierzy zawodowych plus 38 tys. żołnierzy WOT, plus 17 tys. żołnierzy dobrowolnej zasadniczej służby wojskowej. Czyli liczy niecałe dwa razy więcej niż owa licząca ponad 112 tys. armia polskich wojskowych emerytów. I to w sytuacji, gdy podobno zagrażająca nam Rosja ma pod bronią – według Global Firepower – 1,3 mln żołnierzy, a podobno niezagrażająca nam Ukraina – też według GF – 900 tys. żołnierzy. Plus liczone w milionach zasoby rezerwistów.

A rząd Polski nie tylko nawet nie myśli (ze strachu przed wyborcami) o przywróceniu poboru do wojska i tworzeniu silnej armii rezerwowej, lecz także – przeciwnie – dalej rozbudowuje wojskowe przywileje emerytalne, które wkrótce kolejnej grupie żołnierzy pozwolą odchodzić na emerytury nie po 25, a po 15 latach służby. Czyli rząd dalej rozbudowuje polską armię… emerytów wojskowych. ©℗



NOTATNIK MALKONTENTA

Izrael – niszczyciel dobrej zabawy

ŁUKASZ WARZECHA

Z porozumienia, które podpisały Stany Zjednoczone z Iranem, cieszą się prawie wszyscy. Cieszy się Donald Trump, który wyjaśnił, że do jego podpisania skłoniła go giełda, pozytywnie reagująca na negocjacje. A przecież już za kilka miesięcy odbędą się połówkowe wybory do Kongresu, w których trwająca wojna na Bliskim Wschodzie mogłaby republikanom bardzo zaszkodzić. Cieszą się zmęczoni wojną Iran i irański reżim, któremu porozumienie pozwoli na stabilizację, sprzedaż ropy bez graniczeń oraz w perspektywie dostęp do funduszu odbudowy o wielkości aż 300 mld dol. No i wygasi groźbę wewnętrznej rewolty (w tym sensie mamy swego rodzaju powtórkę ze scenariusza wenezuelskiego). Cieszą się liderzy, którzy spotkali się z Trumpem w ubiegłym tygodniu w Evian we Francji na szczycie G7, dla których spadek cen surowców (ropa Brent pierwszy raz od miesięcy stabilizuje się na poziomie poniżej 80 dol. za baryłkę) to ogromna ulga polityczna. Powinniśmy się cieszyć również w Polsce, bo porozumienie – jeżeli się utrzyma, a jego detale mają być dogrywane w ciągu najbliższych dwóch miesięcy – pozwoliłoby wreszcie zakończyć ogromnie kosztowny program CPN, ustalający odgórnie pułap cenowy dla paliw.

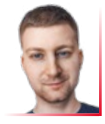
Jest jednak jeden niszczyciel dobrej zabawy, który zgrzyta zębami: Izrael. Dla Tel Awiwu amerykańsko-irańskie porozumienie to w dużej mierze katastrofa, nawet nie dlatego, że niezrealizowany pozostanie plan ostatecznego pognębienia odwiecznego wroga Izraela, którym jest Iran. Przede wszystkim dlatego, że Waszyngton podjął decyzję sprzeczną z interesami Izraela, tym samym pokazując, że dla Trumpa ważniejsze są jego wewnętrzne względy polityczne oraz amerykańska gospodarka niż komfort bliskowschodniego sprzymierzeńca.

Dlatego to Izrael pozostaje najbardziej wątpliwym i ryzykownym czynnikiem. Można sobie wyobrazić, że Beniamin Netanjahu spróbuje jakiejś prowokacji, która będzie mieć na celu wywrócenie porozumienia – zakładając zapewne, że USA i tak musiałyby w końcu Izrael poprzeć. Chyba że tym razem Trump za kulisami dobrze się zabezpieczył przed takim rozwojem wypadków i trzyma Netanjahu w żelaznym uścisku. Miejmy nadzieję, bo jednak słabo to wyglądało, gdy ogon kręcił psem. ©℗

eprasa.pl 3ac50e40a4



Uwolnić Argentynę od „kasty”



Grzegorz Grzymowicz

Według Javiera Mileia cała współczesna historia ludzkości wykazała korzyści gospodarki wolnorynkowej i rządów prawa w postaci gwarancji dobrobytu. Państwowy interwencjonizm napędza z kolei błędne koło zaburzających rynek regulacji i prowadzi do utraty wolności. Nie oznacza to jednak, że polityk argentyński – jak wmawiają mu jego oponenci – nawołuje do „prywatyzacji państwa”

W październiku 2025 r. partia La Libertad Avanza zwyciężyła w cząstkowych wyborach do parlamentu. Otworzyło to perspektywę szerszej realizacji programu Javiera Mileia zmierzającego do transformacji systemu socjalistycznego w kapitalistyczny, rozpoczętej w grudniu 2023 r., po wygranych przez niego wyborach prezydenckich. W Argentynie głowa państwa jest jednocześnie szefem rządu, więc Milei częściowo może deregulować gospodarkę dekretami, jednak by prze-

eprasa.pl 3ac50e40a4



Prezydent Argentyny Javier Milei (w środku) nie poprzestaje tylko na bataliach w dziedzinie ekonomii

FOT. TOMAS CUESTA/REUTERS/FORUM

głosowywać ustawy, jego partia musi się dogadywać z innymi. Po ubiegłorocznych wyborach tworzy największy klub parlamentarny – choć bez większości – a opozycja w Kongresie nie dysponuje już wystarczającą liczbą mandatów, by odrzucać prezydenckie weto.

Przypomnijmy, że pod wieloletnimi rządami socjalistycznymi Argentyna z jednego z najbogatszych krajów świata (w latach 1895–1896 najwyższe PKB per capita) zmieniła się w jeden z najbiedniejszych, pogrążonych w nieustannym kryzysie. Dla zobrazowania: pod koniec rządów prezydenta Raúla Alfonsína (przypadły na lata 1983–1989) skumulowana inflacja z tego okresu wyniosła 664 tys. proc. Nic dziwnego, że brakowało nawet prądu. Z kolei w końcówce prezydentury Alberta Fernándeza w 2023 r. Argentyna miała roczną inflację przekraczającą 200 proc. – najwyższą na świecie. Ponad 50 proc. obywateli żyło w biedzie, 10 proc. w skrajnej nędzy, a 60 proc. dzieci jadło tylko jeden posiłek dziennie.



NICOLÁS MÁRQUEZ, MARCELO DUCLOS „MILEI. REWOLUCJA, KTÓREJ ELITY POLITYCZNE SIĘ NIE SPODZIEWAŁY" FREEDOM PUBLISHING 2025

Sytuacja w Argentynie sprzyjała zatem daleko idącej zmianie, przy czym był to tylko jeden z wielu istotnych czynników odgrywających rolę w wygraniu wyborów przez ekscentrycznego propagatora wolnorynkowego kapitalizmu, zwanego „El Loco" („Szaleniec"). O tym, jak wyglądała droga Javiera Mileia do władzy, interesująco piszą w książce „Milei. Rewolucja, której elity polityczne się nie spodziewały" Nicolás Márquez i Marcelo Duclos. Autor przedmowy, Agustín Laje, konstatuje, że oczywiście jest to postać nietuzinkowa, charyzmatyczna, sprawna w social mediach, umiejąca komunikować się z masami, doskonale przygotowana merytorycznie w swojej dziedzinie – ekonomii, a także zdeterminowana do realizacji programu, ale kluczem do zrozumienia jej fenomenu jest pojęcie „walki kulturowej" z lewicą. Milei określa tym sformułowaniem walkę z socjalizmem, a szerzej rzecz biorąc – z kolektywizmem i wokeizmem. Uważa on, że kraju tak dalece pogrążonego w państwowym interwencjonizmie nie da się wydobyć z zapaści i uczynić znów bogatym wyłącznie poprzez uzdrowienie gospodarki. Ta jest bowiem współcześnie zbyt silnie powiązana nie tylko z polityką, lecz także z szeroko rozumianą kulturą.

DOKTRYNA MINARCHIZMU

Zwróćmy jednak najpierw uwagę na doktrynę ekonomiczną. Milei nie forsuje ani nie postuluje likwidacji państwa i zastąpienia go jakąś inną formułą organizacyjną, jak imputują mu niekiedy mainstreamowe media, zwykle niechętne niebezpiecznym z ich punktu widzenia politykom chcącym ostro ciąć wydatki. Chociaż ideowo rzeczywiście jest anarchokapitalistą, to jako polityk praktyk realizuje doktrynę minarchizmu – państwa minimum. Także wcześniej, jako komentator gospodarczy, felietonista, członek Kongresu, nie nawoływał do całkowitej „prywatyzacji" państwa, lecz do tego, by przywrócić porzucony przez Argentynę model wolności. Jako prezydent w pierwszej kolejności dąży do likwidacji socjalizmu, twierdząc, że jest to podstawowy warunek, żeby w ogóle myśleć o państwie długofalowo funkcjonującym nie w biedzie, a w dobrobycie. Milei wielokrotnie wskazywał, że cała współczesna historia ludzkości wykazała korzyści gospodarki wolnorynkowej i rządów prawa w postaci gwarancji dobrobytu. Państwowy interwencjonizm napędza z kolei błędne koło zaburzających rynek regulacji i prowadzi do utraty wolności. W skrajnej sytuacji centralne planowanie gospodarki nieuchronnie powoduje katastrofę.

Na Forum w Davos w 2024 r. Milei podkreślił: „Socjalizm jest zawsze i wszędzie zjawiskiem zubażającym, które zakończyło się niepowodzeniem we wszystkich krajach, w których próbowano go wprowadzić". Aby dowieść skuteczności kapitalizmu rynkowego, Milei nakreślił wówczas historię postępu ekonomicznego na podstawie danych o światowym PKB. O ile od roku 0 do roku ok. 1800 globalne PKB per capita niemal stało w miejscu (0,02 proc. rocznie), o tyle od 1800 r. zaczęło ono wyraźnie przyśpieszać. W przedziale od 1900 do 1950 r. tempo wzrostu przyśpieszyło do 1,36 proc. rocznie. W latach 1950–2000 roczna stopa wzrostu wynosiła 2,1 proc. Wreszcie w okresie 2000–2023 sięga średnio 3 proc. Żeby zrozumieć, jakiej skali eksplozję dobrobytu spowodował kapitalizm – kontynuował Milei – warto sobie uświadomić, że w 1800 r. 95 proc. światowej populacji żyło w skrajnym ubóstwie, a w roku 2024 odsetek ten wynosił jedynie 5 proc.

Punktem wyjścia doktryny realizowanej przez Mileia jest definicja liberalizmu Alberta Benegasa Lyncha Jr., którą przywołuje w każdym swoim publicznym

eprasa.pl 3ac50e40a4

wystąpieniu. „Liberalizm to nieograniczony szacunek dla projektów życiowych innych ludzi, oparty na zasadzie nieagresji i obronie prawa do życia, wolności i własności; jego podstawowymi instytucjami są własność prywatna, rynki wolne od interwencji państwa, wolna konkurencja, podział pracy i społeczna współpraca”. Widzimy, że jest to bardzo jasna i konkretna formuła stawiająca w centrum cywilizacji wolność i nieagresję. Przeciwnie Milei postrzega aparaturę pojęciową socjalizmu. Uważa za bełkot konstrukty typu „wolność ludu” czy „sprawiedliwość społeczna”. W kapitalizmie „lud” współtworzą wolne jednostki, więc abstrakcyjna „wolność ludu” nie jest do niczego potrzebna. Podobnie nie ma czegoś takiego jak „sprawiedliwość społeczna” – jest sprawiedliwość. Owe kolektywistyczne oksymorony mają w ocenie Mileia stanowić zasłonę dymną pozorującą pod wzniosłymi hasłami uzasadnienie ucisku nieuprzywilejowanej części społeczeństwa przez uprzywilejowaną w oparciu o aparat polityczno-biurokratyczny.

UPRZYWILEJOWANA „ELITA”

Milei od początku swojej politycznej aktywności komunikuje, że w Argentynie trzeba odsunąć od wpływu na państwo „kastę”. Prezydent Argentyny określa tak uprzywilejowany establishment polityczny, biznesowy, administracyjny, związkowy i medialny żyjący z budżetu państwa kosztem obywateli. Przybrało to tam wymiary trudne do wyobrażenia nawet w Polsce. W momencie, w którym Milei obejmuje urząd prezydenta, cały system, na każdym szczeblu społecznym, bazuje na uprzywilejowaniu jednych kosztem innych. Poniżej żyjącej w luksusie wąskiej grupy pasożytów – jak określa ich libertariański ekonomista – są liczni pracownicy sektora publicznego i urzędnicy cieszący się stabilnością i przyzwoitym standardem życia. Na dole piramidy pasożytami – zwykle wbrew swojej woli – są ci, którzy żyją bez pracy, w niepewności, uzależnieni od społecznej zapewniającej im minimum egzystencji bez większego wysiłku. W chorym systemie wszyscy ci ludzie wykorzystują nieuprzywilejowanych obywateli na każdym szczeblu społecznym. Nie ma równości wobec prawa, a prosta kalkulacja wskazuje, że bardziej opłaca się starać się o wyłuskanie miejsca wśród uprzywilejowanej „elity”, niż by rozwijać się poprzez służenie innym, tak jak jest w gospodarkach rynkowych.

Tymczasem – ku przerażeniu „kasty” – ekipa Mileia stopniowo redukuje wydatki publiczne, powoli obniża podatki, zdejmuje szkodliwe regulacje i zbija inflację, czym wytrąca z jej rąk kolejne narzędzia do systemowego konserwowania jej przywilejów. Z perspektywy Mileia generowanie inflacji to urzędnicza przestępczość. Niebawem ma pojawić się projekt ustawy penalizującej finansowanie wydatków państwa emisją pustego pieniądza. Milei wiele razy wyrażał przekonanie, że nieokiełznane drukowanie pieniędzy szkodzi ogromnej większości ludzi, w istocie stanowiąc tchórzliwą zalegalizowaną grabież, przed którą ofiary nie mają możliwości obrony. Nieliczni mający dostęp korzystają z nowych pieniędzy, a prawie cała reszta, tzw. grupy o stałych dochodach, zmuszona jest później za to wszystko zapłacić.

Do tego dochodzi wszechobecna korupcja nielegalna. Milei wziął się w tym zakresie za rozwiązania systemowe, argumentując, że istota problemu nie leży w braku przyzwoitości poszczególnych polityków i urzędników, lecz w samym istnieniu ogromnej machiny państwowego rozdawnictwa i regulacji, dającej narzędzia do grabieży i generującej w ten sposób korupcję. Mówiąc „po Korwinowemu”, nie chodzi o ciągłe zmienianie świń przy korycie, tylko o likwidację koryta. Polem starcia prezydenta libertarianina z „kastą” jest także państwowe rozdawnictwo. Milei nie podjął próby całkowitej likwidacji socjalu. Ubóstwo w Argentynie jest za duże, by zrobić to, zanim ludzie wejdą na wyższy standard życia dzięki reaktywowanej gospodarce. „Kasta” nie chce jednak wydajnej polityki socjalnej, bo siłą rzeczy mniej środków przepływa przez jej ręce, zanim trafi do właściwych beneficjentów, a to znów uszczupla jej przywileje i kieszenie.

NIE TYLKO GOSPODARKA

Milei został entuzjastycznie przyjęty nie tylko przez libertarian, lecz także przez znaczną część światowej prawicy. Wspomniany konserwatywny komentator polityczny Agustín Laje uważa, że klucz interpretacyjny do tej postaci leży w pojęciu „walki kulturowej”. Z 10 zasad jego rządu ogłoszonych na początku 2025 r. każda w mniejszym lub większym stopniu dotyka tego zagadnienia. Milei wprost wskazuje, że prawica nie może „ciągle być w defensywie” i „wahać się pokonać lewicę w bitwie kulturowej”, ponieważ obrona „wielkiego cywilizacyjnego wyczynu, jakim jest Zachód” to „sprawa sprawiedliwa i szlachetna”. Jeśli „kasta” ma przestać grabić naród, to niezbędne jest wyeliminowanie hegemonii kolektywistycznych ram interpretacyjnych, które dominują nie tylko w mainstreamowych doktrynach i programach politycznych, lecz także w obszarach mediów i szeroko pojętych instytucji.

Systemy i ustroje kolektywistyczne z samej swej natury upolitycznią kulturę, więc Milei rozumuje, że indywidualizm trzeba im przeciwstawić na tym polu i nie można się ograniczać wyłącznie do forsowania liberalizmu w gospodarce. Idee wolności muszą być obecne we wszystkich obszarach zaangażowanych w systematyczną komunikację. Skoro socjalizm jest pod różnymi nazwami promowany w mediach, literaturze, filmach, a nawet w szkołach, na uniwersytetach czy w kościołach i skoro – choć minarchiści tego nie chcieli – obszary niegdyś uważane za domenę kultury, takie jak historia, rodzina, płciowość, religia, pochodzenie etniczne, moralność czy estetyka, zostały upolitycznione, to nie można po prostu ustąpić i zadowolić się wyłącznie ewentualnym naprawieniem gospodarki. Nawet jeśli się to uda, to bez oczyszczenia umysłów z mentalności kolektywistycznej socjaliści wrócą. Udowodniła to historia tak wielu krajów, boleśnie przekonała się o tym m.in. właśnie Argentyna.

Walka kulturowa między ideami wolności a ideami kolektywizmu siłą rzeczy jest nierówna. Podczas gdy liberałowie nie tolerują żadnej formy cenzury i korzystania z pieniędzy podatników do propagowania jakiegokolwiek stanowiska polityczno-ideologicznego, promotorzy wszelkiej maści socjalizmów używają zasobów państwa, by finansować i forsować własne cele kosztem światopoglądowej konkurencji.

Rząd Mileia musi zatem obnażać prawdziwe mechanizmy funkcjonowania państwa kolektywistycznego przed społeczeństwem i wykazać wyższość wolnorynkowego kapitalizmu w praktyce. Trwałość przedsięwzięcia będzie jednak zależała od naprawienia sektorów edukacji i kultury.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 3ac50e40a4



FOT. JAP

ISUZU D-MAX MY26

Lato już w pełni (to kalendarzowe również), więc warto przesiąść się na pick-upy, aby móc bez strachu pobawić się w trudniejszym terenie.

W tej roli dobrze sprawdza się odświeżone Isuzu D-Max. Jeden z cenionych na rynku japońskich pick-upów zyskał unowocześniony grill, nowe felgi, przeprojektowane klosze reflektorów i – przede wszystkim – nową jednostkę Diesla o pojemności 2.2 l. Ma ona moc 163 KM, a maksymalny moment obrotowy wynosi aż 400 Nm. Istotnie poprawiony silnik współpracuje z nową automatyczną skrzynią biegów 8AT. Efekt: dynamiczna jazda, kulturalna praca jednostki (jest zaskakująco cicha) oraz niższe spalanie zgodne z najnowszymi unijnymi normami emisji (podczas testu w mieście, na trasie krajowej, ekspresówkach, autostradach wyniosło średnio 8,8 l/100 km).

Po wejściu do wnętrza nikt już chyba nie pomyśli, że pick-up to po prostu wół roboczy. Fotele są wygodne i świetnie wyprofilowane, niczym w nowoczesnym SUV-ie średniej klasy. Konstruktorzy zastosowali materiały dużo wyższej jakości niż w przypadku tradycyjnych aut użytkowych. D-Max MY26 bez zacięć współpracuje również z Android Auto czy Apple CarPlay. Wół roboczy zyskał dzięki temu nie tylko mapy, lecz także opcję odtwarzania muzyki ze streamingu.

D-Max ma też pięć gwiazdek w testach zderzeniowych oraz nowoczesne systemy zwiększające bezpieczeństwo, w tym np. system ostrzegania o ruchu poprzecznym, monitorowanie martwego pola, wykrywanie rozproszenia kierowcy czy system ograniczający skutki kolizji czołowych z funkcją automatycznego hamowania awaryjnego (akurat ten ostatni bywa czasem zbyt opiekuńczy).

Taki pick-up służyć może np. do przygód w terenie (sprzyjają im takie parametry jak prześwit pod tylnym mostem wynoszący 240 mm, 800 mm głębokości brodzenia, kąt natarcia 30,5 stopnia, kąt zejścia 24,2 stopnia oraz kąt rampowy 22,9 stopnia czy blokada mechanizmu różnicowego tylnej osi). To również auto, którym można holować przyczepę o masie do 3,5 tony (można więc zabrać łódkę nad morze lub jezioro, ewentualnie można też tym pick-upem holować na przyczepie minikoparkę).

Wynosząca ponad 1,1 tony ładowność i duża przestrzeń na skrzyni ładunkowej przydać się mogą bowiem również np. do letniej rewolucji w ogrodzie. D-Maxem przywieźć można ze szkółki nowe drzewko (albo i dwa jednocześnie), załadować kilkadziesiąt worków z korą lub zastawić całą pakę lawendą, szałwią czy innymi trawami. My testowaliśmy tego pick-upa w jego najpopularniejszej odmianie, a więc z podwójną kabiną. Wówczas skrzynia ładunkowa ma 157,1 cm długości, 153 cm szerokości i 49 cm wysokości. Są też wersje z kabiną pojedynczą lub kabiną wydłużoną (w wersji z kabiną pojedynczą skrzynia ma aż 233 cm długości).

Ceny D-Maxa MY26 rozpoczynają się od 157,4 tys. zł brutto za wersję z kabiną pojedynczą. Odświeżony D-Max z kabiną podwójną kosztuje 189,3 tys. zł, a w odmianie z podwójną kabiną w wersji LSE trzeba za niego zapłacić 220,1 tys. zł.

BEYERDYNAMIC AMIRON 200

Lekka konstrukcja, ergonomiczne zaczepy za uszy, wysoki komfort użytkowania, bardzo dobra bateria, etui z bezprzewodowym ładowaniem oraz zaskakująco dobre brzmienie – to największe zalety bezprzewodowych słuchawek dla aktywnych niemieckiej marki Beyerdynamic.

Świetnie wykonane i lekkie słuchawki (każda waży zaledwie 10,2 g) zakłada się za uszy. Dzięki elastycznym zaczepom można dobrze dopasować ich położenie, aby dźwięk kierowany był wprost w stronę kanału słuchowego. Jednocześnie nie ma ryzyka, że podczas gwałtownych ruchów głową słuchawki nagle spadną. Otwarta konstrukcja sprawia z kolei, że nie traci się kontaktu z otoczeniem – ta cecha zwiększa bezpieczeństwo użytkowania. Można spokojnie słuchać muzyki podczas joggingu wzdłuż ruchliwych ulic, jazdy rowerem po mieście etc.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



Ergonomiczna konstrukcja Amiron 200 zapewnia wysoki komfort użytkowania (również dla osób noszących okulary, a nawet dla osób, które noszą jednocześnie okulary oraz kask). Z założenia nie jest to jednak model dla osób, które szukają najlepszego odcięcia od szumów i hałasów z zewnętrznego świata (w tej roli lepiej sprawdzi się model Amiron 300).

Samo parowanie ze smartfonem przebiega szybko, a połączenie pozostaje stabilne podczas wielogodzinnych sesji. A co z brzmieniem? Jak na niewielkie słuchawki z otwartą konstrukcją i przeznaczeniem dla sportowców, testowany model zaskakuje stosunkowo wysoką jakością brzmienia, które wydaje się bardziej naturalne niż w przypadku konstrukcji kostnych. Scena dźwiękowa jest szeroka i przestrzenna, a charakterystyka brzmienia zrównoważona: bas jest mocny i energiczny, ale nie zagłusza średnich tonów. Niektóre partie wokalne słychać zaś tak dobrze, jakby piosenkarka stała tuż przed nami. Świetna jest również jakość dźwięku podczas rozmów telefonicznych.

Ogromnym plusem testowanego modelu jest też bateria. Słuchawki z etui (pełniącym funkcję powerbanka) zapewniają energię nawet na 36 godzin pracy z dala od biurka. A gdy nie ma czasu na ładowanie, wystarczy podpiąć słuchawki w etui do prądu na pięć minut, aby energii wystarczyło na półtorej godziny słuchania muzyki.

Minusy? Klasa odporności na zachlapanie i pył (IP54) pozwala co prawda na intensywny trening w lekkim deszczu, ale niektórzy konkurenci mogą się pochwalić klasą IP67. W czytelnej i prostej w obsłudze aplikacji brakuje możliwości wyboru języka polskiego.

Cena: 779 zł.

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **JACEK PRZYBYLSKI**

eprasa.pl 3ac50e40a4



MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK
I ANNA POPEK Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Zanim minie lato

Dzisiaj zaproponujemy państwu danie obowiązkowe w sezonie truskawkowym, czyli knedle z truskawkami. Obficie polane palonym masłem z dodatkiem podprażonej bułki tartej lub w wersji bardziej ekskluzywnej – z sosem waniliowym – mogą być one zarówno sycącym daniem, jak i wyśmienitym deserem. Zazwyczaj przygotowujemy je ze sporym zapasem, bo nikt nie wyobraża sobie odmowy takiego rarytasu, a złoty umiar ulatuje gdzieś hen, pod niebieskie, czerwcowe niebo. Ot, takie są rozkosze lata... Później, gdy lato minie, we wrześniu zrobimy jeszcze knedle ze śliwkami, bo one też zasługują na własne miejsce w kalendarzu dań.

A skąd właściwie knedle na naszym stole? Przysmak ten wywodzi się z tradycji austriackiej i niemieckiej – generalnie z krajów niemieckojęzycznych. Niegdyś podstawą ciasta na knedle była kasza, a do środka wkładano suszone owoce. Dlatego w niektórych przepisach możemy spotkać dodatek kaszy manny. Był to przysmak ludzi z niższych sfer – na stołach zamożnych domów pojawiały się, ale z mięsnym nadzieniem. My lubimy knedle z truskawkami, bo w okresie letnim nieco ograniczamy jedzenie mięsa.

Sekretem idealnych knedli jest oczywiście ciasto, które z kolei wymaga właściwej odmiany ziemniaków. Zależy nam na tym, aby w cieście mąki było jak najmniej, dlatego do przygotowania knedli wybieramy ziemniaki mączyste, czyli takie, które mają najwięcej skrobi ziemniaczanej. Dodajemy mąkę pszenną z dodatkiem mąki ziemniaczanej w ilości ok. jednej–dwóch łyżek, dzięki temu ciasto będzie delikatne i sprężyste. Najważniejsze, aby ciasto robić z zimnych ziemniaków przeciśniętych przez praskę. Ciepłe ziemniaki pochłoną dużą ilość mąki, przez co ciasto będzie bardziej zwarte i twarde. Przygotowane knedle gotujemy w osolonej wodzie – po wypłynięciu na powierzchnię przez ok. dwie–trzy minuty.

Knedle z truskawkami

• 500 g ziemniaków • 2 jajka średnie • sól • 250 g mąki pszennej • 1–2 g łyżki mąki ziemniaczanej lub kaszy manny • 400 g truskawek • świeża mięta • masło • miód lub cukier • bułka tarta • cynamon • kwaśna śmietana

Ziemniaki ugotować w osolonej wodzie, przecisnąć przez praskę, ostudzić. Dodać mąkę i jajka. Ciasto wyrobić, rozwałkować, wyciąć okręgi, nałożyć truskawki bez szypułek, posypać cynamonem lub cukrem do środka i uformować kulki. Zagotować wodę z solą do wrzątku, wkładać porcjami knedle i gotować po wypłynięciu ok. dwóch–trzech minut. Bułkę tartą uprażyć na suchej patelni, aż się zarumieni, następnie dodać masło i miód, zamieszać, smażyć ok. jednej–dwóch minut. Wyjąć knedle na talerz i polać roztopionym masłem z miodem oraz podprażoną bułką tartą lub kwaśną śmietaną. Udekorować świeżą miętą. ©℗



FOT. ADOBE STOCK



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Pluskwy

Jest taki rysunek, nie pamiętam autora: do arki Noego stoi długa kolejka zwierząt. Słonie, konie i okonie, ptaki i gady czekają przed wejściem na pokład. Z przodu dwa malutkie robaczki i Noe rzucający pytanie w głąb arki: „Przyszły pluskwy. Co z pluskwami?".

Otóż właśnie: Co z pluskwami? Wydaje się, że nic, bo w naszym ultrahigienicznym, wykąpanym, wyperfumowanym życiu nie ma miejsca na takie rzeczy. Komary, kleszcze – to owszem. Ale takie coś, które już swoją nazwą budzi lęk, coś, co występuje tylko w przerażających opisach wygnańców na Sachalin.

Ja osobiście znam je z obozowych opowiadań nieżyjących już Sybiraków, znajomych rodziców. Poza tym pisze o nich Ola Wattowa, pisze Herling-Grudziński, nawet Dostojewski. Pluskwy były udręką wygnania: brudu, poniewierki stłoczonej ludzkiej ciżby, braku urządzeń sanitarnych. Potem o nich zapomniano na 50 lat.

Ale właśnie ostatnio znajomi wrócili z weekendu na Podlasiu i nocowania w tzw. kwaterze prywatnej. Obudzili się rano pogryzieni przez nocnych napastników. Od razu rzucili się do Internetu dowiedzieć się, co znaczą czerwone punkciki na ciele. Niestety, ich wygląd potwierdził obawy. To były pluskwy.

„Gryzą ludzi podczas snu, żywiąc się krwią. Powodują swędzące ślady po ukąszeniach, często w grupach lub liniach. Szybko rozprzestrzeniają się w mieszkaniach, hotelach i środkach transportu, przez co ich zwalczanie bywa czasochłonne" – podał Google, źródło wszechwiedzy.

„Wyrzucić wszystko, spalić, łącznie z materacem" – zawyrokowała rodzina. Same Bogu ducha winne ofiary nie poddały się panice. Ubrania natychmiast po powrocie wrzucono do pralki na 60 stopni. Ale i tak news wzbudził przerażenie i natychmiast na forum rodzinnym wywiązała się dyskusja wywołana przerażającym tematem.

„Jeśli byli ostrożni, wszystko od razu uprali, to można mieć nadzieję, że nie będzie konieczne wyrzucanie wszystkich materacy, barokowych szaf ani odpalanie bomby na pluskwy" – skomentowała trzeźwo kuzynka, wpuszczając do rozmowy cień nadziei, że jednak życie po spotkaniu z pluskwami będzie możliwe. „Poduszki, kołdry, materace. Który to dzień od powrotu?" – z kolei drążył temat kuzyn. „Przez pierwsze dwa dni jest na ogół wyparcie »a może to pająk?«, a potem trzeba już działać kompleksowo na całe mieszkanie i odpalić bombę na pluskwy, czyli takie dymiące coś" – stwierdził stanowczo.

Minął tydzień od powrotu bohaterów tego zdarzenia z pięknej podlaskiej okolicy. Mają się dobrze, ukąszenia znikły, nowe się nie pojawiły. ©℗

eprasa.pl 3ac50e40a4



PIECZEŃ RZYMSKA

O zamordyzmie

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

Pisałem niedawno o szaleństwie władz Werony, które zdecydowały, że kto chce skorzystać z przestrzeni i budynków publicznych, musi podpisać tzw. klauzulę antyfaszystowską, czyli złożyć oświadczenie, że nie jest faszystą. Teraz przyszła kolej na wydawców. Aby wziąć udział w grudniowym kiermaszu książek „Więcej książek, więcej wolności" dla małych i średnich wydawnictw, muszą oni podpisać deklarację, że wspierają wartości i pryncypia wyrażone w Konstytucji Państwa Włoskiego, Karcie Praw Podstawowych Unii Europejskiej i Deklaracji Praw Człowieka, a równocześnie podzielają wartości antyfaszyzmu.

Na dobrą sprawę kiermasz powinien nazywać się „Mniej książek, więcej wolności". Naturalnie wszystko wpisuje się w prowadzoną przez opozycyjną lewicę i jej intelektualistów nieustanną, obrzydliwą i obsesyjną kampanię polityczną, z której ma wynikać, że pod obecnymi rządami do Italii powraca faszyzm. Premier Giorgia Meloni zdiagnozowała, że włoska lewica w ten sposób pojmuje wolność sumienia: „Jesteś wolny, ale pod warunkiem, że mówisz wyłącznie to, na co ci pozwolimy. Musisz myśleć jak my i czytać tylko to, na co damy placet. To się nazywa cenzura".

Wydawcy protestują, że podsuwanie im tej deklaracji do podpisu jest poniżające. Jeden z nich powiedział: „To trochę tak, jakby mnie zmuszali do zadeklarowania, że nie jestem pedofilem, nie biję żony i nie kradnę". Były wiceprzewodniczący Trybunału Konstytucyjnego, prof. Nicolò Zanon, twierdzi, że deklaracja to sprzeczny z literą ustawy zasadniczej zamordyzm. Znany lewicowy filozof Massimo Cacciari w codziennym programie TV La 7, który nazywa się „W pół do dziewiątej", a powinien „Wszystkiemu, co złe, winna jest Meloni", nazwał deklarację budzącym wstręt skandalem i idiotyzmem. Dodał, że jeśli wydający jego książki Adelphi tę deklarację podpisze, to zerwie współpracę.

Nicola Fratoianni, lider Sojuszu Zielonych i Lewicy, czyli szajbolewicy, podsumował protest Giorgii Meloni krótko: „Teraz Włosi mieli okazję przekonać się, kto nami rządzi – wnukowie i wnuczki Benita Mussoliniego".

Natomiast inna grupa szurniętych intelektualistów (w tym jeden biskup) podpisała petycję do organizatorów lipcowego festiwalu literackiego w Polignano, domagając się wycofania zaproszenia dla znanego izraelskiego pisarza Eszkola Nevo (wnuk premiera), bo choć potępia on izraelski rząd i premiera Netanjahu za działania w Strefie Gazy i Libanie [m.in. na łamach „Corriere della Sera" – dop. P.K.], to nie czyni tego tak ostro, jak powinien. Nowym symbolem włoskiej lewicy staje się knebel. ©℗



DEKAMERONKI

Ekspresowy kurs sąsiedztwa

JERZY KARWELIS

Kiedy Elinie z Kijowa w 2014 r. powiedziałem o rzezi wołyńskiej, to ona nie wiedziała, o co chodzi. Dałem jej link do filmu „Wołyń" i zamilkła na dłuższy czas. Widać obejrzała film i długo się pewnie po tym konsultowała, by zdobyć jakieś pozytywne uzasadnienie dla niewątpliwego szoku, którego doznała. Odezwała się kilka miesięcy później, że z tym Wołyniem to ruska propaganda.

Muszę powiedzieć, że jak się po 2022 r. rozmawiało o tym z Ukraińcami, to oni potwierdzali, że nie bardzo znają temat. Teraz, po czterech latach, okazuje się, że znają na wyprzódki wszystkie zbrodnie hetmana Czarnieckiego, który – jak wiemy – dowodził ludobójczym AK. Wszystkie te oczywistości jakoś nie wybrzmiewały z ich ust na granicy w lutym 2022 r., bo może byśmy się wtedy dowiedzieli, że oprócz pomocy Ukraińcy oczekują od nas co najmniej symetryzmu w traktowaniu naszych i ich bohaterów, jeśli już nie pokajania się za winy. Przyjmuję uprzejmie, że jednak nie wiedzieli o naszych przewinach, za to wiedzą teraz w szczegółach. Oznacza to, że coś się w ciągu tych czterech lat wydarzyło w ich głowach. Ktoś nad tym pracował. Putin? Rząd?

Podobny proces zaszedł i w naszych głowach, tylko że na odwrót. Kwestie wołyńskie czy szeroko pojęte – banderowskie – były bardziej udziałem pamięci rodzin, które to przeżyły. Po czterech latach, a właściwie na dobre od afery z odebraniem (?) Orderu Orła Białego, a więc w tempie ekspresowym, Polacy przeszli szybki kurs wiedzy o banderyzmie, na tyle ekstremalny w rezultatach, że najwidoczniej iskra padła na gotowe już prochy.

Oba narody przeszły więc kurs historii wzajemnych relacji. Z tym że Ukraińcy wyraźnie w świetle działań państwowych, a Polacy – odwrotnie. Polskie państwo wypierało ciemne karty naszych stosunków, a więc jakakolwiek narracja ukrainorealizmu była spychana POPiS-owo na pozycje onucowe. To dlatego gromadził się w społeczeństwie tłamszony, a więc tym bardziej kumulowany zapas prochu niesnasek, wzmacniany jednocześnie polską polityką wywyższania gości o statusie lepszym niż naród goszczący, przy społecznie roszczeniowej i politycznie asertywnej postawie Kijowa. Wyszło, że mamy do czynienia z niewdzięcznikami, którzy teraz w okresie poorderowym jeszcze wylali dodatkowo swoje wszystkie żale – od symetryzmu AK równa się UPA, poprzez fantasmagorie o przedpotopowym jeszcze wkładzie Ukrainy w rozwój cywilizacji, aż po żądania terytorialne z mapką w ręku.

A Putin się chyba cieszy, to to się „samo" zrobiło. A może, jak powiedział na debacie redaktor Parafianowicz, największą onucą jest Zełenski? ©℗

eprasa.pl 3ac50e40a4

SPODE ŁBA

PiS na miłosnych manewrach



DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

Świadkami zaskakującej ceremonii byli ostatnio przechodnie, przemierzający warszawską ulicę Foksal. Grupka radnych PiS, w otoczeniu społeczników i działaczy, złożyła pamiątkowe wieńce i znicze w miejscu zabójstwa przedwojennego ministra spraw wewnętrznych, Bronisława Pierackiego. 15 czerwca upłynęła rocznica zamachu, dokonanego na Pierackim przez ukraińskiego nacjonalistę. Wcześniejszych rocznic tej zbrodni nie upamiętniano równie chętnie.

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA



Podobne „przebudzenia pamięci" stały się udziałem czołowych polityków PiS. Chociaż na ubiegłorocznej ceremonii otwarcia Pomnika Rzeź Wołyńska w Domostawie próżno było szukać oficjeli tej partii, to teraz zapowiadają oni masowe uczestnictwo w obchodach. W czerwcu, przed trzema laty, uczestnicy organizowanego przez intelektualne zaplecze PiS kongresu Polska Wielki Projekt wzruszali się koncertami „przybyłego prosto z frontu" ukraińskiego żołnierza – bandurzysty Tarasa Kompaniczenki. Nagrodzono go prestiżową nagrodą Kongresu – Medalem Odwaga i Wiarygodność. „To jest człowiek, artysta, który sięga do historii, do historii, która jest wspólna dla nas" – zachwalał „barda z karabinem" Bronisław Wildstein. Słowom tym nie sposób odmówić racji – laureat ma w swoim publicznie wykonywanym repertuarze m.in. nieoficjalny hymn UPA – „Zrodyłyś my wełykoji hodyny", nazywaną „upowską kolędą" pieśń „Wstawajte, wstawajte, bratia moji myli" oraz popularny marsz UPA – „Maszyrujut dobrowolci". Czy rywalizujący o honorowe miejsca na uroczystościach w Domostawie politycy PiS nie powinni zaproponować „bardowi z karabinem" muzycznej oprawy tego święta?

Prezes Klubów „Gazety Polskiej", kreowany przez TV Republika na niekwestionowany autorytet „prawdziwych patriotów" Adam Borowski, zapewniał już w 2016 r., że „banderowcy" nie są dla niego problemem. „Wyobrażam sobie czarny scenariusz – jest niepodległa Ukraina, obroniona przed Moskwą. Mamy wyzwolony Ługańsk, Donieck i odebrany Krym. I ta Ukraina staje się – nazwijmy to – banderowska. Dochodzi tam do władzy czarna sotnia, która mówi: »Chcemy Przemyśla«. Ja w ogóle nie wierzę w to, żeby była jasność. Ale mówię, tak, będą tam banderowcy rządzić. Zgłoszą się do Polski: »Oddajcie nam Przemyśl, połowę Chełmszczyzny itd.«. To ja mówię tak, proszę państwa: to mimo wszystko, gdyby ta hipoteza miała się spełnić, to ja od dzisiaj, tak jak do tej pory, wspomagam Ukrainę. Nawet gdyby ta hipoteza miała się spełnić!" – zapowiadał Adam Borowski.

Politycy PiS, a także wspierający ich medialni celebryci głoszą dziś bardzo odmienne poglądy. Nagły zwrot, jakiego dokonuje ich partia, porównać można z zadaniem, które stanęło przed działaczami ruchu komunistycznego po podpisaniu paktu Ribbentrop-Stalin. Opluwanych przez lata faszystów trzeba było, z dnia na dzień, uznać za ugrupowanie przyjazne i sojusznicze. Stronnicy partii Jarosława Kaczyńskiego odbywają tę drogę na wspak – od ślepej miłości do pamiętliwej niechęci.

Poseł Michał Moskal odpowiedzialność za „pewną zmianę" w relacjach z Ukrainą przypisał skłonności polityków PiS do nawiązywania „relacji romantycznych". „Ukraińcy bardzo wyraźnie pokazali, że nie można mieć z nimi relacji, która jest, w jakiś sposób, relacją romantyczną". Poseł przyznał, że wielu polityków PiS „uległo temu romantyzmowi".

„Relacje romantyczne" to pojęcie staromodne, kojarzące się z uczuciowym instrumentarium powieści dla pensjonarek. Są one z natury nieprzewidywalne, osobiste i ulotne – jak szepty zakochanych nad górskim strumykiem. Zdyscyplinowane zastępy ustosunkowanych polityków w poważnym wieku, nawiązujących „relacje romantyczne" z tymi samymi, zawsze chętnymi partnerkami, zwykły czynić to raczej nie w sielankowych ustroniach, trafieni „strzałą Amora", a w lokalach prywatnych, dla niepoznaki nazywanych „publicznymi". „Relacje romantyczne" rozkwitają tam i więdną w sposób zorganizowany, zgodnie z cennikiem i obłożeniem zakładu. Czyżby to do bywalców lub pracownic tych miejsc porównał swoich partyjnych kolegów poseł Moskal? ©℗

eprasa.pl 3ac50e40a4



Z INNEJ PERSPEKTYWY

Kto nas tu wsadził?

WOJCIECH ROSZKOWSKI

W książce „Kwantechizm, czyli klatka na ludzi" fizyk Andrzej Dragan zauważył, że kij ma dwa końce i że nie są one równo oddalone. Oczywiście, że nie są, jeśli nie dodamy „od siebie". Problem w tym, że zawsze potrzebny jest punkt odniesienia. Poruszając się, każdy człowiek zmienia cały system przestrzennych koordynatów wokół siebie i w dodatku robi to w czasie. Wszystko się więc wokół nas skraca lub wydłuża w stosunku do prędkości, z jaką się poruszamy. Bo poruszamy się w czasoprzestrzeni. Brzmi to dziwnie, bo w ogóle tego nie zauważamy. Nie zauważamy, bo poruszamy się dość wolno. Gdyby rozwinąć prędkość powiedzmy 200 tys. km/s, to już można by to wszystko zauważyć. Jeszcze dziwniej by to wszystko wyglądało przy prędkości 300 tys. km/s, największej, jaka występuje w świecie. Nawet trudno powiedzieć, jak by to wyglądało. A my ruszamy się z prędkością kilku lub kilkunastu kilometrów na godzinę. Więc co można zobaczyć? Nawet przy prędkości samolotu ponaddźwiękowego niewiele widać.

Te wszystkie figle czasoprzestrzeni wynikają z obliczeń matematycznych, choć eksperymentalnie zostały potwierdzone, tak jak rozszerzanie się Wszechświata, zaobserwowane przez Edwina Hubble'a, rozpoczęte ok. 14 mld lat temu. Oczywiście lat naszego czasu, ale w kilometrach, ile to będzie? Tyle, ile światło biegnie przez 14 mld naszych lat. Strasznie daleko.

Nie mamy też na ogół świadomości, że w naszym ciele dzieje się bardzo wiele na poziomie niezauważalnym. Oczywiście możemy zauważyć, że boli noga lub żołądek i wiadomo, jak one wyglądają. Lekarz może się zająć okiem lub uchem, bo jego skala jest możliwa do opanowania. Dobry lekarz oczywiście wie, jak dowiedzieć się, co dzieje się z hormonami czy komórkami naszego ciała, i coś nam doradzi. Przy okazji badań nad rakiem rozpracowano już metody leczenia przez wyłączenie rozwoju złych komórek. Rozpracowano już mikrotubule. Zgodnie z tym, co można wyczytać w Internecie, „biorą one udział w transporcie wewnątrzkomórkowym, stanowią szlak, po którym przemieszczają się białka i biorą udział w podziale komórek". Mają one średnicę 20 do 27 nanometrów. Są więc strasznie małe.

Mało tego, fizyk Roger Penrose twierdzi, że cząstki elementarne, z których są one zbudowane, zachowują pamięć, nawet gdy komórka obumiera. No właśnie: cząstki elementarne są jeszcze znacznie mniejsze i postępują ponoć nie wedle reguł świata newtonowskiego, ale wedle zasad prawdopodobieństwa. Są podobno raz tu, raz tam i nie wiadomo, od czego to zależy, bo na dodatek poruszają się strasznie szybko. Gdyby tak stanąć na którejś, to znikłby problem punktu odniesienia. Co wtedy byśmy zobaczyli? Trudno powiedzieć. Jeśli działają tu prawidła teorii prawdopodobieństwa, to może dlatego nasze organizmy, które w końcu są zbudowane z tych cząstek, tak się różnią i tak trudno przewidzieć, jak długo będą żyły. A z drugiej strony, wbrew temu, w co wierzą panteiści, te nasze organizmy nie zamieniają się tam i z powrotem w ten czy tamten byt, tylko są tym, czym są. Różą, dębem, ptakiem, psem lub człowiekiem. Rodzą się i umierają.

Dzisiejsza filozofia zajmuje się głównie językiem. Nie obchodzi jej rzeczywistość. Makroświat jest dziwny, ale mikroświat jeszcze dziwniejszy

Dzisiejsza filozofia zajmuje się głównie językiem. Nie obchodzi jej rzeczywistość. Makroświat jest dziwny, ale mikroświat jeszcze dziwniejszy. Znacznie ważniejszy niż to, jak wyrażamy nasze myśli. Powstaje przecież pytanie, jak to się stało, że my, ludzie, znaleźliśmy się wraz z drzewem pod oknem, Grenlandią, Tasmanią, powierzchnią Księżyca i skromnym doświadczeniem w Układzie Słonecznym w środku tej skali, jakby po to, by móc choć trochę ogarnąć otaczającą nas przestrzeń, a nie zagubić się w czasoprzestrzeni lub w nieprawdopodobieństwie wielkich prędkości. Mało tego: jako ludzie wyróżniamy się bardzo między różnymi bytami. Wiemy, że wszechświat istnieje, podczas gdy on nie wie, że istniejemy. Nie można więc nie zapytać: Kto nas wsadził w to miejsce skali w taki sposób, że nawet nie zauważamy względności czasu i przestrzeni, nie mówiąc o prawdopodobieństwie długości naszego życia? No kto? ©℗

eprasa.pl 3ac50e40a4

ZACHWYCENI



FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOŚNICKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Z okazji mundialu najechało do USA wielu turystów z Europy. Normalnie tu nie przyjeżdżają w takiej liczbie, bo Ameryka ma w Unii Europejskiej złą prasę i nie kojarzy się z kierunkiem wakacyjnym. Kojarzy się ze strzelaninami oraz ludziom wydaje się, że w USA jest drogo. (W USA jest taniej niż w UE, ale o tym mało kto wie). Wolą więc jeździć do Meksyku albo do Grecji, albo gdzieś. Teraz przyjechali, bo mundial i… łał!

W sieci jest wysyp relacji zwyczajnych ludzi z Europy ZACHWYCONYCH Ameryką. To nie jest udawane. Widać, że się zachwycają naprawdę, i to najprostszymi rzeczami.

Oglądałem relacje Niemca, Belga, Szkota, do tego babki z Australii i Angielki. Wszyscy chwalą tak samo entuzjastycznie. Jedna z tych babeczek powiedziała, że urodziła się w złym kraju i chciałaby się urodzić w Ameryce. Są w szoku, jaki to piękny kraj, jak inny od tego, co im się wydawało, jak mili są ludzie i jaki tu jest wysoki poziom cywilizacyjny.

***

Amerykańskie telewizje cytują niektóre z tych vlogów, bo Amerykanów z kolei zadziwia, że Europejczycy tak bardzo zachwyceni są rzeczami zupełnie normalnymi, których my, mieszkający tutaj, nie zauważamy. Facet z Niemiec pokazywał Walmart i mówił, że to jest jak muzeum albo wystawa światowa. Biegał po sklepie i zachwycało go, jaki bogaty jest asortyment, bo on w tych swoich Niemczech ma w dobrym sklepie kilka typów majonezu, ale w USA są dziesiątki typów, rodzajów i odmian. Pokazywał też kiełbasę i ogólnie chciał kupić wszystko.

Walmart to sklep normalny, powszedni jak w Polsce Biedronka, a regał z winami ma długość 50 kroków, podobnie regał z piwem, podobnie ze zwyczajną wodą do picia. Mogę sobie kupić wiele typów wody lokalnej oraz 10 różnych typów wody zagranicznej, w tym dwie francuskie, włoską, meksykańską… Kto mieszka w USA, ten już takich rzeczy nie zauważa, ale ten turysta był szczerze oniemiały możliwościami wyboru.

***

Inny turysta, Anglik czy Belg, nadawał streaming ze stacji benzynowej i nawijał jak najęty, że jeszcze nigdy w życiu czegoś tak wspaniałego nie widział. Zajechał na Buc-ee's – to sieć obecna w kilkunastu stanach amerykańskiego Południa. Stacje benzynowe z rozmachem i z gestem. Sto dystrybutorów – żeby nikt nigdy nie musiał czekać w kolejce po benzynę, kilkadziesiąt stanowisk do ładowania aut elektrycznych – żeby nikt nie musiał czekać, do tego superczyste toalety i też tyle, aby nikt nigdy nie musiał czekać na kibel, a do tego masywny sklep długości 100 metrów i szerokości 50, czyli wielki jak boisko do piłki nożnej, i w środku dobre żarcie i doskonałe lokalne pamiątki. Turysta oszalał i w amoku nie wiedział, za co łapać najpierw.

***

Kolejna relacja Europejczyka zachwyconego Ameryką dotyczyła samochodu zaparkowanego na ulicy. Tesla Cybertruck, duża maszyna, przypomina kosmiczną lodówkę, stalowa blacha bez lakieru, robi wrażenie. Nawet tu, w USA, robi, a jeździ tego sporo, więc mieliśmy się czas przyzwyczaić. Reakcja turysty była taka: Ludzie! To nie jest samochód, to jest machina wojenna!!! Cieszył się jak mały chłopiec.

***

Jakiś osobnik z Wysp Brytyjskich zauważył, że widzi kobiety idące ulicami bez eskorty i strachu, kobiety z normalnymi torebkami na ramieniu i z biżuterią na szyi. I nikt ich nie napada, nie rabuje, nie zaczepia, bo w USA jest bezpiecznie. Pokazywał też dzikie zwierzęta w parku miejskim i powiedział do kamery, że nikt tu, w Ameryce, na te zwierzęta nie poluje i ich nikt nie zjada, a u niego w kraju owszem.

***

Ameryka jest wyjątkowa. Ale trzeba tu przyjechać, aby się o tym dowiedzieć, bo gdy się czyta prasę w Europie, to Ameryka jest okropna lub traktowana z pobłażaniem jako ta głupia.

Gdy się tu przyjedzie, to po pewnym czasie człowiek rozumie lub zaczyna czuć, że Amerykanie różnią się od całej reszty. Że ten kraj jest inny. Że mimo powierzchownego matolstwa Ameryka jest krajem wolnym! W historii świata nie było innego takiego kraju, do którego uciekali lub po prostu garnęli się wszyscy ze wszystkich stron. Istnieje wyrażenie „American Dream", a nie istnieje inne podobne. Nie ma Chinese Dream ani Russian Dream. Gdy istniał mur berliński, ludzie nigdy nie uciekali na wschód, w stronę socjalizmu ani komunizmu – uciekali zawsze na Zachód i najchętniej do Ameryki. Bo Ameryka pozwala ludziom rozwijać skrzydła i spełniać marzenia – tyle znaczy „American Dream".

***

Elon Musk urodził się w Afryce Południowej w czasach apartheidu. Wyemigrował i ostatecznie osiadł w USA. Niedawno został pierwszym w historii świata „trylionerem". Po polsku bilionerem, bo w języku polskim mamy nielogiczne nazwy liczb. Powinno być: milion, bilion, trylion, kwadrylion – jak raz, dwa, trzy, cztery – i tak jest w języku angielskim. Po polsku pomiędzy milionem a bilionem ktoś wsadził słowo „miliard". Czyli po polsku Elon Musk został właśnie pierwszym bilionerem. Jego firma SpaceX weszła na giełdę. Firma, która była przedsięwzięciem ryzykownym i miała zbankrutować, ale jednak American Dream się udał, prywatne rakiety latają.

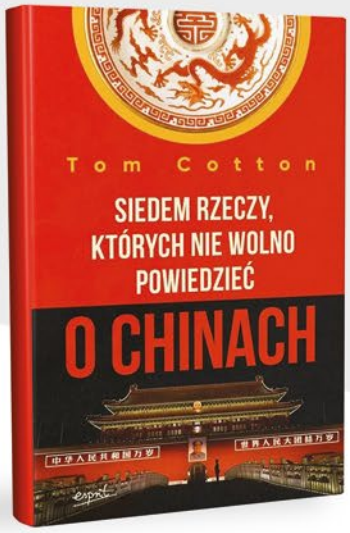
Wprowadzając SpaceX na giełdę, Elon Musk spowodował, że 4 tys. jego pracowników zostały z dnia na dzień milionerami. A 400 z nich posiada pakiety akcji warte po 100 mln dol. Praca u Elona Muska przez wiele lat oznaczała ciężką harówę, niskie pensje, noce spędzane w fabryce. Teraz pracownicy zebrali owoce tej harówy. Pakiety akcji otrzymali nie tylko inżynierowie, lecz także sprzątaczki, kucharze, spawacze. Jeden ze spawaczy wypowiadał się do kamery: Jestem imigrantem, mam rodzinę i z dnia na dzień zarobiłem milion dolarów. Nie zamierzam osiadać na laurach. Ameryka dała mi nieograniczone możliwości i to dopiero początek. ©℗

eprasa.pl 3ac50e40a4

Oferta promocyjna

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PÓŁROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY”



W PREZENCIE

KSIĄŻKA

TOM COTTON: „SIEDEM RZECZY, KTÓRYCH NIE WOLNO POWIEDZIEĆ O CHINACH”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~591~~ ZŁ

292,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 299 ZŁ

Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

- **Wpłata na konto bankowe: Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, nr konta: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006. W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail**
- **Na stronie: www.subskrypcja.dorzeczy.pl.**

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 3ac50e40a4

Od ponad dekady tworzymy jedno
z najbardziej opiniotwórczych mediów w Polsce

SPÓŁKA AKCYJNA
DO RZECZY



Do Rzeczy S.A.
Spółka notowana na rynku **NewConnect (GPW)**
Symbol giełdowy: **DRZ**

WOLNOŚĆ SŁOWA MA WARTOŚĆ - TAKŻE GIEŁDOWĄ

Od 28 kwietnia 2026 możesz nas nie tylko czytać,
ale również zostać akcjonariuszem Do Rzeczy S.A.

ZAINWESTUJ
W NIEZALEŻNE MEDIA
Twoje media. Wspólna sprawa.

Dowiedz się więcej:
www.DoRzeczySA.pl

eprasa.pl 3ac50e40a4